



ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LI

ROK XIII.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

N.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Października 1888 r.



MAŁE SPRAWY.

Dzieje kuli ziemskiéj dały powód geologom do utworzenia dwóch hipotez, mających objaśnić wydźwignięcie lądów i wielkich łańcuchów górskich. Jedni utrzymywali, że kiedyś przed wiekami potężne siły mechaniczne, różne od czynnych dzisiaj, ukształtowały ziemię taką, jaką znamy obecnie; że właściwie było nie jedno jéj stworzenie lecz kilkorakie za pomocą wielkich wstrząśnień, czyli katastrof. Drudzy, nowsi uczeni są przeciwnego zdania, mianowicie, że siły, pracujące nad metamorfozą konturów lądu i przemianą istot organicznych, są takie same dzisiaj jak i przed wiekami, że do zrozumienia fizyognomii ziemi wystarczają one zupełnie, jeżeli tylko przypuścimy bardzo długie peryody istnienia czyli spółdziałanie czasu. Nie przytaczamy tu ani argumentów, ani metod, jakiemi uczeni doszli do utworzenia takich hipotez; zaznaczamy jedynie, że druga ma za sobą mocniejsze dowody, i że więcéj się zgadza z tém, czego nas uczą inne gałęzie wiedzy przyrodniczéj o świecie nas otaczającym. Jakoż wszędzie widzimy działanie sił nadzwyczaj drobnych, które masą swoją wywołują po dłuższym czasie olbrzymie rezultaty. Brak uwagi i nieznajomość tych mikroskopijnych działaczów świata sprawiają, że dopiéro rezultat uderza nasze zmysły i gotowiśmy widzieć katastrofy tam, gdzie właściwie pracowały powoli, długo, jednostajnie, bardzo małe, lecz liczne czynniki. Czy to chodzi o podnoszenie się lądów, czy o chorobę lub zdrowie jednostkowego organizmu, czy o upadek lub świetność literatury, czy wreszcie o znikczemnienie lub dzielność narodów; we wszystkich tych objawach mamy gotowy już rezultat, na który składają się wieki i niezmiernie drobne

siły, czynniki, jednostki. Przejęcie się tą niezbitą, jak sądzimy, prawdą jest wielce pomocne do wytrwania na stanowisku, gdzie nas los postawił i nie lekceważenia tych zadań życiowych, jakie mu w udziale przypadły. Owoców pracy swojéj nie każdy doczekuje, a chociażby te owoce były minimalne, nie zginą one w sumie rezultatów, do jakich społeczeństwa dochodzą po dziesiątkach i setkach lat często bardzo ciężkiego żywota. Pisząc o wielkich ludziach, wspomniałem, że grunt do ich działania uprawiają mali, zwyczajni robotnicy; że bez takiego gruntu najgenialniejszy nic nie poradzi. Teraz zatém chcę z czytelnikiem pomówić o zwyczajnych, małych robotnikach i małych sprawach. Obym go tylko nie znudził!

Organizm nasz składa się z niezliczonych, zaledwie pod mikroskopem widzialnych elementów; gdy każdy z nich spełnia należycie swoję funkcyą, wynikiem zgodnego ich działania będzie zdrowie. Na życie człowieka składają się niezliczone myśli, słowa i uczynki, które gdy są zdrowe, to jest zasadne i celowi odpowiadają, stanowią o moralnéj wartości naszéj: mówimy wówczas, oto człowiek z jednéj sztuki wyżłobiony. Nie ma tedy najmniejszéj wątpliwości, że tyle warci jesteśmy, ile są warte nasze małe, codzienne sprawy. W iloczynie może być tylko tyle, ile było w szczegółowych czynnikach. Mamy to za pewnik nietylko w matematyce, lecz i w ocenianiu wartości ludzkich. Pomimo tego, słyszymy narzekających na brak pola, na któréinby można spożytkować siły i zdolności niezliczonych jednostek. Jest w téj skardze, przynajmniéj co do nas, sporo prawdy; niemniéj jednakże sfera zatrudnień i obowiązków przedstawia nam pole bardzo mało uprawne, rozległe, które leży niemal odłogiem, gdzieby zatém siły i zdolności znalazły możność objawienia się, gdyby tylko nie brakło ochoty. Dom i rodzina, a jeżeli tych nie ma, urząd czy warsztat potrzebują lepszych pracowników, niż ich społeczeństwo dostarczyć może. Słowem, zdaje nam się, że małe sprawy tego zakresu jeszczeby wiele zdolności mogły zaabsorbować.

Nie o takie jednakże drobne sprawy chodzi nam w téj chwili; mimo całéj ich ważności, nie rozwodzimy się nad nimi, ażeby morałem nie naprzykrzéć się czytelnikowi, osobliwie takiemu, co z góry na podobne niskości patrzy. Oprócz tych spraw drobnych codziennego życia, jest jeszcze sporo innych nieco ogólniejszych, które wołają o rozwiązywanie, bo o doraźném ich rozwiązaniu myśléć niepodobna. Zdaje nam się, że nawet w tych warunkach, w jakich żyjemy, mogliby się tém zająć zwyczajni ludzie, nie czekając na wielkich.

Najprzód, gdy chodzi o małe sprawy, uderza nas szczególna i specyalnie narodowa obojętność na nie zarówno prasy jak i publiczności. Pierwsza zaledwie zrzadka dotyka spraw miejscowych, tłómacząc się tém, że my tu nic zrobić nie możemy, że to będą jedynie akademickie ćwiczenia. Więc téż w tak zwanych politycznych, jak i nie politycznych dziennikach zajmujemy się wszystkiemi sprawami europejskiemi i zaeuropejskiemi, mamy gotowe rady dla Crispiego i Floqueta, wiemy, że sułtan nie ma czém płacić urzędników i wojska, doradzamy mu oczyszczenie administracyi z przekupstwa a ulic ze śmieci, nie pamiętając, że przystałoby je wprzód zamieść z przed własnego progu. Dajmy wreszcie na to, że traktowanie spraw drobnych, miejscowych, nie pociągnie zmiany na lepsze i będzie akademicką rozprawą. A czy bezustanne obliczanie wojsk, układanie kombinacyi politycznych na partykularzu, zdala od wszelkiego czynnego udziału w interesach państwowych, poprawi cokolwiek w domu?—Ale publiczność tego chce, to lubi; musimy iść za jéj upodobaniem, bo w przeciwnym razie nie będziemy mogli wychodzić. — I w tém leży istotnie część prawdy; publiczność nasza chętnie jeszcze czyta politykujące artykuły; z niepolitykujących lubi przedewszystkiém rozprawy o tanim kredycie. Przyznając tedy część słuszności politykantom, możnaby dodać, że przecież prasa powinna oddziaływać przeciw temu nałogowi, a to nie za pomocą morałów, lecz za pomocą artykułów, kładących nieustannie w uszy, że swój dom należy przedewszystkiém omiatać.

Gdyśmy tak sobie ulelі żółci i dali folgę zrzędzeniu, zapewne czytelnik radby już widziéć, o jakich-to małych sprawach chcemy mu prawić.—A możem ja to już słyszał?—Nic nie szkodzi, posłuchaj jeszcze; rzecz się krótko odprawi.

Wróciłem niedawno z kilkunastodniowéj wycieczki; prawie corok czynię to samo i za każdym razem powtarzam sobie: wszystko tak jak było, tylko się pochyliło. Przyglądałem się ludziom i ziemi. Ziemia ta sama, licho uprawna, z lasu ogołocona, piaskami świecąca, błotami cuchnąca. Chaty nędzne, przytulone do ziemi, zapewne nie wiele lepsze niż były za piérwszych Piastów. Ludzie już nie ci sami co przed laty; na wierzchu inni i nieco odmienni od dawnych; na dnie także inni, ale tak podobni do owych z przed lat trzydziestu, jak tamci znów musieli być podobni do praojców swoich z X lub XI wieku. Niepodobna z wiérzchu osądzić, o ile ekonomiczne zmiany lat ostatnich poprawiły los ich materyalny; na oko różnicy nie widać ani w mieszkaniu, ani w odzieży i pokarmie. Oczywiście, nie wszędzie musi być tak samo; słyszałem mó-

wiących, że w innych okolicach zaszła pod tym względem zmiana na lepsze.

Czy umysłowo postąpili naprzód? Trudno odpowiedziéć. Tu i owdzie kupiono sobie tanią edycyą Mickiewicza; dobre na początek chociażby i wiersze; ale jakże-to daleko naszemu chłopu do niemieckiego, który nie sporadycznie, i nie od dzisiaj czyta Schillera! Właściwe rozwinięcie umysłowe warstwy włościańskiéj dalekie jeszcze od najskromniejszych wymagań edukacyi elementarnéj; chłop nasz, średnio biorąc, jest niesłychanie zaniedbany; minione wieki prawie nie dotknęły jego umysłu; mózg jego prawie nie pracuje. Oto sprzedał letnikom furkę drzewa za dwa ruble; na to wziął rubla, a drugi pozostał. Za tydzień przywiózł znowu furkę i zgodził się także za dwa ruble. Dają mu banknot pięciorublowy i proszą o resztę. Jantoni przestępuje z nogi na nogę, skrobie się w głowę, czoło mu potnieje. Niczém Cezar, gdy się wybierał na ukręcenie głowy rzeczypospolitéj. Nareszcie po kwadransie wytężonéj pracy mózgowéj i przy pomocy kucharki obliczył i wydał resztę. Było to wprawdzie na osławionych Mazurach; ale podobnych spotykałem i na Kujawach i na Podlasiu. Teraz obok chłopa postawcie kramarza Szmula; socyalna pozycya obu tych ludzi mało różna, za to głowy ich całkiem niepodobne. Szmul handluje igłami, tasiemkami a skupuje skórki zajęcze. On nietylko w oka mgnieniu wykonywa wszystkie cztery proste działania, ale wié którędy droga do Ameryki i ilu okolicznéj szlachty ma czystą hypotekę. Jaka tu między obu tymi ludźmi możebna konkurencya? W Warszawie jednak literaci piszą o filozofii chłopskiéj i takiejże religii.

Jedna jaskółka, to jeszcze nie wiosna; jeden, a nawet więcéj przykładów podobnych przytoczonemu, to jeszcze nie wystarczający materyał do uogólnienia: trzebaby się przyjrzéć włościaństwu na wiecu gminnym, i w szkole i w kościele i w domu i w karczmie, ażeby wydać ile tyle zasadny sąd o jego stanie obecnym: nie mniéj zdaje nam się, że jeszcze nie prędko przyjdzie czas na p o d p o r z ą d k o w y w a n i e innych warstw społecznych chłopu.

Otóż potrąconych tu kilka szczegółów z fizyognomii prowincyi stanowią materyał jednéj z tych spraw domowych i małych, które nie mogą iść w porównanie z pytaniem, czy się Crispi zjedzie z Salisbury'm : jednakże od niéj, jak niektórzy twierdzą, zależy cała przyszłość naszego społeczeństwa. Albowiem, mówią, szlachta średnia potraciła majątki a rozum już dawno, narowów się nie pozbyła, do pracy obecnie nie nawykła, zwyrodniała i liczyć się z nią ani warto, ani nie ma potrzeby. Szlachta wyższa, magnaci, podobno istnieją, ale o tém nic pewnego nie można powiedziéć, gdyż gatu-

nek ten nie daje znać o sobie. Mieszczaństwa w znaczeniu zachodnio europejskiém nigdyśmy nie mieli, a ta garstka rolników mieszczan, którzy wegetują, nie różni się od chłopa. Chłop zatém ilością swoją stanowi fundament budowy społecznéj, na nim cała przyszłość polega.

Nie wdając się w dalsze rozwijanie tego przedmiotu i pomijając nieścisłość ogólnikowéj charakterystyki całych warstw społecznych, trudno przy najlepszéj woli i dobrowolnym optymizmie łudzić się przyszłością opartą na klasie włościańskiéj. Rozumiemy przyczyny dla czego jest ona taką, na jaką patrzymy; ale przerobić ją cudownie i na czoło postawić ani w naszéj mocy, ani by to było sprawiedliwém. Zdaje nam się, że w społeczeństwie wszystkie warstwy ludności bez względu na klasy, do jakich należą lub wiarę, jaką wyznają, powinne być żywemi czynnikami w iloczynie dobra ogólnego; że tylko partyjne zaślepienie może na zawiści i wzajemném poniewieraniu się stanów i klas budować moralne i ekonomiczne odrodzenie.

Być na wsi lub w mieście u nas, szczególniéj na przestrzeni między Bugiem a Wartą, i o Żyda nie zawadzić, byłoby to osobliwością. Puszczam się dobrze znanemi od dzieciństwa uliczkami powiatowego miasta do cyrkułu żydowskiego; widok okropny: nędza, niechlujstwo, smród mało co mniejsze od warszawskiego. Widocznie Opatrzność przeznaczyła obie rasy słowiańską i semicką do wspólnego na wieki pożycia w jednakim brudzie. Mimowoli przychodzi mi na myśl sprawa żydowska, sprawa domowa i specyalnie nasza, nad któréj rozwiązaniem już w przeszłym wieku pracowano. Obecnie literaci także biadają nad zżydzeniem Francyi i Rosyi; tyle téż tego, że się zemszczą na całém pokoleniu za to, iż Chaimek żądał zwrotu pożyczonych pieniędzy i nie dopuścił do licytacyi chrześciańskiego spółlicytanta. Ale czemu nie dopuścił? bo on się trzyma kupy. To mały sekret wielkiéj jego potęgi: drobne kapitały składa i zbitą masą działa. Żydzi są przecież ludźmi; więc gra namiętności i walka interesów dzieli ich i różni podobnie jak i chrześcian; ale tam, gdzie chodzi o interes rasy w przeciwstawieniu do innéj rasy, tam oni działają solidarnie. Czy im to za złe poczytywać? Gdyby tak samo postępowali ludzie innéj rasy i odnosili korzyści, jest prawdopodobném, że publicyści ich byliby z tego zadowoleni; tylko solidarność żydowska budzi zazdrość niezaradnych konkurentów.

Czytelnik nie będzie mi brał za złe, gdy rozwiązywanie sprawy żydowskiéj pozostawię komisyi, która ją od kilku lat bardzo poważnie roztrząsa i dotychczas podobno zbiéra materyały. Za to przyto-

czę mu przykład zaobserwowany w jednem miejscu, ale z pewnością powtarzający się nie w jednem. Chcę objaśnić, co rozumiem przez wyrażenie, iż Żydzi trzymają się kupy.

Wiadomo, że właściciele więksi po wsiach i proboszczowie zarówno po wsiach jak i po miasteczkach mają po większéj części ogrody owocowe, czyli sady. Rzadko który z nich trzyma je na siebie, nie dlatego żeby nie lubił owoców, ale dlatego, że nie upilnowałby ich od szkodników, a nawet gdyby upilnował, nie potrafiłby ich spieniężyć. Otóż, można z pewnością twierdzić, że na 100 ogrodów 90 trzymają Żydzi w dzierżawie. Gdyby Żydów zabrakło, nie wiem, ktoby je trzymał, bo chrześcianie téj gałęzi zarobku nie uważają za dość zyskowną. Zresztą, przypuszczam, że musieliby sobie ludzie jakoś poradzić, i właściwie nie o to mi chodzi.

Oto jestem w sadzie; słomiana buda sklécona tak, żeby wytrzymała ze 3 miesiące, kryje się wśród gałęzi. Lokatorzy jéj, to właśnie dzierżawcy sadu. Jest tego wszystkiego, starszych i młodszych, sztuk ze 12; składają się na ten komplet 2 rodziny: ojciec i matka, zięć i córka, nie licząc młodszego pokolenia obu małżeństw. Prowadzą oni wspólnie interes i gospodarstwo domowe. Godzina 5 po południu; na pochyłości wzgórka w sadzie pali się małe ognisko; przy niem para garnuszków. Rozpoczynam gawędę. Powiedźcie mi Ruchlo, czy to kolacyą gotujecie? Nie—to obiad.—Tak późno?—Jak-to późno? mąż dopiéro wrócił z Kazimierza i przyniósł kosz jaj, zięć przywiózł kilka ćwiartek cielęciny, córka narwała kosz malin i poniosła je letnikom i oto wraca; ja tu pilnuję sadu i dzieci: musimy wprzód zarobić, *man muss verdienen*, dopiéro potém będziemy jedli.

My chrześcianie jużeśmy dwa razy jedli i podjedli; ileśmy zarobili, nie warto i mówić.

Albo jeszcze jeden mały obrazek. W parku gra muzyka składająca się z samych Żydów. Letnicy przechadzają się, ziéwają, klną niepogodę, a żydzi im przygrywają po parę godzin z rana i po południu; na przeciwko estrady stoi wystawa pod dachem, otwarta, a w niéj stół będący razem warsztatem. Tu właśnie muzykanci naprawiają lub szyją nowe suknie i obuwie; melomany gorszą się tą profanacyą sztuki i myślą o utworzeniu szkoły muzycznéj dla włościańskich dzieci; oby im się szczęściło. Nas uderzył ten praktyczny zmysł żydowski. Co muzykanci mają robić przez cały, długi dzień, gdy parę godzin spędzają na bawieniu uszu dystyngowanéj publiczności? Nasi poszliby na bawara, zagraliby w winta, a na ostatku zaczęliby żebrać: Żydzi ani się nudzą, ani żebrzą, lecz dorabiają do skromnego wynagrodzenia pobiéranego za muzyczne delicye.

Zapewne nie są-to Liszty, ani Rubinsteiny, ale też taniéj biorą za swoje b e m o l e, i o ile wiadomo, w konserwatoryum się nie kształcą. Oto, czém według mnie, Żydzi nas pobijają: trzymaniem się kupy i pracą. Praca ich bywa partacka, wyrób lichy, ale ręce i głowa nigdy bezczynna. Nasi antysemici patrzą tylko na handlujących Żydów, albo na bankierów i tajemnicy ich powodzenia szukają w Talmudzie; nie dodają tylko, czy w babilońskim, czy w jerozolimskim. Z takim żywiołem konkurencya trudna, zwłaszcza dla leniwéj natury słowiańskiéj, ale téż nie usprawiedliwia antysemickich wybryków. Żydów można zwalczać tylko za pomocą konkurencyi ekonomicznéj, nie zaś szykaną lub hecowaniem.

Jeszcze jedna okoliczność w sprawie żydowskiéj zasługuje na uwagę. Kto choćby przypadkiem zawadził o warszawskie Nalewki lub Grzybów, albo kilka godzin zabawił w któréms z naszych miasteczek, uderzony był gęsto rozplenioną ludnością żydowską. Mnoży się ona jak króliki, nic nie wiedząc ani o prawach zaludnienia i stosunku do środków egzystencyi, ani o Malthusie i metodzie zwanéj *Zwei-Kinder-system*. Ekonomiści żydowscy, oczywiście nie profesorowie, nic się nie troszczą o to, kto będzie żywił dzieci Izraela. One ani siać, ani do gumien zwozić nie będą—zrobią to g o i m y— a jednak z głodu nie umrą, zupełnie jak wróble. Dlatego, powiada domorosły ekonomista, że są, jak byli ich ojcowie, pasorzytami. Tymczasem, na prawdę między Żydami mniéj jest próżniaków i żebraków, niż między resztą naszéj ludności. Między spanoszonymi Żydami bywa zbytek i próżniactwo tak jak między ludźmi wszelkiéj rasy i języka; ale te warstwy, które można średniemi nazywać, krzątają się, pracują, handlują a przedewszystkiém kombinują, myślą. Nie zdarzyło mi się nigdy słyszéć Żydów rozprawiających o wartości sztuk teatralnych i zaletach aktorów, o balach lub tańcach. Na ustach u nich zawsze *geszeft*, *geschwind*; zawsze plany, projekta, nie na zbudowanie teatru, lecz na dostawę drzewa, zboża, wełny. Taka rasa nie zginie; samém szachrajstwem niepodobna sobie objaśniać tego, na co pośród siebie patrzymy. Nic tedy Żydów nie martwi przyszłość ich dzieci: rosną i mnożą się. Ilość ludzi jest także potęgą.

Nie myślę moim spółobywatelom zalecać ani większéj mnożności, ani przechodzenia na mozaizm, ale pisząc o drobnych i małych sprawach swojskich przygodnie potrąciłem i o tę bolączkę, któréj nie uleczymy anegdotami o żydowskich szwindlach.

— Pan dobrodziéj do Warszawy? — A do Warszawy: wiozę chłopca do gimnazyum; nie wiem, czy się dostanie, bo podobno wakansów na posady uczniowskie bardzo mało, a kandydatów chma-

ra. Tak jest, ale czemuż koniecznie do gimnazyum? możnaby probować do szkoły rzemieślniczéj. Tam jest parę godzin teoretycznych wykładów geometryi, nauk przyrodzonych, a potém praca w warsztacie ślusarskim, stolarskim, szewckim. Rzemiosła nasze są wielce zaniedbane, w tym kierunku jeszcze na chléb i z masłem można zarobić. Opłata zresztą nie wyższa, niż w gimnazyum; chłopiec rozwinie się i fizycznie i umysłowo, a potém na swoich nogach stanie.

— Tak, myślałem i o tém, zwłaszcza, że chodząc dzierżawą przez lat kilkanaście, nie dorobiłem się swojego, a tu jeszcze troje dzieci; skończenie gimnazyum będzie wymagało co najmniéj lat 8 i lekko rachując po 300 rubli rocznie. Ale jakem wspomniał o rzemiośle, żona zaczęła szlochać, jąkając przeze łzy, że w jéj rodzie nikt przy fartuchu z heblem lub pilnikiem nie chodził, że rodzony dziadek, rodzonéj ciotki był naczelnikiem powiatu i z herbem miał pieczątkę, że ona tedy za nic w świecie nie dozwoli, ażeby jéj syn był rzemieślnikiem i gotowa raczéj dom porzucić, niż dożyć takiéj hańby. Na takie *dictum* zmiękłem i wiozę Jacusia do gimnazyum. Jacuś tymczasem dłubał w nosie, a zapytany do jakiéj szkoły wolałby uczęszczać, odrzekł rezolutnie, że do gimnazyum, a potém zostanie jak dziadek rodzonéj ciotki maminéj urzędnikiem.

Rozmowa ta nasunęła mi na myśl inną sprawę drobną i małą, mianowicie, kierunku edukacyi nadrastającego pokolenia. Kierunek ten w części tylko zależy od rodziców; w drugiéj i większéj wytknęło go tak u nas, jak i wszędzie, prawodawstwo. Pytanie, na jaką drogę edukacyjną mają rodzice kierować swoje dzieci? Na drogę ogólnego, klasycznego ukształcenia, czy w kierunku specyalnym i jak nazywają fachowym? Odpowiedź krótka: tak lub nie, jest tu niełatwa nawet dla pedagogów; wszakże w naszych stosunkach muszą decydować o kierunku edukacyi nie same względy pedagogiczne. Podobna uwaga może gorszyć pedagogów, którzy bardzo słusznie mówią, iż należy w początkach rozwijać w młodzieży wszystkie zdolności i talenta, a tém samém dać grunt ogólno-humanitarny a potém specyalizować. Zasada najzupełniéj usprawiedliwiona, a jednak nie dająca się wszędzie zastosować: mogą się zdarzyć i z pewnością zdarzają się codziennie takie okoliczności i warunki domowe, iż edukacya dzieci nie może być ani długą, ani kosztowną, gdyż środki na to nie pozwalają; otóż edukacya fachowa średnia trwa krócéj i pozwala jednostce prędzéj stanąć na nogi, zapracować na chléb.

Ta myśl o chlebie rozsadza głowy rodziców i pono słusznie. Karyery uczone, dyplomatyczne, urzędnicze nie dla nas, a przynaj-

mniéj bardzo rzadki dostanie się na te posady; pozostaje praca fizyczna i jéj narzędzia: młot, hebel, pilnik, pług, brona i t. p. Pierwéj nim myśléć o komforcie życia, j a k być, trzeba być, wyżyć, zdobyć chléb, *man muss verdienen*. Pytanie więc o kierunku edukacyi rozstrzyga się u nas nie samemi względami zdrowéj pedagogiki, ale także względami bytu. Rodzice muszą koniecznie myśléć o tém, co dzieci ich będą po skończeniu edukacyi robiły, ażeby następnie mogły zużytkować nabyte wiadomości dla zdobycia chleba. Zaledwie mała garstka dzieci będzie wolną od hebla czy pługa, ażeby sobie przypominać *Beatus ille* Horacego. Wszystkie te względy zdają się przemawiać za edukacyą fachową, prowadzącą do kawałka chleba prędzéj, chociaż także nie napewno.

Jakoż z myślą tą godzą się nawet podupadłe rodziny szlacheckie, lubo nie bez westchnień, jakby chodziło o degradacyą socyalną, tak głęboko tkwi wstręt do pracy, osobliwie fizycznéj. Ale zkąd wziąć szkół fachowych czyli profesyonalnych? Mają one być otwierane z ramienia rządu. Otóż, nawet w takim razie inicyatywa prywatna okazałaby się konieczną, gdyż państwo odrazu tyle szkół fachowych nie założy, ile ich potrzeba. Tymczasem, mimo nawoływania prasy do otwierania szkół specyalnych, ogrodniczych, rolniczych, rzemieślniczych, echo nie odpowiada, głusi jesteśmy. Każdy rozważa trudności i cofa się: trudności rozumiemy, ale narzekania nikogo z biédy nie wyratowały.

Uwagi te o kierunku edukacyi nasunęła mi zarówno rozmowa w wagonie, jak i widok tłoczących się rodziców, a przeważnie matek, z synami do gimnazyów, gdzie zaledwie mała cząstka kandydatów mogła być przyjęta. Już-to na pochwałę matek naszych trzeba przyznać, że więcéj się one troszczą o edukacyą dzieci, aniżeli ojcowie. Najuboższa dołoży wszelkich starań, ażeby syna oddać do szkoły; odmówi sobie niejednéj przyjemności, ażeby cieszyć się nadzieją chluby i co najważniejsza, pomocy. Dowody tego widzimy ciągle przedewszystkiém w klasie uboższéj, średniéj; inaczéj nieco dzieje się w klasie zamożnéj, bogaci bowiem więcéj ufają bogactwu niż nauce.

Oddając wszakże matkom pochwałę za ich gorliwość około wykształcenia dzieci, nie można zaprzeczyć, że one to najwięcéj obstają za wykształceniem gimnazyalném, mającém prowadzić do p a ń s t w a, do pańskości. A pańskość w ich pojęciu, jak i wielu ojców, to lekka praca i dobra płaca, oraz co z tego wynika, życie wygodne. Chociażby ta pańskość była kupiona nieustanném zginaniem karku, upodleniem charakteru, zawsze ma ona więcéj uroku od młota i fartucha, nawet, gdyby te zapewniały byt niezależny,

a często wygodny. Ztąd do dziśdnia matki straszą synów, gdy się nie uczą konjugacyi greckich, iż pójdą do szewca za karę. Widocznie, dawny to wstręt, skoro już poeta kolendowy śpiewał: „Idź precz szewcze, twych trzewiczków Jezus nie chce, bo śmierdzą dziegciem."

Takie-to małe, drobne sprawy składają się na wielkie rezultaty w życiu narodów; żałować tylko trzeba, że się niemi tak mało zajmujemy, i że piszący o nich tak ogólnikowo zbyć je musiał; ale też do wyczerpania ich tomy i pokolenia zaledwieby wystarczyły.

K.





ADMINISTRACYA PARYSKA W CZASIE OBLĘŻENIA.

Przyczynek do historyi lat 1870 –1871.

Paryż, 1 sierpnia 1888.

Szanowny redaktorze.

Przeczytałem z żywém zajęciem zamieszczone w czerwcowym zeszycie twojego Przeglądu zapiski bezimiennego rodaka, którego los uczynił urzędnikiem tutejszéj municypalności w pamiętnéj a strasznéj dla niéj epoce. Wnosząc z niektórych szczegółów, rodak ten pełnił swoję służbę w VIII okręgu, w którym p. Carnot, ojciec dzisiejszego prezydenta rzpltéj był merem; wspomnienia zaś jego dostarczają sporo ciekawych rysów do charakterystyki tego bezprzykładnego w dziejach zjawiska, jakiém było wyżywienie przez cztéry miesiące dwumilionowéj ludności oblężonéj. Że nie wyczerpują przedmiotu, to się tłómaczy łatwo i zarzutu nawet wywoływać nie może. Kto wié, czy całkowity i żadnego szczegółu w cieniu nie zostawiający obraz tych dni tragicznych możliwym jest dzisiaj. Brakuje do niego niezbędnéj podstawy: dokumentów. I brak ten nie da się już podobno zastąpić. Dokumenta administracyjne, odnoszące się do téj epoki, koncentrowały się głównie w Ratuszu, który był siedliskiem rządu, częściowo zaś w merostwach i w ministerium finansów. Ratusz i ministerium finansów zostały spalone; merostwa po dniu 18 marca uległy rabunkowi. Prywatne nawet papiéry urzędników padły ofiarą zniszczenia. Ztąd fragmentaryczny, na osobistych przeważnie wspomnieniach oparty charakter wszystkich bez wyjątku publikacyi wiążących się z dziejami oblężenia, a przynajmniéj z administracyjną ich stroną; charakter, od którego nie odstępuje nawet szerzéj pozornie zakreślone dzieło naczelnego mera paryskiego w téj epoce, p. Arago („*L'Hotel de Ville au 4 Septembre et pendant le*

siège de Paris"), i którego udzielone Twoim czytelnikom notatki są jednym więcéj specymenem. W czterotomowém dziele generała Ducrot („*La défense de Paris*") administracyjny dział zajmuje zaledwie jedną i drugą kartkę, wypełnioną ryczałtowemi wskazówkami; w książkach pp. Sarcey, Enault i Claretie, nie szukać go wcale: są to utwory literatów, zasadniczo stroniące od administracyjnych i ekonomicznych zagadnień. Nie wyręczył ich wszelako dotąd żaden ze specyalistów, ekonomistów profesyonalnych: udział bibliograficzny tych ostatnich ogranicza się do kilku broszur, takich jak zamieszczona pierwotnie w „Journal des Economistes" praca pana Clamageran („*Souvenirs du siège de Paris*"), urywkowa a nie dokumentowa także.

Najdotkliwszém następstwem tego niedostatku, które musiało dać się uczuć i Twoim czytelnikom, jest trudność w powzięciu dokładnego wyobrażenia o całości administracyjnego mechanizmu, któremu narzucony został w latach 1870—1871 wiadomy problemat ekonomiczny, a zatém i niemożliwość krytycznego poglądu na sposób, w jaki postawione w tych terminach zadanie rozwiązane zostało. Czy pozwolisz, szanowny redaktorze, ażebym pokusił się nie zapewne o zadawalniącą ze wszech miar i wyczerpującą odpowiedź na znaki zapytania, które w tym względzie i pośród tutejszéj czytającéj publiczności pozostawione zostały, ale przynajmniéj o jakie takie rozjaśnienie zagadnienia i uprzystępnienie pożądanych w jego przedmiocie wniosków? Bardzo wyjątkowe okoliczności, zostawiające mi możność korzystania dziś jeszcze z notatek zebranych i spostrzeżeń uczynionych owocześnie na obejmującym szerszy widnokręg punkcie widzenia, pozwalają mi poniekąd przekroczyć ciasne koło jednostronnéj obserwacyi, w którém straszny kataklizm zaklął większą liczbę swoich świadków i sięgnąć do pewnéj przynajmniéj liczby tych uogólnień, których domaga się historya a pożąda zapewne także zaciekawiony umysł Twych czytelników.

I.

Historya administracyi Paryskiéj w epoce oblężenia, to, z tego syntetycznego stanowiska, które jedyném możliwém dla piszącego tutaj, historya czteromiesięcznéj walki z tym sprzymierzeńcem, którego armia niemiecka miała w murach stolicy i który ostatecznie otworzył jéj bramy miasta, z głodem. Oczywiście inne funkcye administracyjne nie uległy zawieszeniu; służba policyjna, służba zdrowia itd. pozostały czynnemi, ale rola ich stała się naturalnym sposobem drugorzędną i musi być nie mniéj naturalnym sposobem

względnie obojętną dla historyka. Skądinąd, spostrzeżenia krytyczne, do których w tak ograniczonym zakresie bardzo obfity nastręcza się materyał, odnosić się mogą jedynie do systematów zastosowanych w mniéj lub więcéj umiejętném wyzyskaniu nagromadzonych zapasów prowiantowych. W samém bowiem nagromadzeniu tych zapasów nie odegrał roli żaden krytyce podlegający systemat. To co pod datą 16 września 1870, to jest w chwili ostatecznego zwarcia się żelaznych ogniw opasujących stolicę, znalazło się w jéj obrębie zboża, mąki, mięsa żywego i solonego, wiktuałów wszelkiego rodzaju, cała ta rezerwa prowiantowa, przechodząca w rzeczywistości olbrzymiością swoją, jak się pokazało, wszystkie przypuszczenia i obliczenia, tak po niemieckiéj jak i po francuskiéj nawet stronie dokonywane, powstała z czterech rozmaitych źródeł: *a*) z zakupów uczynionych przez administracyą wojskową na rzecz wojska i w celu utworzenia wielkiego centralnego depo dla armii w polu działających; *b*) z zakupów uczynionych przez ministerium handlu po części także na rzecz armii; *c*) z dostaw zamówionych w ostatniéj chwili przez prywatnych przemysłowców, ale sprowadzonych przeważnie pod firmą wojennéj intendentury; *d*) z zapasów pośpiesznie ściągniętych z najbliższych okolic przez uciekającą z dobytkiem swoim i do miasta chroniącą się ludność. Nie było w tém wszystkiém żadnego z góry obmyślanego i konsekwentnie przeprowadzonego planu; było dużo przypadkowych czynników, i co za tém idzie, sporo chaosu—który to chaos odpowiadał zresztą zamętowi utrzymującemu się w pojęciach nietylko u publiczności ale i pośród samejże grupy ludzi przybierających na się kierowniczą rolę w téj krytycznéj chwili. Umysłów trzeźwo zdających sobie sprawę z położenia brakło długo. Bardzo długo nikt, w łonie samego rządu, nie sięgnął przewidzeniami swemi do tych rozmiarów trwania, których dosięgnąć miała w rzeczywistości straszna próba narzucona dwumilionowéj ludności. Pod tym względem, przechował się w pamięci piszącego szczegół, dostarczający wymownego świadectwa. Oto, w powtórzeniu, za którego stenograficzną niemal dokładność ręczyć pozwala żywość zatrzymanych wspomnień, słowa zamienione na posiedzeniu 15 października 1870 r. między naczelnym merem stolicy a naczelnym wodzem armii stołecznéj.

Generał Trochu: „Kochany merze, powiedz nam, jeżeli możesz, bez zostawienia czegośkolwiek hazardowi, jakim jest stan prowiantowych zapasów naszych. Jak długo możesz wyżywić dobrze twoje 2,000,000 mieszkańców?“

P. Arago: „Moje 2,200,000, generale, rachując z 75 gminami podmiejskiemi i mieszkańcami departamentów sąsiednich już przy-

byłymi i osiedlonymi w mieście! Mogę wyżywić je dobrze przez sześć tygodni".

Generał Trochu: „A potém, po sześciu tygodniach, jak długo wyżywić je możesz źle?

P. Argo: „Dwa tygodnie".

Generał Trochu (wstając): O, w takim razie!...

W téj chwili, jakby uderzony ciężarem odpowiedzialności, którą ściągnąć mógł na siebie swojemi oświadczeniami, Arago zwrócił się do wchodzącego ministra handlu, prosząc go o potwierdzenie ich rzetelności. Zaczęły się długie wywody cyfr i danych statystycznych, których wypadkiem było udowodnienie faktu, że Paryż ma co jeść mniéj lub więcéj dobrze na dwa miesiące, a których wysłuchawszy, generał Trochu zabrał znowu głos i uroczystym tonem wyrzekł co następuje:

„Panowie, za sześć tygodni będziemy oswobodzeni. Jest to niemożliwą rzeczą, ażeby Prusacy wytrwali dwa miesiące do koła miasta; przed tym zaś czasem będziemy mieć armie prowincyonalne. Paryż ocalił honor Francyi; Francya oswobodzi Paryż!"

Powitano z entuzyazmem mowę naczelnego wodza i zamknięto posiedzenie. Oblężenie trwało przeszło cztéry miesiące.

Na zaznaczenie, przy sposobności, zasługuje podniesiona przez naczelnego mera, w powtórzonym wyżéj dyalogu, cyfra oblężonéj ludności, stanowiąca sama przez się uderzające i pouczające zjawisko, bo znacznie wyższa od cyfry normalnéj. Ta ostatnia cyfra, podług obliczeń dokonanych na podstawie spisu z r. 1866, wynosiła pod dniem 1 lipca 1870 zaledwie 1,890,000 głów (1). Zjawisko to, z którego ewentualnością, równie prawdopodobną w każdéj innéj miejscowości przy analogicznych okolicznościach, rachować się powinna w przyszłości administracyjna przezorność. Przeciwne przypuszczenia, do których skłaniali się początkowo sami oblężeńcy paryscy, opierając je na liczbie mieszkańców opuszczających miasto przed groźbą oblężenia, uledz musiały brutalnéj wymowie faktów. Postrzeżono niebawem, że cyfrę wystraszonych z miasta wychodźców kompensuje z jednéj strony potęgująca się równomiernie cyfra przybyszów wystraszonych znowu z podmiejskiéj okolicy i szukających schronienia w obrębie miejskim, z drugiéj strony pomnożony ściągniętemi półkami wojskowy kontyngens. Wprawdzie dane statystyczne, pochodzące już z epoki oblężenia i te nowe żywioły w rachubę wciągające, bałamutnemi się okazują przy bliższém ich roz-

(1) Artykuł p. Legoyt w „Journal des Economistes", marzec 1872.

patrzeniu i nadmiernie przesadnemi. Dokonany mianowicie pod datą 7 stycznia 1871 r. spis ludności cywilnéj wykazał 2,019,877 głów, do których dołączywszy około 300,000 ludzi pod bronią, przyjąć by wypadało ogólną liczbę 2,300,000 przeszło mieszkańców. Nadto zaś, nazajutrz po ogłoszeniu tegoż spisu, powstały we wszystkich okręgach, zaznaczone przez bezimiennego autora drukowanych już tutaj wspomnień, utyskiwania na zbyt niskie jakoby cyfry okręgowych etatów ludnościowych, przyjętych za podstawę do rozdziału racyi mięsnych a późniéj chlebowych. Podług tegoż autora, rzeczywista cyfra mieszkańców VIII okręgu wynosiła by po rozpoczęciu oblężenia 95,000 głów, zamiast 75,000 przyjętych w spisie urzędowym, co w stosunku do cyfry wykazywanéj przed oblężeniem (65,000), równałoby się podwyżce o więcéj jak 40%. Przesada staje się widoczną; tłómaczy ją zaś okoliczność także na zarejestrowanie zasługująca, a mianowicie naturalny ze strony spisywanych mieszkańców popęd do mnożenia w podawanych deklaracyach liczby głów, dla pomnożenia liczby uzyskać się mających racyi. Rzeczywistość przedstawia się w tym względzie mniéj więcéj jak następuje: Było pod datą 1 lipca 1870 r. około 1,890,000 głów; ubyło za sprawą wychodźtwa, podług danych dostarczonych przez zarządy kolejowe, około 300,000; przybyło, podług etatów wojskowych 190,000 żołnierzy, a podług rejestrów policyjnych, około 180,000 mieszkańców okolicznych; czyli że przewyżka wyniosła mniéj więcéj 70,000 głów — co i tak stanowi cyfrę wymowną!

Zapytajmy teraz: w jaki sposób zarządzone zostało przechowanie nadzwyczajnego owego zbiorowiska prowiantowego, utworzonego w sposób wyżéj wskazany. Dość naturalnym zdaje się wniosek, iż ucieczono się odrazu do środków nadzwyczajnych, zrywając w tak wyjątkowych okolicznościach z rutyną i należącemi do niéj procederami, że zaprzątnięto się natychmiast utworzeniem odpowiednich magazynów i pomieszczeniem w nich jak najszybszém, możliwie, i najdogodniejszém tego bogactwa, od którego zawisł w téj chwili los nietylko dwu milionów przeszło ludzi, ale może i kraju całego. Otóż tu spotykamy się z nowém zdumiewającém zjawiskiem; wyjątkowe okoliczności i ich naglące parcie, tragiczność położenia, wymowny głos patryotycznych wymogów, wszystko to nie zwyciężyło na razie rutyny. Broniła się ona długo i uporczywie i uległa powoli dopiéro i stopniowo uzyskiwanym nad nią przewagom logiki i konieczności. W pierwszéj zaś chwili, zaczęła od postawienia niedającéj się prawie przełamać zapory należytemu rozporządzeniu środkami alimentowemi, dostarczonemi bądź przez administracyjną, bądź przez prywatną zabiegliwość. Zaporą tą była

akcyza miejska *(„l'octroi")*. Niewidziana nigdy ilość pak, furgonów, skrzyń wszelkiego rodzaju zalegla okolice dworców i rogatek, usiłując napróżno przedostać się do wnętrza: brakło środków transportowych, ale brakło przedewszystkiém czasu do uregulowania opłat akcyzowych. Ktoś zaproponował doraźne uchylenie tych opłat; naczelny mer, chętnie przystępny liberalnym pojęciom i nie lękający się środków radykalnych, pochwalił projekt i wziął na się przedstawienie go rządowi. Odpowiedziano, że środek zastosowany do towarów nagromadzonych w składach *(entrepôts)* pozbawi miasto i skarb znacznego a potrzebnego dochodu, ograniczony zaś do towarów tłoczących się po za składami w dzikim nieładzie, pozbawionych jakiego takiego zabezpieczenia od słoty, wilgoci i kradzieży i rzeczywiście najpilniejszych, stworzy nierówność między pospolitemi kupcami a posiadaczami składów, krzywdzącą dla tych ostatnich. Po długiéj zwłoce chwycono się półśrodka: uwolniono od opłaty prowiant wprowadzony w małéj ilości i mogący uchodzić za przeznaczony na domowe potrzeby *(provisions de famille)*. Położono koniec tym sposobem narzekaniom i lamentom napływowéj ludności, przybywającéj do miasta z uchronionemi przed rabunkiem zapasami, a zmuszonéj do odbywania kwarantany u rogatek, ale nie zapobieżono nie dającym się obliczyć stratom wynikającym codziennie z przedłużonego, dla większéj ilości towarów, chaotycznego *status quo* na kolejach i przy bramach miejskich.

Tym sposobem magazyny śródmiejskie napełniały się powoli i to zapasami już uszkodzonemi w części; brakowało zaś wiele do tego, iżby magazyny te odpowiadały w zadawalniający sposób swemu przeznaczeniu. Było ich trzy rodzaje: *a)* magazyny należące do administracyi miejskiéj i służące do zwyczajnych potrzeb prowiantowych takie, jak „Skład zbożowy" *(Halle au blè)*, sutereny Hall Centralnych i t. d.; *b)* magazyny należące do przemysłu prywatnego i zarekwirowane obecnie przez administracyą; *c)* magazyny zaimprowizowane w wielkich zakładach fabrycznych lub na placach publicznych, np. w dziedzińcu gmachu Inwalidów, na placu za Szkołą wojskową i t. d. Z trzech tych kategoryi, pierwsza nader smutną pamięć zostawiła po sobie. Wspaniale z zewnątrz wyglądający „Skład zbożowy" okazał się wewnątrz tak mało odpowiednim swemu przeznaczeniu, jak tylko można. Nie pomyślano nawet o ułatwieniu, za pomocą przedziałów piętrowych, ładowania i dobywania naładowanych worków: te ostatnie piętrzyć się musiały jedne na drugich do wysokości sięgającéj kilkunastu metrów i utrudniającej przystęp. W suterenach Hall Centralnych odkryto wilgoć i niechlujstwo, nie dające się usunąć na razie. Paryżanie opłaki-

wali długo stratę olbrzymiego zapasu sérów, które tu uległy szybkiemu zepsuciu. W tych podziemiach także padły ofiarą wilgoci sławne kartofle, które ściągnęły tyle burz na głowę Juliusza Ferry, niezasłużoną obarczonego odpowiedzialnością. Musiały one gnić w takiém przechowaniu, a przytém kupione były podobno w złych warunkach, i w pierwszych już dniach września roznosiły woń nieprzyjemną, którą pamiętają okoliczni mieszkańcy. Inaczéj zgoła przedstawiły się magazyny prywatne, np. Spichrze *(Greniers d'abondance)* pp. Moranvillé i Trotrot, na przedmieściu *La Villette* położone. Tutaj liczne i niskie piętra pozwalały odosobnić każdy rząd worków. Wywdzięczając się za usługi przezeń oddane, komuna spaliła późniéj ten wzorowy zakład. Co się tyczy magazynów administracyjnych, zaimprowizowanych na prędce, te albo pozostały w projekcie, o ile mianowicie miały przybrać postać budynków drewnianych *(hangars*—szopy) zabezpieczających powierzone im zapasy, od dészczu, albo téż ograniczyły się do składów pod gołém niebem, ze stosami worków i skrzyń, jako tako przykrytemi za pomocą płacht skórzanych lub płóciennych. Tak mianowicie wyglądały do końca wspomniane wyżéj magazyny przy Inwalidach i przy Szkole wojskowéj. Drewniane s z o p y, które zamówiono i które przyjąć miały wprędce cały ten, przyzwoitego pomieszczenia pozbawiony kontyngens prowiantowy, wznosiły się istotnie, ale wznosiły powoli. Gdy nareszcie były już gotowe — po dwóch miesiącach— zabrakło koni do przewiezienia towarów. Rezultat ten tłómaczy się łatwo: działając sposobem administracyjnym, powierzono obstalunek zwykłym, dla administracyi pracującym przedsiębiorcom; ci zaś wzięli się do spełnienia swego zadania po administracyjnemu także. P. Clamageran, w powołanym wyżéj artykule, opowiada zdziwienie jednego z tych przemysłowców, gdy mu dano do zrozumienia, że robota, którą podjął się wykonać w przeciągu t y g o d n i a, ma być gotową za o ś m d n i. Nawet taki zakład, jak słynne warsztaty wyrobów żelaznych Cail & C-ie, nie okazał się zdolnym do wykonania obstalunku, a mianowicie zamówionych młynów parowych, na dzień oznaczony. I tym sposobem przyszło do ciężkiéj chwili, w któréj z dnia na dzień przez cały prawie tydzień wisiało nad głową zarządu miejskiego, nakształt Damoklesowego miecza, groźne pytanie: czy nie zabraknie mąki na jutro dla 2,000,000 gęb! Czekając na owe młyny, wyczerpano całą rezerwę mącznych zapasów. Dom Cail & C-ie pracował także dla administracyi w epoce cesarskiéj i przywykł do administracyjnych stosunków, przesiąkł ich rutyną. Prawda, że obecnie przybyła nowa przeszkoda, wstręt

czyniąca szybkiemu postępowi robót: brak rąk, spowodowany zaciągnięciem się znacznéj liczby robotników w szeregi gwardyi narodowéj. Frank i 75 centów dziennego żołdu, dodatkowych 70 centów dla żony każdego gwardzisty, możność wyżywienia się bezpłatnie, lub prawie bezpłatnie w kuchniach municypalnych *(cantines municipales)* i nie robienia nic, lub prawie nic, a paradowania z bronią w ręku i upijania się patryotycznemi okrzykami, wychodzącemi z gardła hojnie zalewanego wódką, — oto tyleż ponęt, których nawet ofiarowywany podwójny i potrójny zarobek przezwyciężyć nie zawsze był w stanie. Głównym atoli czynnikiem, paraliżującym działalność administracyjną we wszystkich kierunkach, pozostała rutyna i wiążący się z nią niedostatek energii a pomysłowości. Albo inaczéj i właściwiéj mówiąc, administracya nie potrafiła sprostać swemu wyjątkowemu zadaniu, bo pozostała administracyą ciężką, zardzewiałą i w normalnych warunkach dość opieszale już działającą maszyną, nie wyrzekła się ani jednego kółka wchodzącego w skład jéj skomplikowanego mechanizmu, a nie pomyślała o zjednaniu sobie współudziału tych nierównie przydatniejszych sprężyn i żywiołów, których dostarczyć jéj mogła inicyatywa prywatna, albo jeżeli odwołała się do tego współudziału, to w niezmiernie szczupłych granicach.

Ta ograniczona rola inicyatywy prywatnéj w historyi oblężenia, to jeden z jéj najwybitniejszych i najwięcéj zdumiewających rysów; tém ciekawszy, że przeszedł prawie niepostrzeżenie. Owszem! w prasie spółczesnéj, w ogłoszonych późniéj pamiętnikach spotkać się można co chwila z pochwałami na rzecz tejże prywatnéj inicyatywy i oddanych przez nią usług. Przypatrzmy się tym usługom.

II.

Autor bezimienny, z którego zapisków korzystali czytelnicy „Ateneum“, wspomina o interwencyi syndykatu rzeźników w rozdziale racyi mięsnych, dokonywanym przez municypalność. Najczynniejszemi istotnie, w sferze poza-administracyjnéj, były rozmaite syndykaty: rzeźników, piekarzy, właścicieli sklepów korzennych, handlujących drzewem i węglami i t. d. W jaki sposób objawiała się ta czynność? Dnia 27 września 1870 rozporządzenie ministra handlu zwołało do wielkiéj sali, zwanéj *du Grand-Orient*, przy ulicy Cadet, wszystkich rzeźników paryskich. Na tém zgromadzeniu utworzono „okręgowe“ syndykaty rzeźników. Rzeźnicy każdego okręgu powołanymi byli kolejno dla porozumienia się

z przedstawicielem administracyi, poczém wybrali ze swego łona dwóch, trzech albo czterech delegatów, którym nadal przekazany został mandat reprezentowania korporacyi okręgowéj i służenia za łącznik między nią a municypalnością. Każdodziennie tedy ci dwaj, trzej lub czterej delegaci udawali się do jatek wskazanych im przez municypalność, wybierali ilość mięsa przeznaczoną dla okręgu przez ministra handlu, płacili za nią i rozsyłali ją kilkudziesięciu rzeźnikom osiedlonym w okręgu, z których każdy zwracał cenę zabranego przez się mięsa. Od czasu do czasu merostwo centralne, ministeryum handlu, albo komisya prowiantowa powoływały panów delegatów dla przedyskutowania z nimi téj lub owéj nastręczającéj się kwestyi, wysłuchania ich rad i wniosków. W niektórych okręgach powierzono chwilowo jednemu z delegatów — zawsze ma się rozumiéć pod etykietą municypalności — trudną i skomplikowaną organizacyą „racyi" mięsnych i chlebowych. W ostatniéj, najkrytyczniejszéj chwili, dyrekcya zarządu piekarń *(Direction de la Boulangerie)* w ministeryum handlu powołała dwóch piekarzy (pp. Vaury i Plouin) do stałego przebywania przy jéj boku, dla sprostania mnożącym się trudnościom w dostarczaniu potrzebnéj ilości mąki. Panowie ci wskazali byli oddawna potrzebę niektórych reform: powierzono im teraz wprowadzenie ich w wykonanie. Nie cofnęli się przed zadaniem i spełnili je całkiem bezinteresownie. Cóż więcéj? Nic już prawie. Inicyatywa prywatna nie sięgnęła daléj w tym kierunku.

W innych kierunkach złożyła ona może dowody większéj jeszcze ofiarności, ale ofiarności, że tak powiem, biernéj, nie samodzielnéj, nie twórczéj, rozwijającéj i tutaj swoję dobroczynną działalność pod skrzydłami administracyjnemi. Wyjątek stanowią a m b u l a n s e, których znaczna liczba powstała w rozmaitych dzielnicach za pomocą środków czysto prywatnych. Rola administracyi w stosunku do tych samotwórczych instytucyi ograniczyła się ze strony władz wyższych, na zredagowaniu dla nich pewnéj liczby instrukcyi i regulaminów cywilnych lub wojskowych, ze strony municypalności — na pośredniczeniu między rzeczonemi instytucyami a temiż władzami wyższemi, bądź w udzielaniu im instrukcyi, bądź w dostarczaniu prowiantu, bądź w organizacyi służby lekarskiéj pod kontrolą najbliższego merostwa. Zresztą ambulanse, o których mowa, mieściły się w domach prywatnych, zasilały się funduszami prywatnemi i bardzo wyjątkowo tylko korzystały z pomocy administracyjnéj. W jednym VIII okręgu istniało takich zakładów 23 ze 160 łóżkami ogółem, przeznaczonemi dla rannych.

Natomiast rozwinięta równolegle w czasie oblężenia i środkami także prywatnemi przeważnie zasilana instytucya „tanich“, a właściwiéj mówiąc „bezpłatnych“, kuchni należy już do całkiem odmiennego typu. Nie wiadomo mi o żadnéj kreacyi tego rodzaju, któraby powstała, podczas oblężenia, całkiem samodzielnie. Przed oblężeniem istniało już kilkanaście takich zakładów czysto prywatnego charakteru; oblężenie nie powiększyło ich liczby. Nowe zakłady, które otwarto po 16 września 1870 r., powstały w następujących warunkach. W niektórych okręgach z natchnienia pewnéj liczby wspaniałomyślniejszych mieszkańców, w innych wprost z inicyatywy municypalności, uorganizowany został obok istniejących już w każdém merostwie biur dobroczynności osobny wydział, mający istnieć do ukończenia wojny, z osobnym budżetem, utworzonym i utrzymywanym za pomocą składek jednorazowych lub miesięcznych. Gwoli pobieraniu tych składek, istniejące w każdym okręgu kwartały, w liczbie czterech, podzielone zostały na sekcye, na czele zaś każdéj sekcyi postawiony komisarz municypalny *(commissaire enquêteur)*, wybierający ze swéj strony pewną liczbę wice komisarzy. Komisarze ci i wice-komisarze, nie należący oczywiście do stałego personelu municypalnego, ale powołani na ochotnika z pomiędzy mieszkańców i bezpłatnie swoję służbę pełniąc, zaglądali do wszystkich domów na wszystkie piętra, starając się o uzyskanie bądź obietnicy miesięcznéj składki, bądź jednorazowéj ofiary. Każdy z nich winien był przedstawić książkę składkową, opatrzoną w pieczęć merostwa, i wpisywać do niéj otrzymywane dary; oprócz tego zaś każdemu darowi lub składce miesięcznéj odpowiadać musiał kwit sznurowy, wycięty z księgi utrzymywanéj w merostwie. W ten sposób zebrane zostały dość znaczne fundusze, które dostarczyły wszystkim merostwom podstawy do utworzenia całego „Dodatkowego zarządu pomocy i dobroczynności“ *(Services Complémentaires d'aide et d'assistance)* i były punktem wyjścia do organizacyi wspomnianych wyżéj nowych bezpłatnych kuchni, oraz innych dobroczynnych a tak samo czasowo tylko trwać mających instytucyi. Cztery kuchnie otworzone w VIII okręgu wydawały dziennie ogółem 2140 racyi bezpłatnych; budżet zaś ich przedstawia się jak następuje:

Listopad 1870.

4 kucharki	z płacą	60	fr.		miesięcznie	. .	240	745
4 „	„	40	„		„	. .	160	
4 kontrolerów	„	1	„	50 c.	dziennie	.	180	
1 zarządzający	„	3	„	50 „	„	.	105	
1 posługacz	„	2	„	— „	„	.	60	

		z przenies.	745
Dodatkowe wydatki dla służby	12		
Wino, 1 fr. dziennie na każdą kuchnię . .	120		253 50
Chléb	121 50		
Wydatki na służbę w czterech kuchniach, miesięcznie			998 50
Mięso (konsumpcya miesięczna). . . .	4,863 55		
Ryż, kartofle, itd., id.	793 60		
Opał i rozmaite akcesorya, id.	266 50		6,407 90
Przyprawy rozmaite, id.	464 25		
Zużycie narzędzi i koszta rozmaite . . .	20		
Ogół rozchodu miesięcznego w czterech kuchniach			7,406 40

Czyli dziennie: 246 fr. 88 c.

Ogól racyi wydanych w tymże miesiącu: 64,243

czyli, że (7,406,40 : 64,243) pojedyncza racya kosztowała 0,11 centów z ułamkiem.

Bezpłatne kuchnie oddały niezaprzeczone usługi, choć, niezaprzeczenie także, miały udział w odstręczeniu pewnego kontyngensu ludności roboczéj od szukania środków do życia w łatwo znaleść się dającym zarobku; przyczyniły się do rozpowszechnienia tego wstrętu do pracy i tego bałamutnego stanu umysłów, którego ogniskiem były szeregi gwardyi narodowéj, a którego ostatecznym wynikiem stała się—komuna. Błędy i nadużycia, nieuniknione w zaimprowizowanéj organizacyi, a których czas nie pozwolił sprostować i ukrócić spotęgowały tę ujemną stronę dobroczynnéj skądinąd działalności. Bony, udzielające prawa do korzystania z bezpłatnych racyi, rozdawane były bez dostatecznéj kontroli, dostawały się w niewłaściwe ręce, stawały się przedmiotem karygodnéj frymarki. Za późno spostrzeżono konieczność ściślejszego dozoru, niezbędność szczegółowéj i szafunek bonów uprzedzającéj ankiety. Pomyślano, ale za późno także, o udoskonaleniu przyswojonego mechanizmu przez szersze zastosowanie systematu decentralizującego, przez odosobnienie każdéj pojedyńczéj kuchni, przywiązanie jéj do pojedyńczego kwartału i powołanie do służby w każdym kwartale pewnéj liczby komisarzy śledczych, którzy w ograniczonym w ten sposób obrębie działając, mieli by możność rozwinięcia skutecznéj kontroli. Przygotowano nawet wzór książeczek służyć mających do tego celu w rękach owych komisarzy. Zamieszczam go tutaj, choć nie wszedł nigdy w użycie, bo przydatnym się okazać może, gdzieindziéj i kiedyindziéj, — nawet po za hypotezą oblężenia.

Okręg N.

Merostwo N.
przy ulicy....

—

Komisarz śledczy
P. N.
przy ulicy....

—

Uwagi w przedmiocie osoby, żądającej przypuszczenia do bezpłatnej kuchni.

Imię i nazwisko Wiek. Profesya? Zamieszkanie. Czy żonaty lub zamężna? Dzieci? Ich imiona i wiek, oraz zdolność do pracy. Środki utrzymania? Czy należy wydać książeczkę do pobierania racyi? Jak długo może uczęszczać tymczasowo do kuchni? Ile racyi dziennie. Raport przedstawiony dnia	
Czy należy cofnąć książeczkę? Albo zawiesić ją i na jak długo? Albo zostawić ją w rękach posiadacza? W takim razie na jak długo? I na jaką liczbę racyi dziennie?	Dnia.....

I tak dalej. Książeczki, odpowiadające tym indagacyjnym raportom i przeznaczone dla kandydatów do bezpłatnych kuchni, miały przybrać kształt następujący:

Okręg. N.
Merostwo N. przy ulicy...

—

Książeczka bezpłatnej kuchni.

Nazwisko Posiadacza oraz członków jego rodziny.	Imiona.	Wiek.	Profesya.

Mieszkanie Kuchnia, do której książeczka niniejsza daje przystęp Godzina do wydawania racyi.	
Na czas od do Na racyi dziennie	

I tak dalej. Stało się wszelako z temi projektami reorganizacyi tak jak z Buchmanową radą.

Z tym samym co i bezpłatne kuchnie charakterem funkcyonowała w niektórych okręgach, podczas oblężenia, instytucya municypalna, do której wzoru dostarczyło stowarzyszenie prywatne, istniejące już przed oblężeniem a trudniące się zbieraniem funduszów dla bezpłatnego rozdawania przedmiotów do ubrania służących. Oprócz bezpłatnych d a r ó w tego rodzaju, urządzone zostało w nowo utworzonych „*Lingeries Municipales*“, bióro w y p o ż y c z e ń. Przedmioty różnego rodzaju, w ten sposób wypożyczane i zwracane zwykle z godną podziwienia skrupulatnością, szły do prania lub oczyszczenia, dostawały się nowym klientom, zawsze tytułem pożyczki. W VIII okręgu wypożyczano, podczas oblężenia, 2o5 par prześcieradeł i 1,5oo koszul męzkich, kobiecych i dziecinnych. R o z d a r o w a n o zaś jednocześnie.

Płaszczów i mantylek	460
Spódnic	300
Bluz dziecinnych	105
Majtek id.	150
Spodni męzkich	52
Paltotów id..	45
Kalesonów, fartuchów, szalów, płaszczyków dziecinnych	300
Pończoch kobiecych i dziecinnych . . .	230
Kolder	95
Materaców	54
Sabotów i trzewików par	1,100
Ogółem . . .	2,951 przedmiotów

Inne biura, utworzone w merostwach, zawsze za pomocą funduszów prywatnych, drogą wyżej oznaczoną zebranych i przy bezinteresownym współudziale mieszkańców, czas swój i pracę poświecających, trudniły się wykupem przedmiotów zastawionych w lombardzie miejskim. Systemat, w tym celu przyjęty dla uniknięcia nadużyć, polegał na porozumieniu się zarządu lombardowego z merostwem i ustanowieniu tym sposobem ścisłej kontroli. Zarząd lombardowy otwierał kredyt do pewnej wysokości merostwom, żądającym go, i wydawał zastawione przedmioty za okazaniem kwitu poświadczonego w merostwie po przeprowadzeniu odpowiedniej ankiety. Dla zapobieżenia spekulacyi, która by polegała na zastawianiu przedmiotów, celem uzyskania kwoty pieniężnej, i upominania się nazajutrz o ich bezpłatne wykupienie, wykupowanemi być mogły jedynie przedmioty od dość dawnego czasu zastawione.

Mimo tych kosztownych operacyi, ofiarność prywatna zostawiała jeszcze w kasach municypalnych dość znaczny remanent, zużytkowywany drogą rozmaitych jałmużn i zasiłków, bonów na drzewo naprzykład, na mléko i inne artykuły spożywcze. Podług obliczenia opartego na zebranych owocześnie danych, korzystało w ten sposób ze wspaniałomyślności publicznéj, przez czas oblężenia, około 400.000 osób. Cyfra to wykazująca niezaprzeczoną przesadę, jawną niewłaściwość w działalności instytucyi dobroczynnych i w szafunku jałmużnego grosza. Tyle osób pozbawionych środków utrzymania nie było albo nie powinno było być w Paryżu. Dobroczynność stawała się na téj drodze narzędziem rozpróżniaczenia i demoralizacyi, których skutki srogo się uczuć następnie dały. Scentralizowanie wszystkich prywatnych przedsięwzięć w municypalném ognisku i posługiwanie się jego biurokratycznym mechanizmem przyczyniło się niezawodnie do pomnożenia nadużyć i powiększenia marnotrawstwa. Nie przeszkadza to niektórym, nawet liberalnie niby usposobionym, umysłom, wytykać teraz jeszcze, jako błąd n i e d o s t a t e k c e n t r a l i z a c y i w spółczesném uorganizowaniu instytucyi dobroczynnych. P. Clemageran mianowicie, pełniący od września 1870 do stycznia 1871 obowiązki adjunkta przy merze paryskim, ubolewa nad tém, iż osobna komisya, ustanowiona pod jego przewodnictwem dla przeprowadzenia takiéj centralizacyi, nie potrafiła sprostać swemu zadaniu. Tak głęboko przeniknął do organizmu społecznego duch napoleońskiéj tradycyi! Z większą samodzielnością poczynając, inicyatywa prywatna byłaby z pewnością zrobiła na tém polu, które było jedyném prawie dla niéj otwartém, jeżeli nie więcéj, to lepiéj. Gdyby zaś przynajmniéj municypalność owa, o którą opierały się w ostatecznym wypadku i pod któréj płaszczyk garnęły się wszystkie szlachetne usiłowania, gdyby owa municypalność była przynajmniéj panią u siebie, samodzielną ze swéj strony przedstawicielką reprezentowanych przez się interesów, ich swobodnie i niezależnie działającym organem! Ale pora wykazać właśnie, że w tym względzie działo się całkiem inaczéj.

III.

Nagromadzenie prowiantowych zapasów w oblężonym Paryżu było, jak już wiadomo, dziełem różnorodnych czynników, bez jakiegokolwiek w tém uczestnictwa saméj municypalności. Skoro jednak w ten lub inny sposób miasto przyszło do posiadania tego prowiantu i chodziło obecnie o wyżywienie za jego pomocą tegoż mia-

sta przez czas jak najdłuższy, zdaje się, iż nie komu innemu tylko zarządowi miejskiemu winno było być powierzone rozwiązanie tego zadania. Merostwo centralne, a obok niego rada municypalna, czy téż komisya wyznaczona z łona téj rady, oto dwa przez logikę wskazane czynniki naturalnego w tych warunkach samorządu. Ze względu na okoliczności, porozumiewanie się co do niektórych punktów z niektórymi członkami rządu naczelnego, z ministrem wojny, z ministrem handlu, z gubernatorem miasta, musiało by pozostawać koniecznėm, ale nie paraliżowało by normalnego działania właściwych organów administracyi miejskiéj. W praktyce, któréj pamięć zostawiły dzieje oblężenia, całkiem odmienny systemat utrzymał się do końca tragicznéj epoki.

A najpierw rady municypalnéj nie było wcale. Było, zbierające się w Ratuszu, zgromadzenie merów i adjunktów okręgowych, którzy od 4 września do 4 listopada 1870 r. byli wybranymi z ramienia Rządu obrony narodowéj, (po dokonanéj 4 września rewolucyi); następnie zaś dopiero uzyskali swój mandat drogą głosowania powszechnego. P. Carnot ojciec w VIII okręgu pozostał merem w obu tych peryodach; tak samo p. Clemenceau w XX-ym. W innych okręgach głosowanie powszechne sprowadziło liczne zmiany. Przed dniem 4 listopada wszelako, tak jak i późniéj, zgromadzenie wyżéj wspomniane zachowało głos czysto doradczy; postanowienia jego nie miały nigdy mocy obowiązującéj. Zajmowało się zaś ono, na swych posiedzeniach, kwestyami prowiantowemi, ale podobno najmniéj stosunkowo, mając czas i uwagę pochłonioną najczęściéj przez inne zagadnienia, polityczne lub strategiczne. Któż więc właściwie zajmował się sprawą żywności, jéj szafunkiem najoszczędniejszym, rozdziałem najsprawiedliwszym i utrzymaniem w ruchu całego wielce skomplikowanego mechanizmu, przeznaczonego do spełnienia tego zadania? Bardzo wiele osób, każda z osobna, każda po trosze i każda po swojemu. Wynikało to po części z samego wyżéj zaznaczonego sposobu, w jaki nagromadzone zostały rozporządzalne zapasy prowiantowe, głównie zaś z niedających się przełamać nawyknień rutynicznych i biurokratycznych kompetycyi.

Minister handlu zakupił większą liczbę bydła, mąki i niektórych innych artykułów spożywczych; więc minister handlu przyznawał sobie prawo rozporządzania tą częścią wspólnego dobra. Jednak municypalność, na mocy historycznych przykładów, mieniła się jedynie upoważnioną do oznaczania taksy chleba, a także do administrowania magazynami w obrębie miasta położonemi. W rezultacie, municypalność taksowała chléb, a ministerium handlu taksowało mięso. Dozór nad bydłem i utrzymanie tegoż należały do

ministra handlu; municypalność natomiast czuwała nad mąką, jarzynami suchemi, kartoflami i wogóle wszelkiemi przedmiotami podlegającemi przechowaniu w magazynach. Wszelako mąka, złożona w magazynach będących pod kluczem municypalności, wychodzić z nich mogła jedynie na mocy rozporządzenia ministeryalnego. Skoro wyszła, przestawała podlegać ministeryalnéj juryzdykcyi i podział jéj między piekarzy dokonywał się pod wyłącznym nadzorem municypalności. Inaczéj z innemi artykułami spożywczemi, oraz z produktami rzeźniczemi; te szły na sprzedaż lub dostawały się merostwom okręgowym bezpośrednio z ramienia ministra. Ale służba statystyczna, dotycząca podziału wszelakich alimentów, przypadała znowu w udziale municypalności. Młyny parowe założone w warsztatach Caił et C-ie zależały od merostwa, inne od ministerium handlu. I tak daléj.

Wobec tego zamieszania, powzięto utworzenie komisyi prowiantowéj, (*commission supérieure de subsistences*). Weszło do jéj składu dwóch ekonomistów pierwszorzędnéj wartości (pp. Cernuschi i Cochut), dyrektor wschodniéj kolei żelaznéj (p. Sauvage), mer naczelny paryski z jednym ze swoich adjunktów i czterech ministrów, a mianowicie spraw wewnętrznych, handlu, finansów — i oświaty. Co ten ostatni robił, czy miał robić w zgromadzeniu, do którego został powołany, trudno zgadnąć. Nie mniéj trudną do wyjaśnienia okoliczność, dla któréj usunięto ministra wojny. Po odjeździe Gambetty, liczba ministrów pozostała ograniczona do trzech. Natomiast w ostatniéj chwili, na kilka dni przed kapitulacyą, przywołano trzech merów okręgowych, pp. Vautrain, Desmaret i p. Tirard—wsławionego późniéj zapodzianiem 100 milionów ministra finansów trzeciéj rzpltéj, trudniącego się owocześnie sprzedażą zegarków i biżuteryi *en faux*.

Co zaś miała robić ta komisya? Niesłychane mnóstwo rzeczy. Obmyślono ją właśnie jako narzędzie przeznaczone do zapobieżenia chaosowi wynikającemu ze skomplikowanego składu funkcyonującéj maszyny administracyjnéj, do sprzęgnięcia luzem chodzących jéj kół i kółek i osięgnięcia tym sposobem pożądanéj harmonii i precyzyi w działaniu. Opracowany w tym duchu program ogarnął moc atrybucyi i obowiązków. Winni byli pp. komisarze ułożyć statystykę rozporządzalnych zapasów prowiantowych, śledzić ruchu dostaw i spotrzebowań, przyjmować, w tym celu, czytać i analizować sporządzane *ad hoc* tablice, wchodzić w porozumienie z merami okręgowemi, z syndykami korporacyjnymi, z komitetem hygienicznym, z główniejszymi przedstawicielami przemysłu i handlu prowiantowego, podejmować inicyatywę wszystkich naglących posta-

nowień i pilnować ich wykonania, roztrząsać właściwość proponowanych rekwizycyi, rozpatrywać z uwagą wszystkie bardzo wielorakie systematy „racyonowania", narzucić racyonalny kierunek instytucyom dobroczynności publicznéj, doprowadzić wreszcie do skutku i utrzymać niezbędne a podlegające częstym trudnościom, porozumienie z intendenturą: zaimprowizowani kierownicy, téj miary co Gambetta, przypuścili bez wahania, iż są w stanie sprostać takiemu zadaniu. W rzeczywistości i w ostatecznym rezultacie stworzyli tylko w mającym się uregulować mechanizmie jeszcze jedno ogromne koło, które, zaczepiając wszystkie inne i między niemi się plącząc, stawało się jednym więcéj czynnikiem zamieszania i nieładu, zawadzając wszędzie, nigdzie prawie jakiejkolwiek nie przynosząc pomocy. Tak obecny minister handlu, jak i minister spraw wewnętrznych, jak i minister finansów, mieli po za sferą zamierzonych czynności komisyjnych, aż nadto do robienia; żadnego zaś z nich dawniejsze zajęcia nie przygotowały do działań objętych komisyjnym programem. Brakło im czasu i brakło kompetencyi Komisya zbierała się nieregularnie; zebrana gubiła się w bezowocnych dyskusyach; a w sferę akcyi wchodząc, spotykała się z niechęcią władz nie uznających jéj powagi.

Dodajmy jedną jeszcze sprężynę w maszyneryi i jedno jeszcze jéj mechanizm komplikujące narzędzie: częstą bezpośrednią interwencyą Rządu obrony narodowéj, objawiającą się w formie rozporządzeń arbitralnych, ustanawiających niektóre rekwizycye, niektóre taksy, niektóre zmiany w podziale racyi, jako narzucone w imieniu najwyższego prawa, *supremae legis salutis publicae*.

Oto obraz administracyi, z którą Paryż przetrwał czteromiesięczne oblężenie. Zebrały się w jéj składzie i w jéj działalności najróżnorodniejsze żywioły i najsprzeczniejsze pojęcia a zasady. Obok specyalistów fachowych, takich, jak wspominani już pp. Clamageran, Siegfried, Desmarets i inni, występowali tu teoretycy tacy, jak p. Cernuschi lub sam Arago, a wreszcie literaci i adwokaci: Juliusz Simon i Gambetta. Obok centralizacyi najabsolutniejszéj, a usprawiedliwionéj poniekąd, przynajmniéj w pewnych kierunkach, wyjątkowością położenia, jawiły się na każdym kroku próby lokalnego samorządu, duchem republikańskiéj teoryi natchnione, ale nieudolne, źle godzące się i trudne zresztą do pogodzenia z przeciwnemi owemi dyktatorskiemi prądami. Zostawiono merom okręgowym możność i obowiązek rozdzielania racyi przeznaczonych dla mieszkańców okręgu, ale ustanawiano z góry cyfrę tych racyi. Gdy ta cyfra nie okazywała się w zgodzie z cyfrą gęb do wyżywienia, co było codziennym przypadkiem, wypadało municypalnościom

radzić sobie, jak umiały. Raz po razie, w epoce, w której mięso solone stało się już codzienną strawą oblężonych, nadsyłano z ministeryum handlu do merostwa okręgowego dowolnie oznaczoną w biurach ministeryalnych ilość mięsa świeżego, dla podzielenia między mieszkańców. Raz po razie po dokonaniu obrachunku w biurze municypalném, okazywało się, że nie ma czém obdzielić wszystkich, chyba przepoławiając najdrobniejsze kosteczki, albo przypuszczając jednych do podziału, z pominięciem drugich. Co zrobić z tém mięsem? Nie było dnia, któryby nie zapisał się w pamięci owoczesnych administratorów stolicy wspomnieniem takiego lub innego podobnego kłopotu.

Błędy, których cały ten systemat stał się powodem, a które przyczyniły się tak do przyśpieszenia kapitulacyi, jak i do zwiększenia cierpień spowodowanych oblężeniem, musiały być liczne. Podług obrachowania, wychodzącego z bardzo poważnych źródeł, Paryż mógł, przy racyonalniejszém zużytkowaniu posiadanych przez się zasobów, wytrwać co najmniéj dwa tygodnie dłużéj. Zdaniem zaś wielu specyalistów, generała Ducrot w szczególności i generała Chanzy, takie odroczenie katastrofy mogło mieć w dalszym obrocie wojennych i politycznych wypadków doniosłość ogromną. Rozpoznajmy główniejsze z tych błędów.

IV.

Kardynalnym błędem było nieobrachowanie się z rozporządzalnemi zapasami prowiantowemi. Że nie przewidziano długości oblężenia, że nie zastosowano odrazu tych środków wszystkich, za pomocą których przedłużono później walkę, a które wcześniéj wprowadzone w użycie, byłyby oczywiście pozwoliły przeciągnąć ją nierównie dłużéj, że nie wzięto się od pierwszego dnia do „rekwizycyi“ i „racyi“, to daje się usprawiedliwić. Oblężenie 1870 r. jest zjawiskiem bez przykładu w dawniejszéj historyi świata. Dziś wiadomo, że można zamknąć i utrzymać w zamknięciu przez cztery miesiące dwa miliony ludności i 300,000 żołnierza. Ośmnaście lat temu możliwość ta nie miała w swojéj stronie prawdopodobieństwa. I dziś zaś jeszcze nie wiadomo, czy ta sama dwumilionowa ludność, poddana odrazu takiemu heroicznemu doświadczeniu, jakiém jest zawieszenie normalnych funkcyi w najdrażliwszéj bądź-co-bądź części organizmu społecznego, skazana z dnia na dzień i bez stopniowego przygotowania, na rachowanie się z każdym kawałkiem mięsa i kęsem chleba, nie przywiedziona powoli do tego wyjątkowego stanu moralnego, w którym entuzyazm walką kilkomiesięczną

podsycony miesza się z apatyą, wywołaną kilkomiesięcznemi wysileniami, czy ta ludność wytrzymałaby narzuconą sobie próbę. Odzywając się z pytaniem: jak długo można wyżywić d o b r z e dwa miliony gęb zamkniętych w stolicy, generał Trochu stawiał prawdopodobnie kwestyą w najwłaściwszych terminach. Że nie pomyślał o tém, jak długo możnaby wyżywić je ź l e, zaczynając od tego na czém skończono, mierząc od pierwszego dnia każdéj gębie taką ilość pokarmu, jaka niezbędną być mogła do utrzymania życia, z tego nie ośmieliłbym się dziś jeszcze robić mu zarzutu. Bezimienny autor drukowanych w „Ateneum“ zapisków wspomina o powtarzających się często, nawet w ostatniéj epoce oblężenia, nadzwyczajnych dystrybucyach prowiantu, przekraczających systematyczną normę codziennych „racyi.“ I ta rozrzutność daje się wytłómaczyć. Musiano przecież rachować się z psychologicznemi i fizycznemi wreszcie wymaganiami społeczeństwa, od którego skądinąd żądano tak wiele. Uznawano bardzo słusznie konieczność folgowania od czasu do czasu nadmiernie wyciągniętéj strunie. Zużytkowywano zresztą najczęściéj zapasy zachować się dłużéj nie dające, zagrożone zepsuciem. Ale że nie wiedziano i nie wiedziano nigdzie, i nie wiedziano do końca, ile jest właściwie do jedzenia i co pozostaje z wyczerpujących się zapasów, i na jak długo ta oszczędzona pozostałość wystarczyć może, to już nie daje się usprawiedliwić. A nie wiedziano, nie wiedział dokładnie nikt! Na posiedzeniu członków rządu odbytém 15 października, przyjęto dwa miesiące jako m a k s y m u m dającego się przewidzieć oporu z rozporządzalnemi zapasami; dwoma zaś miesiącami późniéj ten sam rząd obwieszczał uroczyście, że chleb n i e b ę d z i e n i g d y r a c y o n o w a n y. Co znaczyć mogło to oświadczenie? Czy to, że Paryż podda się przed wyczerpaniem wszystkich możliwych środków oporu? Chyba nie. Więc chyba to, że rozporządzalne zapasy zboża i mąki są niewyczerpalnemi? Zaogniona walką i rzeczywistym ogromem wprowadzonych do téj walki zasobów oszołomiona fantazya ludowa godziła się istotnie z takiém przypuszczeniem. Ale rozporządzający mącznemi zapasami minister handlu wiedzieć przecie musiał, że już teraz, w grudniu, domieszywano mąkę owsianą do pszennéj! Wiedział o tém, ale ani on, ani nikt inny w sferach rządzących nie umiał wziąć i téj pszennéj i téj owsianéj mąki pod krédkę, z należytą ścisłością. Rachowano *grosso modo*; chciano także jakoby zapobiedz panice wywoływanéj przedwczesnemi wieściami o wyczerpaniu zapasów mącznych. Ale jaką wartość mogło miéć w tym względzie odroczenie z dnia dzisiajszego na jutro tego, do czego przyjść tak czy siak trzeba było, a lepiéj było przyjść jak

najprędzéj? Gdy d. 19 stycznia zresztą racyonowanie chleba ogłoszone zostało urzędownie, istniało już ono *de facto* od kilku tygodni. Od kilku tygodni bowiem, zamiast 7,000 cetnarów metrycznych mąki; których domagała się codzienna konsumpcya, dostarczyć jéj były w stanie funkcyonujące młyny parowe tylko 5,000. Racyonowanie przychodziło tedy samodzielnie do skutku—w piekarniach. Tylko ma się rozumiéć bez żadnego systematu, z otwarciem drogi wielorakim nadużyciom. Kto zapłacił drożéj, dostawał więcéj; kto nie potrafił wziąć się umiejętnie do rzeczy, albo okupić się nie był w stanie, nie dostawał nic. Tym sposobem urzędowe „racye“ powitane zostały przez większość publiczności z zadowoleniem; były rzeczywiście względném dobrodziejstwem. Jednak niektórzy członkowie komisyi prowiantowéj oświadczali się za utrzymywaniem *status quo*, jako najdogodniejszego, i właściwie tylko nacisk opinii rozstrzygnął kwestyą.

Opinia w tym przypadku znalazła się po stronie słuszności; w wielu innych razach wszelako stała ze strony rządu uległość jéj wyrokom, należąca do charakterystycznych znamion epoki, wywdzięczyła się mniéj pożądanemi wynikami. Ze stanowiska bezwzględnéj krytyki historycznéj, trudno piętnować zbyt surowo tę potulność owoczesnych przedstawicieli władzy w oblężonéj stolicy. Pamiętać wypada o tém, jacy to byli ludzie, skąd się wzięli i w jaki sposób uzyskali swój mandat. Nie mniéj przeto niedostatek powagi w sprawowanéj przez nich reprezentacyi urzędowego autorytetu niechwalebnemi upamiętnił się pomnikami. Zaliczyć do nich należy przedewszystkiém wielorakie rekwizycye i taksy podejmowane z dnia na dzień i zarzucane następnie po stwierdzeniu, drogą doświadczenia, ich niepraktyczności. Opinia, czyli to, co się nazywa opinią w takich razach, głos prasy, wołania klubów, wrzask zbiegowisk ulicznych, zwróciły się od samego początku i z zapamiętałością w tę stronę. P. Clamageran wspomina o tém, że na kilka tysięcy listów otrzymanych przez się w tym czasie a dotyczących palącéj kwestyi prowiantowéj, jeden tylko domagał się zniesienia pewnéj taksy; setkami natomiast naliczył się takich, które oświadczały się w kierunku przeciwnym. Wytrawniejsze nawet umysły traciły, śród powszechnego zamętu pojęć, świadomość elementarnych zasad ekonomicznych. Artykuły p. Molinari w *Journal des Economistes* zalecały brutalną formułę: „racyonowanie za pomocą drogości“ („*rationnement par la cherté*“) czyli ograniczenia konsumpcyi przez arbitralne podwyższenie ceny wszystkich produktów. W gruncie rzeczy przejawiał się tym sposobem ten duch d y k t a t o r y a l n y, który tkwi na dnie ducha francuskiego, a którego

owocem są w historyi tak dobrze Jakubinizm jak i rządy Ludwika XIV-go. Gwoli duchowi temu tedy i dla uczynienia zadość jego natchnieniom, rekwirowano i taksowano na prawo i na lewo, a często na opak.

Doświadczenie, wzbogacone w ciągu oblężenia 1870 roku wymownym przyczynkiem eksperymentalnych danych, przekonywa, iż zarówno rekwizycye jak i taksy stosowanemi być mogą dla osiągnięcia pożądanego celu, jedynie do przedmiotów, które łatwo dosięgniętemi być mogą, a z trudnościa ukryć się dają i które także istnieją w ilości dostatecznéj dla dzielenia ich na racye. Z jednéj bowiem strony nie może być mowy o uorganizowaniu personelu policyjnego, dostatecznego dla zrewidowania od suteryn do strychu takiego, a nawet mniejszego miasta, jak Paryż i wytropienia produktów kryjących się a przedstawiających dużą wartość w małéj objętości. Przekonano się o tém w Paryżu nawet z kartoflami. Rekwizycya tego produktu zarządzona, na żądanie opinii, doprowadziła do pochwycenia około stu hektolitrów! Reszta schowała się, sprzedawała się kryjomo po zdwojonych cenach, albo psuła się w niedostępnych kryjówkach. Po kilku tygodniach opinia skłoniła się do uznania swojego błędu. Zniesiono rekwizycyę i kartofle pojawiły się na nowo, jakby za uderzeniem laski czarodziejskiéj. Tę samę próbę odbyto z wędlinami, zarekwirowanemi także chwilowo i z cukrem, na który, zawsze pod naciskiem opinii, rezolwowano się, po długim oporze, nałożyć taksę. Przyczém objawiła się jeszcze ta charakterystyczna okoliczność, że uchwalona w porozumieniu z syndykami cechu episyerskiego i przez mera paryskiego (owocześnie p. Juliusza Ferry) przyjęta taryfa, dość umiarkowana, ukazała się nazajutrz w „Dzienniku Urzędowym“ ze zmianami pociągającemi za sobą daleko znaczniejsze odstąpienie od ceny normalnéj. Nie wiadomo dotąd dobrze, kto był sprawcą téj poprawki, świadczącéj drastycznym tym przykładem o chaosie panującym w machinie urzędowéj. Cukier s c h o w a ł s i ę tedy, tak jak pochowały się kartofle, szynki i kiełbasy.

Z drugiéj strony jedyne, właściwość za sobą mające rekwizycye zboża, mąki, mięsa, koni, drzewa i węgla doprowadziły w mniéj lub więcéj krótkim czasie do „racyonowania“ i musiały doń doprowadzić. W rzeczy saméj rekwizycya pociąga za sobą sprzedaż z ramienia rekwirującéj władzy po oznaczonéj przez nią cenie, a więc taksę. Taksa ta musi być albo znacznie wyższą od ceny normalnéj, albo znacznie niższą; inaczéj bowiem rekwizycya nie usprawiedliwia się, nie ma racyi bytu. Jeżeli taksa jest znacznie wyższą, tedy staje się krzywdzącą dla największéj liczby osób, stwarza monopol

potworny na rzecz klasy bogatszéj. Jeżeli jest znacznie niższa, staje się zachętą do konsumpcyi i prowadzi za sobą szybsze wyczerpanie zapasów, o których oszczędzenie właśnie chodzi. Z temi pewnikami ekonomicznemi nie rachował się oczywiście fetyszyzm ludowy, upatrujący zbawienie w dyktatorskich ograniczeniach wolności. Fetyszyzm zaś ten przetrwał nawet epokę oblężenia. Głośnemi stały się późniéj krytyki wymierzone przeciwko kontraktom dostawowym, podjętym przez ministra handlu, już po podpisaniu kapitulacyi, celem zaopatrzenia w żywność wygłodzonego miasta. Odezwano się, i bardzo słusznie, z tém, że wolny handel, przy otwartych bramach, byłby wyręczył ministeryalną inicyatywę, i na warunkach nierównie korzystniejszych. Ale zapomniano o tém, że robiąc to co zrobił, p. minister posłusznym się jedynie okazał, raz jeden więcéj, wymaganiom opinii. W chwili kapitulacyi, nikt albo prawie nikt nie przypuszczał możności obejścia się bez rządowéj interwencyi. Wszystkie, albo prawie wszystkie oczy zwracały się ku przedstawicielom autorytetu urzędowego, otoczonego nimbem wszechwładzy, i wszystkie albo prawie wszystkie usta otwierały się do wołania: róbcie w y co potrzeba, abyśmy nie umarli z głodu, kupujcie w y po jakiéj bądź cenie, sprowadzajcie w y jakimbądź kosztem, bo inaczéj zginęliśmy.

Obok dyktatoryalnych upodobań i nawyknień, nie mniéj głęboko zakorzeniony duch rutyny odzywał się w tym samym sensie. Kiedy współdziałające z urzędowemi wysileniami i bez porównania od nich skuteczniejsza przedsiębierczość prywatna sprowadziła już napowrót obfitość, merostwa upierały się jeszcze przy utrzymaniu „racyonowania", i opinia sympatyzowała poniekąd z tą aberacyą. Przyzwyczajono się już do książeczek prowiantowych, do skąpo wymierzanych okruchów strawy i do pokutowania całemi godzinami u drzwi piekarń i sklepów rzeźniczych, i z obawą podejrzliwą przyjmowano—wolność! Wolność najedzenia się do syta. Nie dość tego: na zgromadzeniu merów okręgowych, w ciągu dwóch posiedzeń roztrząsano poważnie i uporczywie kwestyą : czy dopuścić swobodne wprowadzanie mięsa w otwarte bramy? I faktem historycznym jest, że większość skłoniła się po długich wahaniach do afirmatywy jedynie wobec tego argumentu, że zamknięcie bram wolnéj dostawie żywności nasunąć może Europie przypuszczenie, że poddano się przed wyczerpaniem wszystkich zapasów!

Któryś humorysta, Heine podobno, powiedział: „każden naród kocha wolność po swojemu; Anglicy kochają ją jak żonę, Francuzi jak metresę, Niemcy jak prababkę". „Jest dużo prawdy w tym koncepcie", pisze p. Clamageran; „kochamy w rzeczy saméj wolność

kapryśnie, urywkowo; kochamy ją, nie umiejąc jéj szanować, a tak namiętnie i ślepo, że czasem bierzemy za nią to, co jest jéj przeciwieństwem. Zdarza nam się, że dopatrujemy się jéj w gwałtowności, i wtedy ubolewamy nad tém, co nazywamy, bardzo niesprawiedliwie, jéj nadużyciami, albo we wszechwładzy, a wtedy wyobrażamy sobie, że naród wolnym jest przez to samo, że większość w nim rządzi. ...W gruncie rzeczy jesteśmy ludem auktorytalnym; jedna tylko władza budzi u nas zaufanie... Oczekujemy od niéj cudów.., gdy zaś te nie przychodzą do skutku, zwracamy się do innego autorytetu, ale zawsze do autorytetu. Nie przychodzi nam do głowy, iżby inicyatywa nasza służyć mogła do czegośkolwiek, chyba do wywierania nacisku na postanowienia rządu. Pozytywizm nie uczynił nas pozytywnymi, przeciwnie: wprowadzamy do świata rzeczywistości ziemskich metody i formuły ortodoksyi... Twierdzenia zuchwałe, oświadczenia dogmatyczne, manifestacye teatralne, wszystko co charakteryzuje ducha kościelnego, wszystko aż do fanatyzmu i nietolerancyi, odnajduje się w łonie niektórych sekt socyalistycznych"...

Wyznania te posłużyć mogą za tło do psychologicznego portretu społeczności paryskiéj w epoce oblężenia.

V.

A jednak epoka ta należyć będzie do wielkich kart w historyi ludu, który ją przebył i lud ten samą tą przebytą próbą złożył niedające się zaprzeczyć świadectwo rzeczywistéj wielkości ducha. Administracya nie była wolna od usterek, z których wytknęliśmy główniejsze, ale spełniła swoje zadania tak jak je pojmowała, z sumiennością, nie podlegającą żadnemu prawie zarzutowi a z wytrwałością i poświęceniem, godnemi najwyższego uznania. W ministeryach, w merostwach, w ratuszu biura pracowały dniem i nocą. W ciągu srogiéj zimy, śród śnieżnych zamieci, można było widzieć urzędników uwijających się do północy po magazynach, po sklepach, po ulicach, dla zapewnienia należytéj dostawy mąki lub mięsa. Nie wiadomo mi o żadnéj na wzmiankę zasługującéj malwersacyi. Nie wiadomo mi o przypadku, w którym czyjaśkolwiek dobra wola nie była by dopisała narzuconym jéj ofiarom.

Prywatna inicyatywa, skrępowana nie dającemi się przezwyciężyć a zaznaczonemi wyżéj ograniczeniami, nie miała odpowiedniego pola do popisu, ale w szczupłym zakresie swéj działalności nie zawiodła żadnego oczekiwania. Ktokolwiek z po za urzędowéj

sfery powołany został do robienia czegoś, robił jak mógł i umiał najlepiéj, nie żałując czasu i trudu, a nie wymagając żadnego wynagrodzenia, prócz tego, które udziela poczucie spełnionego obowiązku.

Ofiarność zamożniejszéj klasy, w kierunku przedsięwzięć dobroczynnych, o których wspomnieliśmy, sięgnęła bezprzykładnych w historyi rozmiarów.Fundusze wydane na utrzymanie ambulansów, bezpłatnych kuchni, biur dobroczynności i innych zaimprowizowanych prywatnych lub urzędowych instytucyi, nie dają się obliczyć ściśle dla braku dokumentów; rachunek wszelako na częściowych danych oparty prowadzi do cyfr obejmujących dziesiątki milionów fr. Podług notatki udzielonéj mi przez administracyą Lombardu, sumy, wniesione za pośrednictwem merostw na wykup zastawionych przedmiotów, wyniosły przeszło 300,000 fr.

Nadewszystko zaś pozostać musi na zawsze przedmiotem podziwu męztwo, wytrzymałość, her izm dwumilionowéj ludności, która nie wzdrygnęła się przed ża .ną próbą, nie ulękła się żadnéj groźby, nie dała się znękać żadném cierpieniem, i nietylko nie paraliżowała walki swoją postawą, ale podtrzymywała ją i podniecała, gotową się okazując zawsze do wszystkiego, determinowaną na wszystko; i nietylko nie straciła odwagi ale nie straciła wesołego humoru, i mrąc z głodu, marznąc a zbierając czerepy pękających dokoła granatów, pośpiewywała jeszcze i dowcipkowała od czasu do czasu. Od czasu zaś do czasu także szła na wały i ginęła, bądź-cobądź, pierś nadstawiając. Nie dokazała wprawdzie niczego wielkiego w tym ostatnim kierunku i nie pokusiła się nawet o to. Wielka wycieczka *en masse*, o którą upominała się także opinia, pozostała w sferze niespełnionych pragnień popularnéj ideologii. Znalazły się głosy dla ubolewania nad małodusznością kierowniczych sfer, które nie dopuściły téj jednéj więcéj ofiary dla honoru Francyi—bo nie znalazł się nikt zdolny przypuścić, iżby wycieczka owa mogła miéć inną praktyczniejszą skuteczność. Każdy trzeźwiejszy umysł odda chyba w tym względzie sprawiedliwość ludziom, którzy się cofnęli przed ściągnięciem na siebie takiéj odpowiedzialności. Honor Francyi nie wymagał tego morza krwi i tego potwornego stosu trupów, na których byłby wziął koniec tego rodzaju zamach. Nie jest to rzeczą oblężonego miasta odeprzéć i pokonać oblegającą go armią. Wytrzymać jak najdłużéj w zamknięciu, oto jedyne narzucające mu się zadanie. Temu zadaniu odpowiedział Paryż jeżeli nie tak długo, jak by był mógł, z absolutnego stanowiska środki oporu rozważając, to dłużéj niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Pamiętajmy zaś, że nie chodziło tutaj, jak w innych oblężeniach, jak w Wie-

dniu a nawet w Saragossie, o wybór między jedną a drugą ostatecznością, między śmiercią głodową a rzezią lub rabunkiem. Każdy Paryżanin wiedział dobrze, że wchodzący do Paryża Prusacy nic mu nie zrobią, a nawet przyłożą rękę chętnie do odżywienia go i utrzymania bezpieczeństwa publicznego, a jednak dla tego tylko, żeby nie weszli, dla całości ojczyzny i honoru miasta, marł z głodu, marzł i witał uśmiechem świszczące nad jego głową bomby.

Lud, który wpisał do swojéj historyi przed ośmnastu laty taką kartę, nie może należyć do tych, dla których księga dziejowa jest blizką zamknięcia.

Z.





PRÓBA PRZEKŁADU ENEIDY.

O polskich przekładach Eneidy.

Powiedział już Naruszewicz przed laty w jednéj ze swoich satyr:

„Głupi, kto się bez serca i bez sił junaczy,
Kto języka nie umié, a księgi tłómaczy.“

A cóż to znaczy umiéć, znać język jakiś? (mówimy o językach starożytnych). Czy może to, że z pomocą słownika i gramatyki zrozumić się od biédy myśl autora? Chyba nie, bo w takim razie mierny uczeń czwartéj klasy gimnazyalnéj zabrał by się śmiało do przekładu ód Horacego. Więc może trzeba dokładnéj stylistycznéj znajomości języka, z którego ma się tłómaczyć? Bezwątpienia; ale i to jeszcze nie wszystko, bo jakżebyśmy sobie np. poradzić byli w stanie z poematem takiego Lukrecyusza? Potrzeba czegoś więcéj, potrzeba wiadomości licznych a dokładnych z zakresu literatury i filozofii starożytnéj, że już nie wspominamy o starożytnościach i mytologii.

A i tak, nie dosyć jeszcze na téj znajomości obcego języka temu, kto chce „księgi tłómaczyć.“ Przedsięwzięcie to śmiałe, a ten, kto mu chce sprostać, winien znać wszechstronnie i gruntownie swój język rodowity, winien miéć prawo choć w części poszczycić się z poetą, że

„język giętki
Wypowié wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa.“

Bo tłómacz nigdy zapominać nie powinien, że żadna myśl poety nie powinna przejść nieoddana w jego tłómaczeniu; w sposobie tego oddania ma on wszelką wolność; rachować się i krępować winien tylko charakterem języka, w którym pisze, prawidłami gra-

matycznemi i stylistycznemi. Tłómacz poety sam powinien być poetą, przejąć się duchem utworu, zrozumiéć jego istotę: tutaj oddanie myśli dokładne i logiczne bynajmniéj nie wystarczy: trzeba się rachować ze wszystkiemi środkami artystycznemi, za pomocą których trzeba wzbudzić w umyśle słuchacza takie wrażenie, jakiegoby doznał, czytając oryginał. Budową więc zdań i okresów wcale krępować się nie potrzebuje: ma wolność najzupełniejszą, dla któréj miarą może być tylko indywidualne poczucie artystyczne, byle przekład w niczém nie ustępował oryginałowi, rozumié się, o ile to jest rzeczą możliwą. (Porównaj rozprawę Jana Czubka: O tłomaczeniu. Kilka uwag i myśli. Kraków 1884).

Z takiego rodzaju tłómaczeniem spotykamy się nader rzadko. Jedna może Odysseja Lucyana Siemieńskiego najwięcéj się zbliża do tego ideału; Iliada czeka jeszcze na tłómacza, bo wszystkie dotychczasowe zadowalniającemi nie są. (Przekład p. A. Szmurły, najlepszy z dotychczasowych, ma także swoje usterki, z których najważniejszą jest ciężkość nierymowanego heksametru. Dowiadujemy się, że nad nowym przekładem Iliady pracuje d-r Teofil Ziemba, tłómacz „Hermana i Doroty"). O przekładach greckich jednak, czy to Iliady, czy Odyssei, czy téż tragików pisano już dużo, a nikt nie dotknął, o ile mi się zdaje, tłómaczeń Eneidy. Czyżby sam poemat miał na to nie zasługiwać? Nie sądzę. Eneida, bądź-co-bądź, pomimo wszelkiego rodzaju usterek, jest dziełem wielkiego umysłu: zasługuje na uwagę chociażby przez to, że tak wielką rolę w dziejach literatury powszechnéj odegrała, że tyle genialnych umysłów na niéj się wykształciło. Nie dawno jeszcze, na schyłku zeszłego wieku miano dla niéj pietyzm nieledwie większy niż dla Iliady i Odyssei; autor „Henryady" wyrzekł przecież o niéj to pamiętne zdanie, że jeżeli to prawda, jakoby Homer miał pośrednio stworzyć Wergiliuszową Eneidę, to jest ona największém Homera dziełem. Krytyka naszego stulecia znalazła wiele plam na tym poemacie, niemniéj jednak wartość jego jest wielka, nietylko pod względem historycznym, bo nikt już po Wergiliuszu nie miał takiego mistrzowstwa w języku, takiéj wykwintnéj prostoty w opowiadaniu, w kreśleniu uczuć miękkich i łagodnych obok plastyki obrazowania. Ustępy Eneidy takie, jak opowiadanie Eneasza o śmierci Laokoonta i zburzeniu Troi, miłość daléj Dydony i jéj śmierć, opis Tartaru, który natchnął Danta, przecudownych wreszcie piękności ustęp z księgi IX o Euryjalu i Nizusie należą do wspaniałych rzeczy tego świata.

Pierwszy przekład Eneidy został podjęty w r. 1574 przez Jędrzeja Kochanowskiego, stolnika sandomierskiego, rodzonego brata

Jana z Czarnolesia. (Virgilii Aeneida, to iest o Eneaszu Troiańskim ksiąg dwanaście, przekładania Jędrzeja Kochanowskiego. Kraków. Łazarz 1590 in 4°). Tłómaczenia epoki Zygmuntowskiéj zasługują na uwagę przedewszystkiém dlatego, że były one jednym szczeblem wyżéj po pieśniach kościelnych w rozwoju języka naszego, który naginając się do klasycznych form starożytności, udoskonalał się coraz bardziéj. Przekłady jednak téj epoki dobremi być nie mogą, bo nie rozumiano wtedy jeszcze powszechnie ducha utworu tłómaczonego, i trudno było naginać niewyrobiony jeszcze język do subtelnego często sposobu oddania myśli poetów starożytnych. Zresztą mało kto wtedy imał się tak niewdzięcznéj pracy, jaką było tłómaczenie klasycznego pisarza: komuż bowiem przydać się ono mogło w epoce, kiedy język łaciński był nieledwie rodowitym dla znacznéj liczby Polaków? Małéj tylko chyba ilości niewiast, pragnących się kształcić i oświecać. (Porównaj Wiszniewskiego Literaturę, tom VI, str. 532).

Ze wszystkich jednak przekładaczy tego wieku Kochanowski był jednym z tych, co najmniéj posiadali talentu. Nie łudził się on też pod tym względem, kiedy zachęcony przez Zamojskiego pisze do niego w przypisaniu:

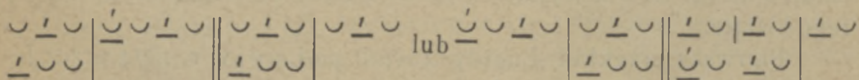
„Twoia mię łaska, twoia chęć wprawiła,
Żem się śmiał kusić *nad swą siłę siła:*
Przenieść z Latium Eneasza z Troie,
Tam gdzie Arkturus toczy koła swoje."

J. Załuski sporządzając trzecie wydanie tego przekładu (Warszawa 1754) tak się odzywa w przedmowie: „Wierszopisów wodza Wergiliusza, z Rzymskiego w Polski stroy przestroionego, czy z Togata kontuszowym uczynionego na świat polski wyprowadzam." Przypatrzmyż się więc, jak ten „kontuszowy Eneasz" u Kochanowskiego wygląda.

Pierwsza zmiana jest w formie wiersza: z heksametru w oryginale łacińskim zrobił Kochanowski wiersz trzynastozgłoskowy, (który się już stanowczo przyjął we wszystkich przekładach Eneidy wieków dalszych), którym jednak dobrze nie włada (1).

---

(1) Wiersz ten, wyrobiony już dzisiaj, składa się, jak wiadomo, z siedmiozgłoskowego wiersza w jakimkolwiek jego składzie w połączeniu z sześciozgłoskowym; tak więc schemat jego przedstawia się w sposób następujący:



Patrz Małeckiego Gramatykę większą: Dodatek o wierszowaniu, str. 420.

U Kochanowskiego spotykamy się z mnóstwem wierszy nierytmicznych, co sobie zresztą wytłómaczyć łatwo. Procent ich jednak zbyt jest wielki. Naliczyliśmy ich w saméj księdze dziewiątéj dziewięćdziesiąt (księga ta obejmuje wierszy 818). Oto ich przykład:

„Nizus *był*, Hirtakow syn, straż w bramie tym*czasem*
„*Trzymając*, *serdeczny* mąż, tego z Ene*aszem*
„Matka Ida, *która się łowy obierała*, (?!)
„Z oszczepem, z strzałami strzelca pewnego posłała“ (NB. zgł. 14).

W tych czterech wierszach połączone są niemal wszystkie wady przekładu Kochanowskiego: i nierytmiczność i brak rymów i zawikłany styl i kiepski język, złe nakoniec zrozumienie łacińskiego tekstu.

Przypatrzmyż się naprzód temu ostatniemu, bo to położyliśmy jako pierwszy warunek dobrego tłómaczenia. Pan stolnik sandomiérski wykształcenie odebrał należyte, a obcowaniem ze światłymi ludźmi, wychowaniem wśród tak literackiéj rodziny, jaką byli Kochanowscy, „przegryzować“ się musiał w łacinie i lepiéj i gruntowniéj od Reja: dlatego téż rzadko złapiemy go na niezrozumieniu pojedyńczego zdania (jak np. w powyżéj przytoczonym ustępie, gdzie jest mowa o górze Idzie, zwanéj przez poetę łowczą), i zdanie to jak najdosłowniéj oddać się stara. Ale czasem ten nieznośny wiersz, który już tyle figlów narobił poetom, zmusza do jakichś karkołomnych „saltomortale“, z których myśl Wergiliusza nie najlepiéj wychodzi; jak naprzykład w tym sławnym wierszu:

„equo ne credite Teucri!
Quidquid id est, timeo Danaos et dona ferentes“,

który Kochanowski oddaje w ten sposób:

„Trojanie
„Nie ufajcie koniowi! Niechaj co chce będzie,
„Boję się Greków, chociaż dary niosą *wszędzie*!“

Z realiami także dość opornie mu idzie. Nie dziw, dzisiaj jeszcze nie możemy sobie dokładnie zdać sprawy ze wszystkiego co opisują poeci starożytni, cóż dopiero w wieku szesnastym. Ciekawie zatém także wyjść musi ten metafizyczny wykład Anchizesa w księdze szóstéj, gdzie „*mens*“ tłómaczy Kochanowski przez „zmysł boski“!

Drugie pytanie, czy Kochanowski zna własny swój język, jak należy? Czy zdolny do oddania tych różnorodnych odcieni w jakie obfituje Wergiliusz? Odpowiedzmy stanowczo: nie! Przepaść niezgłębiona oddziela Jędrzeja nietylko od Jana, lecz także i od synowca Piotra: nawet nie wydarzony Mikołaj lepiéj włada wierszem i językiem polskim od Jędrzeja. Pomijamy już rymy takie: budo-

wał—gotował, Eurytion—chociaż ci on, mając—uciekając, a jakich jest przynajmniéj 60% (cyfra nawet na owe czasy za wielka); znajduje się mnóstwo takich jak zakrzyknie—wytchnie, Atrydy—krzywdy, niebezpieczeństwie—świadectwie, Antifata—bękarta, a jakich naliczyliśmy w saméj księdze dziewiątéj 25 par. Pominąwszy więc to wszystko, pominąwszy nawet nazbyt swobodne licencye poetyczne, jak „chciwszy“ zam. „chwyciwszy“, znajdziemy mnóstwo takich konstrukcyi, jak „widział ostateczny ogień gasnąć“, lub „widzę potoki pieniste krwią płynąć zalane“, lub „Numanus urągając nie wytrwał Julus“; widzimy nieraz infinitiwy zamiast partycypiów, a obok tego wszystkiego taką gmatwaninę wyrazów, zdań i myśli, że bardzo często pomimo usilnych starań żadnego sensu złowić niepodobna; gdzieniegdzie jednak, choć rzadko, znajdują się miejsca pisane wierszem gładkim (początek księgi pierwszéj), czasami nawet udaje się onomatopoja.

„Zadrżał wszystek, a z pchnięcia silnego zagrzmiały
„Po nim kąty przestronne i dźwięk wielki dały“.

Ogólne wrażenie określił Wiszniewski dwoma słowami: „Przekład bardzo słaby“. Rzeczywiście, w najlepszym razie możemy go tylko uważać jako historyczną pamiątkę, ale literackiéj wartości prawie zupełnie odmówić mu musimy. Cóż jednak było powodem wziętości, jaką się cieszył, a któréj dowodzi fakt, że w przeciągu stu lat trzy razy był przedrukowany—rzecz na owe czasy niezwykła? Być może, że przyczyniła się do tego wartość i popularność samego poematu, a najprawdopodobniéj brak innego tłómaczenia.

Nie zjawia się ono przez czas długi, bo aż do końca ośmnastego wieku. Uzupełnienie tylko do Eneidy, księgę trzynastą, napisaną w XV wieku przez Mafeusa Wegiusa Laudensis, przekładało dwóch pisarzy: Jan Achacy Kmita (1591) i Marcin Błażowski (1606) (Lewestam podaje ich obu jako tłómaczy Eneidy Wergiliusza. Wymienia rówież przekład Eneidy pióra Józefa Lipińskiego, o którego istnieniu nie wiemy: Lipiński tłómaczył tylko Ziemiaństwo).

Podejmuje się dopiero tego zadania Marcin Molski w r. 1801; Eneida była tu, jak się zdaje, przedmiotem korzystnego interesu. Ogłasza bowiem Molski w marcowym zeszycie Nowego Pamiętnika Warszawskiego (str. 339) prospekt na nowy przekład Wergiliuszowego poematu. W szumnéj przedmowie wynosi przedewszystkiém olbrzymie zalety Eneidy, nie waha się powiedziéć, że Wergiliusz: „w układzie poematu całego, w nadaniu charakterów bóstwom i bohatyrom doskonalszy od Homera“, wspomina daléj o przekładzie Jędrzeja Kochanowskiego, jako o „miłéj starożytności pamiątce“,

lecz nie jest z niego zadowolniony, zapowiada nareszcie, że sam podjął się tłómaczenia, którego próby przytacza: jestto początek księgi drugiéj, ustęp środkowy z księgi czwartéj, i wyjątek z księgi VI. Próby te przedstawiają się dosyć przyzwoicie i potoczyście, rzadko traci się rytm (Nikczemnie cudzemi się opiekujesz miasty). Zrozumienie ogólnie dobre, o ile z nieobszernych próbek sądzić można, język zupełnie zadowalniający (czasem tylko trafi się gdzieś zwrot niestosowny: Nagły zrobiły przenios do grobu z powicia"). Po próbach następują warunki prenumeraty, wynoszącéj dwa czerwone złote za egzemplarz i obietnica, że imiona prenumeratorów na przednich kartkach wydrukowane będą. Molski prenumeratę zebrał, Eneidy nie wydał i wszystko przepadło.

W tymże samym Pamiętniku, w zeszycie sierpniowym tego roku (str. 229) znajdujemy początek czwartéj księgi podpisany nazwiskiem Stanisława Trembeckiego. Jak samo imię tłómacza wskazuje, wytworny pod każdym względem jest to przekład. Nieskazitelnym wierszem oddaje Trembecki w delikatnych odcieniach świetny ustęp przełomu miłosnego Dydony. Prawda, że przekład jest całkiem swobodny: ale lepiéj już, żeby tłómacz opuścił jeden lub drugi zwrot, jedno lub drugie wyrażenie, byleby tylko myśl oryginału i jego nastrój wiernie oddał. Świetnie z tego zadania wywiązuje się Trembecki: z jaką siłą Dydona chce stłumić w sobie rodzącą się miłość, warto przeczytać:

Ale niech się wprzód ziemia podemną zawali,
Niech na mnie Jowisz piorun ognisty zapali,
I między blade strąci Erebu straszydła.
Niżeli święte wstydu przestąpię prawidła.
Tamten, co pierwsze moje skłonności ku sobie,
Jak w życiu miał jedynie, tak niech ma i w grobie.

Będziemy późniéj widzieli o ile słabiéj wypada ten piękny ustęp w dobrém zupełnie tłómaczeniu Euzebiusza Słowackiego. Równie świetnie skreśloną jest miłość Dydony: (Ustęp ten, przytoczony przez p. Łagowskiego w „Dziejach literatury powszechnéj" (Warszawa 1880), przytaczamy raz jeszcze, bo p. Łagowski podał go ze zmianami, jakie porobił późniéj Dmochowski).

O błędne wieszczów zdanie! cóż palone wonie,
Cóż ofiary, ołtarze pomogą Dydonie?
Gore i sercu rana dojmuje niezgojna:
Po wszystkich stronach miasta biega bezspokojna.
Tak mniéj obaczny łowiec, gdy pierzchliwéj łani
Bok polotném a tkwiącém żelazcem zarani,
Tą ucieka po górach, ucieka po lesie,
Ale wszędzie zabójczą strzałę z sobą niesie.
To wiodąc Eneasza okazywać rada,

Jak liczne jéj dostatki, jak można osada;
To zaczyna coś mówić i miesza się z mową,
To po uczcie obiednéj daje ucztę nową,
Chce jeszcze wojną Troi mieć pojone zmysły:
Od ust jego, jéj wszystkie wzruszenia zawisły.
Po rozejściu, gdy księżyc blask wydaje ciemny,
I gwiazdy nachylone radzą sen przyjemny,
Dom się jéj zdaje pustym, przejęta żałobą,
Słyszy nieprzytomnego i widzi przed sobą,
Albo Askaniusza na swém łonie pieści,
Że się w nim żywy ojca wizerunek mieści.

Mniéj szczęśliwym jest już Trembecki w terminologii ścisłéj, używanéj przy opisach broni, stroju etc. Tu już ścisłość jest rzeczą konieczną, na fantazyą pola tu nie ma. Trembecki jednak nie troszczy się o to: tłómacząc np. zwrot *„lato venabula ferro“* przez dwa wyrazy: „oszczepy, rohatyny“ (coby ostatecznie wyszło na jedno), zupełnie pomija nadzwyczaj ciekawe znaczenie wyrazów: *„retia rara, plagae“*. Trembecki doprowadził tłómaczenie swoje do punktu kulminacyjnego w romansowym wątku Eneidy, kończąc śliczną swą próbę wierszem:

„A na wierzchu skały
Czyste Nimfy żałosne jęczenia wydały“ (1).

Dmochowski w pośmiertnych papierach pozostawił pierwszych ksiąg dziewięć Eneidy przekładanych wierszem dosyć gładkim, które wyszły po raz pierwszy w r. 1809 z uzupełnieniem księdza Jakubowskiego. Dmochowski wziął się do tłómaczenia Eneidy dopiero po przewalczeniu trudności, jakie mu się nastręczały przy przekładzie Iliady. Powszechnie wiadomo, że skutek tych zapasów, choć świetny nie był, na razie mógł zadowolnić. Eneida mniéj jest dobra w tłómaczeniu Dmochowskiego niż Iliada, tłómaczy się to jednak łatwo tém, że choroba nie dozwoliła mu przekładu wykończyć; jest to więc tylko szkic i jako taki trzeba go tylko uważać. Myśl tłómaczenia Eneidy zajmowała Dmochowskiego już wcześnie: dowodzi tego rozprawka w młodym napisana wieku o Eneidzie, rozprawka, jak na swój czas, wcale nie zła. Należy żałować, powiada o niéj

---

(1) W przypiskach do Koźmianowego Ziemiaństwa (wyd. Raczyńskiego str. 226) znajdujemy następującą wzmiankę o literackiéj działalności Tadeusza Matuszewicza (1765—1819): „Mąż ten, znakomity cnotą, nauką i wielkiemi talentami a nadewszystko rzadkiem umiarkowaniem umysłu nie był skwapliwym do ogłaszania prac swoich literackich drukiem, ani rozrzutnym w udzielaniu ich przyjaciołom. Znamy jednak z dzienników narodowych niektóre, jako to np. tłómaczenie i naśladowanie kilku pieśni Horacego, *ustęp Eryala i Niza z ks. IX Eneidy*“, etc. Ustępu tego, pomimo usilnych starań w spółczesnych „Dziennikach narodowych“ odnaleść nam się nie udało.

Osiński (wiadomość o życiu i pismach Franc. Dmochowskiego 1808, umieszczona przy obu wydaniach Eneidy), że nie jest ona umieszczoną przy żadném wydaniu jako wstęp.

Niewykończeniu więc przypisać należy niewydarzone ustępy, jak np. ten początkowy:

Broń i męża opiewam, co *losy wiecznemi*
Uszedłszy z Troi, przybył do Italskiéj ziemi.
Wiele *ten* był na lądzie i morzu trapiony
Wolą niebian i gniewem *pamiętnym* Junony,
Wiele i w bojach cierpiał, *gdy* miasto zakładał,
Gdy w Lacyum siedlisko bogom Troi nadał,
Skąd poszedł ród Latynów i Albańskie *imię*
I wielkie mury twoje, *nieśmiertelny* Rzymie
Muzo! tak ciężkich przygód ty mi wykaż źródło:
Co zawziętą Olimpu królowę przywiodło
Tylą dręczyć przypadki cnotliwego męża?

Odznacza się jednak ten przekład wielką barwnością i poczytnością gładko płynącego wiersza, tak, że nawet w tym stanie nieobrobienia, w jakim się dzisiaj znajduje, dać może jakie takie wyobrażenie o pięknościach oryginału. Oto przykład pięknego ustępu:

Noc była i słodkiemi krzepiły się wczasy
Strudzone ciała; milczą i morza i lasy,
Półbiegu dokończają świetnych gwiazd orszaki,
Ucichły pola; trzody, różnopióre ptaki,
I co po przezroczystych jeziorach się kryje
I co po wsiach krzewami otoczonych żyje,
Wszystko to snem ujęte, pod milczącém cieniem
Koiło serca miłém trudów zapomnieniem. (Ks. IV. 545—552) (1).

Nieszczęśliwego za to dopełniacza znalazł Dmochowski w X. Wincentym Jakubowskim, Pijarze, któremu „przyznało zdanie powszechne, (mówi F. S. Dmochowski w przedmowie do drugiego wydania), że więcéj miał na względzie pożytek młodzieży szkolnéj, dla któréj nieodzowną było potrzebą, aby przekład poematu Wirgiliusza w całości czytać mogła, aniżeli swoję zdolność do poezyi (co téż sam w przymówieniu się oświadczył)". A ciekawe i charakterystyczne jest owo przymówienie się. „Podstarzała dobrze wena moja, mówi dobroduszny Pijar, nie kazała mi się wprawdzie szarpać z mocnym duchem młodego jeszcze i sławnego tłómacza Iliady; a dopieroż obok się z nim w jego własném dziele Wirgiliusza (*sic!*) mieścić. Ale zamiar pożytku szkół krajowych etc. etc." Co prawda,

(1) Obszerną ocenę przekładu i rozbiór szczegółowy kilku ustępów księgi pierwszéj umieścił Osiński w Pamiętniku Warszawskim z r. 1809 w tomie III na stronie 215.

nie potrzebował X. Jakubowski „przymówienia się“ pisać, bo każdy, ktokolwiek przeczyta takie wiesze, jak:

Mamże wspomnieć spalonych okrętów tysiące
Pod Eryksem, królu burz, swe wiatry wichrzące
Wzbudzone z Eolii, łączę z wysokości
Chmur sprowadzona (jeszcze téj nie stało złości)
By piekła wzburzyć teraz, by Alekto wściekła
Z nich przywołana miasta paliła i siekła (Ks. X.),

przyznać będzie musiał, że X. Jakubowski nie tylko Eneidy tłómamaczyć, lecz wcale po polsku pisać, a tém bardziéj podawać tych okropności w ręce młodzieży nie powinien.

Drugie wydanie wyszło w r. 1830 starannie uzupełnione przez F. S. Dmochowskiego, który starał się naśladować ojca: udało mu się to nie najgorzéj, zwłaszcza, że korzystał z pomocy udzielonéj mu przez Franciszka Kowalskiego (1799—1862) znanego tłómacza komedyi Molierowskich i autora „Piosnek żołnierskich“. Ogółem więc przekład obu Dmochowskich i Kowalskiego pomimo licznych usterek filologicznych odznacza się dobrym językiem a w wielu miejscach barwnością. Znaczniejszych błędów w złém zrozumieniu myśli nie wiele.

Jacek Idzi Przybylski, nie zrażony poprzedniemi niepowodzeniami, ogłosił w 1811 roku w dwóch wielkiéj objętości tomach przekład Eneidy. Ma ten przekład wartość—jedynie dla swoich przypisów, często prawda śmiesznych, często jednak użytecznych, i okazujących niewyczerpaną erudycyą autora. Mieszczą się one w drugim tomie pod tytułami: Wykaz rodu Eneasza (zaczynający się na Atlasie a kończący się na Wergiliuszu), i Poczet osób, miejsc i różnych przedmiotów w Eneidzie opisanych. Pomimo téj uczoności jednak zdarzają się Jmć. panu Jackowi często, przy znanym u niego ohydnym stylu i dziwacznym języku, zupełne niezrozumienia myśli oryginału, że tu jedno z bardzo licznych przytoczymy (z ks. II):

Ci, ledwie boski posąg w obozie ustawią,
Nagle błyszczące ognie dokoła się zjawią,
Światło broni przystępu, z każdéj rażąc strony
A tym w strachu przez członki pot przebiega słony (1).

Na uwagę zasługują charakterystyczne, niekiedy dość trafne uwagi zawarte w „Zastanowieniu“, odnoszące się do tłómaczeń

---

(1) Vix positum castris simulacrum, arsere coruscae.
Liminibus flammae arrectis, salsusque per artus
Sudor iit; zaledwie ustawiono posąg w obozie, natychmiast w ożywionych oczach zabłysły migające się płomienie, a słony pot przez członki (naturalnie: posągu) przeszedł. Według naszego przekładu: Bo gdy posąg w obozie stawiono, — to nakształt płomienia, Wzrok mu błyskał od gniewu,—a łono jego z kamienia Słonym oblało się potem...

Eneidy. Z zupełną słusznością zarzuca Przybylski poprzednim tłómaczom, że opuszczając takie drobnostki z pozoru, jak to, że Eneasz na Lawińskie brzegi przybył, to, że „Sybilla była Deiphoba Glaukowna“ i „że się zwała Ksienią amfryzką“, robią szkodę dziełu, które niepośledni kładzie nacisk na takie rzeczy, stawiające przed oczy bohaterów zamierzchłéj przeszłości na miejscach współczesnym znanych, lub przypominające genealogie osób mitycznych. Zwracając się do swego rywala, Dmochowskiego, powiada Przybylski, „że Eneasz kościołów olimpskim bogom nie budował, bo wyraz „„kościół““ znaczący u Sławian dom Boży od kości (*sic!*) św. męczenników lub wyznawców wiary w Chrystusa tak zwany, nie może mieć, zdrowego znaczenia między mnogobożnikami przed kolebką chrześciaństwa i równie niezgrabnie maluje delubrum—bóżnicę, lub templum—świątynię czcicielów tajemnic Orfeja, jak wyrazy synagoga, cerkiew, meczet itp., ani bohatyr Enejasz nie przybywa do Włoch, bo to nazwisko Italii dopiero za panowania cesarzów rzymsko-niemieckich wylęgło się z kłótni władzy watykańskiéj z pogockiemi dworami; ani żadna z nimf niebieskich, morskich i ziemskich w szal nie stroją się, bo ten gatunek przyodziewy płci żeńskiéj naznaczony stemplem dzisiejsiejszéj angielszczyzny nie dawno jest znany damom europejskim i nie tak od nich noszony, jak owe zasłony nosiły boginie i ziemianki współczesne Troi, chyba kto rozmnażając kwiatki dla przestrojonéj Eneidy Blumenhauerowskiéj, z Miltonowską lub Szekspirowską wolnością żartobliwie przypuści i byt szalowych warsztatów w Indyach i odbyt tego rękodzielniczego towaru w handlu morza Śródziemnego za czasów Homerowskich lub jeszcze dawniéj“.

To, co daléj w przedmowie następuje, to już przechwałki, tyczące się wiersza rzekomo „rzetelnie“ bohaterskiego lub delikatnego oddania miejsc drażliwych.

W dziełach ogłoszonych z pozostałych rękopismów po Euzebiuszu Słowackim w tomie IV na str. 125 znajdujemy przekłady z Wergiliusza, poprzedzone krótką wiadomością o życiu i dziełach poety.

Liczne tam są z Eneidy wyjątki, po większéj części dosłowne prozą tłómaczenia, mniejsze także ustępy wierszowane. Do pierwszéj kategoryi należy przekład księgi drugiéj, księgi trzeciéj od w. 47 do 505, księgi szóstéj od w. 255—886. Przekład ten prozaiczny, gładki, potoczysty, pięknym pisany językiem, oddający myśl oryginału wiernie, chociaż nie zawsze dosłownie, nie wolen jednakże od usterek, bardzo drobnéj wszelako wagi. Rzecz prosta, na przełożeniu na prozę traci dużo Eneida.

Wierszem przekładał Słowacki nieźle; Trembeckiemu nie sprostał wprawdzie, lecz przewyższył wszystkich innych współzawodników. Wiersz płynie nadzwyczaj pięknie, potoczysto, w charakterze zupełnie starożytnym: jest on tu rzetelnie bohaterskim, rzetelniéj niż u Jacka Przybylskiego. Oto przykład dla porównania z Trembeckim.

Lecz niech mnie wprzód pochłoną przepaści podziemne!
Lub niech Jowisz piorunem wtrąci w piekło ciemne!
I na noc wieczną pośród bladych cieni wskaże,
Niż się wstydzie! twe prawa pogwałcić odważę.
Ten, któremu przysięgłam mą czułość jedynie,
Ma do niéj prawo nawet w podziemnéj krainie.

W czém Słowacki celuje, to właśnie w téj prostocie stylu i konstrukcyi, która się u innych pisarzy zatraca; często nawet u Dmochowskiego, co więcéj u Trembeckiego łowić trzeba dopiero myśl z poprzestawianéj tkanki wyrazów rozproszoną w kilku nieraz wierszach. Słowacki stara się klasyczną metodą zamykać myśl w jednym wierszu i udaje mu się to w zupełności; mniéj może za to ma barwności niż Trembecki. Wierszem przełożył Słowacki początek księgi IV do 198, z księgi IX od w. 176—449 (Euryalus i Nizus).

Nie umiemy sobie wytłómaczyć dlaczego tłómaczenie Wężyka uważane jest powszechnie za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych: może dla tego, że jest to jedyny przekład Eneidy wydany w całości, na bardzo ładnym papierze, wybornym drukiem, tak, że książka wydaje się świeżą (wydanie nowe, 1882), do tego ortografia starannie poprawiona. To jeszcze jednak nie wszystkie warunki na dobre tłómaczenie: pierwszą, największą wadą tego przekładu najzupełniejsza bezbarwność, jednostajność niesłychanie nużąca i sprawiająca, że Eneida wydaje się obrzydliwie wstrętną; język, ogólnie, naturalnie lepszy od Przybylskiego lub Kochanowskiego, nie służy poecie do wyrażenia żadnego żywszego uczucia lub siły pojedyńczych zwrotów; trafiają się także i niedokładności stylistyczne (Ks. XII: Całe ciało i lica bladość mu powłóczy, Ks. XII: Turn tych bóstw w chwale zrówna, Ks. XI: Słuszności czy spraw boju mam się dziwić wprzódy etc.). Co zaś do dokładności filologicznych, pozwolimy sobie przejść porządkiem błędy kilku pierwszych wierszy poematu: walki i męża zamiast walki męża (hendiadys); przez wyrok mściwy ścigany zam. ze zrządzenia losu zmuszony uciekać; gniew zawziętéj Junony i odwiecznych rządy zam. siła niebian z powodu zaciętego gniewu Junony; gdy gród wznosił zam. zanim gród wzniósł; *nude* przetłomaczone przez stąd, w oryginale *nude* odnosi się do Latium i ma inne znaczenie: skąd, z którego to miejsca; pyszne zam. wysokie etc. etc.

Krasicki przekładał krótki ustęp o Marcellusie z księgi VI (O rymotworstwie i rymotworcach. Wyd. Bobrowicza str. 106). Trudno o tych trzydziestu wierszach jakikolwiek sąd wydać: przedstawia się dosyć gładko i poczytnie. Oto wyjątek:

Da go niebo, lecz cieszyć nim się nie pozwoli.
Pokaże go los światu i weźmie co nadał:
Nadtoby Rzym był wielkim, gdyby go posiadał.
Co za płacz w Marsa dzielném powstanie siedlisku!
Tybrze! w smutném żałoby wielkiéj widowisku
Ponuro będziesz płynął mimo zwłoki jego....

Tu wspomnieć także wypada o ks. Wawrzyńcu Kutowiczu który ogłosił w „Pszczole polskiéj" za lipiec 1820 początek księgi pierwszéj, Początkowe wiersze brzmią wcale nieźle:

Męża śpiewam, co zniklą opuściwszy Troję,
Do brzegu lawińskiego przybił flotę swoję,
Którego przez Junony gniew zapamiętały
Nieba długo po morzach i lądach nękały,
Co i w walkach zniósł wiele, kiedy gród zakładał
I Latynom Penaty iliońskie nadał,
Skąd i plemię latyńskie i albańskie imię
I wzniosłe mury twoje światowładny Rzymie.

Ustęp ten na porównaniu z wyżéj przytoczonym przekładem Dmochowskiego bardzo zyskuje. W dalszym jednak ciągu popada ks. Kutowicz w pretensyonalność i zawiłość konstrukcyi zdań, chociaż nie brak śmiałych zwrotów i przenośni, czasem może jak na Wergiliusza za śmiałych, jak ten np.: „morze wyżygało na brzeg Eneasza." Wprost niemożliwa jest „wściekniętą burza", a „naprężenie uszu" razi równie, jak i „zabijaka Eur" albo „popchliwe żagle."

W nowszych czasach nikt, o ile nam się zdaje, nie próbował podjąć się przekładu Eneidy. Zdołaliśmy zaledwie odnaleść w „Przeglądzie akademickim" z r. 1881 ustęp z ks. IX przekładu Jana Pawlikowskiego. Tłómacz idąc za przykładem Siemieńskiego, upstrzył przekład swój archaizmami, które jednak nie bardzo przystają do reszty tłómaczenia. Słowa takie, jak chadzać, wżdyć, ninie, jestci, byłci, jako (zam. jakto (?) po kilkakroć), damć, żemć, częste k' przed spółgłoskami, zoła, lutość etc. sterczą dość samotnie wśród nowożytnego zresztą języka. Co do nas, jesteśmy w zasadzie przeciwni takiemu archaizowaniu, które się nawet Siemieńskiemu w wielu razach nie udaje. Pomimo tego jednak przekład pięknego ustępu o Nizusie i Euryalu wychodzi bardzo dobrze: obraz oddany z siłą, z realizmem i potężne sprawia wrażenie. Najwięcéj trudności ma

jeszcze tłómacz z wierszem, który mu idzie dość opornie i zmusza go do używania takich rymów, jak np. wierci, piersi; beki, paszczęki; włócznie, rozpocznie; lub do zbyt wielkich licencyi (rozwolnień poetyckich, jak mówi Feliński w rozprawie „O wierszowaniu czyli budowie wiersza polskiego), jak np. kotwy (zam. kotwice), wsze zamiast wasze *(sic!)*, wyżygł (zam. wyżygał), niezlicznych zam. niezliczonych. Jeżeli się ten ustęp porówna z tłómaczeniem Słowackiego, zobaczy się, że u tego ostatniego wiersz więcéj wykończony, wyrzeźbiony, prawdziwie klasyczny, u Pawlikowskiego zato bezporównania więcéj siły i barwności.

Widzimy więc, że kompletnych przekładów jest tylko cztery, z których dwa jedynie (Dmochowskiego i Wężyka) są używalne. A i z tych dwóch Wężyk nie zadawalnia, Dmochowskiego przekład byłby może dość dobrym, gdyby autor mógł go wykończyć w całości i w wielu miejscach popoprawiać. Tak więc przekład Eneidy okazał się niezbędny. Nie myślimy wcale, żeby ten, którego małą próbkę poniżéj przytaczamy, miał wszystkim wymaganiom odpowiedzieć; przyznajemy, że nie może się równać z próbami Trembeckiego, Słowackiego, nawet i Pawlikowskiego i mamy dobrze przed oczami przestrogę Jacka Przybylskiego do Zoila:

Źle jest jak zrobił drugi; jak ty chcesz, jest dobrze!
Ty sam jeden masz dowcip: by świat wiedział, zróbże! (1)

K. E.

Jeszcze słówko o saméj formie. Użyliśmy tutaj rymowanego heksametru, który lepiéj potrafi oddać tok klasycznego wiersza niż nasz trzynastozgłoskowiec. Wiemy dobrze, że pożądaną rzeczą byłoby zachowanie jednakowéj w tym heksametrze miary stóp (jak to zrobił Asnyk w cudownym fresku: „Thetys i Achilles." Poezye. II, 47) — praca to jednak tak trudna, że przechodziłaby nasze siły. Heksametrem rymowanym posługiwał się już Szujski w wyjątkach z Iliady (2).

* * *

---

(1) Po napisaniu słów powyższych wpadła mi w rękę książka bezimiennie przez ks. biskupa Łętowskiego wydana p. n. „Próby wierszów miarowych." Między innemi znajduje się tam i początek Eneidy, przełożony czémś, co ma heksametr przypominać. Jest-to jakieś „metrum narodowe", z cezurą w środku wiersza oznaczoną przez przecinek, metrum nie oparte ani na akcencie, ani na iloczasie, jeno na bujnéj biskupiéj fantazyi. Naturalnie, że to nic nie warte. Wogóle całą książkę przeczytać z korzyścią można dla rozweselenia w tych ciężkich czasach.

(2) Rys dziejów piśm. świata niechrz. 1867, str. 199.

Opowiadanie Eneasza o koniu drewnianym.

(Początek księgi drugiéj).

O! jak ciężką mi ranę w duszy rozdzierasz na nowo,
Kiedy Troi zburzenie każesz opisać królowo!
Jam to wszystko oglądał memi własnemi oczyma,
Brałem udział w tém czynny. Ten niech od łez się powstrzyma,
Kto Myrmidonem, Dolopem, lub Ulissesa żołdakiem!
Zresztą — gwiazdy już bledną, w brzasku objęciach noc kona,
A świt szary zaprasza w snu spokojnego ramiona...
Lecz jeżeli z zajęciem pytasz ustawnie mnie takiem,
Pragnąc Troi upadek żałosny usłyszéć i boje,
To choć samém wspomnieniem serce zakrwawia się moje,
Chociaż dusza się wzdryga — wszystko opowiem ci, pani!

Grecy, losu zrządzeniem odparci i pokonani
Po upływie lat tylu, konia przedziwnéj struktury,
Niby za powrót szczęśliwy wznoszą dla boskiéj Pallady,
Boki miał z bierwion sosnowych, wielki zaś był nakształt góry.
W jego wnętrzu tajemnie zbrojnych chowają gromady,
A wraz z nimi wybranych garść zamykają rycerzy.

Sławna jest wyspa Tenedos, koło Trojańskich wybrzeży;
Póki Pryam panował, z wielkich słynęła dostatków —
Dziś tam tylko zatoka, co jest przystanią dla statków.
Otóż tam zawinęli Grecy — do owéj przystani.
Myśmy zaś byli w prostocie serc naszych tak przekonani,
Że Achaje za wiatrem wprost ku Micenom płynęli.
Długi smutek wnet ustał — wszyscy Teukrowie weseli
Bramy na ścieżaj otwarli — w Dorów obozy w lot śpieszą,
By okopy obaczyć zostałe i brzeg opuszczony:
Tu stał hufiec Dolopów, — ówdzie Achilles z swą rzeszą,
Tu się utarczki staczało — nawy zaś stały z téj strony...
Inni dar oglądają: dar dla dziewiczéj Minerwy;
Ogrom konia ich dziwi — a Timoëtes najpierwéj
Radzi go w mury wprowadzić, wciągnąć na zamek wysoki.
(Albo zdrada w tém była, albo zagłady wyroki).
Kapys jednak Danaów podstęp przeczuwszy w tym darze,
W morza zepchnąć głębiny lub też podpalić go każe,
Albo zajrzéć do wnętrza, zbadać brzuch konia i boki.

Między ludem tymczasem spór o te zdania się wszczyna.
Wtém Laokon na przedzie — za nim niemała drużyna —

Z grodu bieży zdyszany i już zdaleka tak woła:
„O! szaleńcy! Myślicież, że odpłynęli już zgoła?
„Znacie przecież Ulissa i wam się jeszcze wydaje,
„Że się jaki podarek Grajów bez zdrady obędzie?
„Albo tutaj zamknięci chytrzy się kryją Achaje,
„Albo jestto przeciwko murom Ilionu narzędzie,
„Lub się fałsz jaki kryje. Teukry! nie dajcie w to wiary,
„Zawsze się strzeżcie Danajów, chociażby nieśli i dary.“
Rzekł i włócznię ogromną w konia wypukły bok miota;
Koń się zachwiał w podstawach i wnętrzne jego pieczary
Jękiem przeciągłym zabrzmiały i szczęku głuchego odgłosem.
Gdyby nie bogów zrządzenie, gdyby nie jakaś ślepota,
Byłby spostrzegł niechybnie, że pod potężnym tym ciosem
Dudnią Argiwów kryjówki, gdy ostrze dzidy je bodzie...
Dziś jeszcze stałabyś Trojo i Pryamowy ty grodzie!

Oto tymczasem do króla kilku dardańskich pasterzy
Z krzykiem wlecze jakiegoś w tył związanego młodzieńca:
Sam się im oddał, by Grekom bramy otworzyć Ilionu.
Szedł siebie pewny, bo wiedział, że albo uda się zdrada,
Albo téż jego samego nic nie ocali od zgonu...
Zewsząd się tłumy zbiegają naszéj Trojańskiéj młodzieży,
Wszyscy ciekawi zobaczyć gromadzą się wkoło jeńca,
I na wyścigi zeń szydzić cała zaczyna gromada...
Słuchaj, jaką Danaje zdradą nas zwiedli niegodnie,
I ze zbrodni jednego innych osądzić chciéj zbrodnie!
Stanął wśród tłumów frygijskich: wylękłém okiem je mierzy
I wnet głosem płaczliwym zawoła: „O! biada mi — biada!
„Ach! bo jest-że gdzie ziemia, jest-że gdzie morze na świecie,
„Coby mi dało schronienie? cóż mi biednemu zostaje?
„Mnie, któremu wśród siebie miejsca nie dadzą Danaje,
„A i wy nawet, Dardanie, krwawą mi kaźń gotujecie!“
Żal wielki zmiękczył nam serce i pierzchła złość nasza mściwa;
Więc zachęcamy, by mówił, jaka kraina go rodzi?
W czém ocalenia pokłada nadzieję i po co przychodzi?
Słysząc to, pozbył się lęku i w te się słowa odzywa:
„Królu! niech co chce się dzieje: ja prawdę ci całą otworzę.
„Naprzód, że z Argos przychodzę, zaprzeczać nie będę ja wcale,
„Chociaż nieszczęsnym nędzarzem zrobił Sinona los, — ale
„Kłamcą go zrobić obłudnym chyba przenigdy nie może.
„Pewnie przypadkiem do uszu imię ci już doleciało
„Palamedesa Belidy i sława jego szeroka;
„Srogim wyrokiem Pelasgi na śmierć posłali go sami,

„Podejrzywając o zdradę, że wojnę odradzał im śmiało.
„Teraz gdy promień słoneczny dla jego zagasł już oka,
„To poniewczasie zgon jego gorzkiemi płaczą dziś łzami.
„Biedny mój ojciec mnie jemu, że był nam powinowaty,
„Właśnie z téj wojny początkiem oddał w opiekę przed laty.
„Póty i jam miał znaczenie i jam przystojną miał sławę,
„Póki on dzierżył swą władzę i w radzie wśród królów zasiadał,
„Kiedy nienawiść Ulissa (czyliż wam mówię nowinę?)
„Z tego zgładziła go świata; wówczas ja w żalu, w niedoli
„Zgonem się druha martwiłem i wlokłem życie me łzawe...
„O! nie milczałem szalony, szalony! i pocóżem się wygadał,
„Że się zań zemszczę, jeżeli los mi powrócić dozwoli,
„Jeśli do Argos ojczystych kiedyś zwycięscą zawinę....
„Zawiść zaciekłą zbudziło to nieopatrzne me słowo.
„Klęsk mych tu pierwszy początek. Odys od owéj to chwili
„Wieści kłamliwe rozsiewa, grozi potwarzą mi nową
„I co krok naumyślnie znaleść zaczepkę się sili;
„A nie poprzestał dopóty, aż za Kalchasa pomocą...
„Po co mitrężyć daremnie: jeśli na równi cenicie
„Wszystkich Achajów, to dość już — weźcie za karę mi życie.
„Dzięki wam złożą Atrydzi, chce tego władca Itaki."
Pragniem się tedy dowiedzieć, toż wszyscy pytają ciekawi
Nie śniąc o Pelasgickiéj obłudzie i zbrodni aż takiéj!
On, niby zlękły, z uczuciem kłamaném tak daléj prawi:
„Często znużeni Danaje chcieli porzucić już Troję,
„Raz o powrocie pomyśléć — długie zakończyć raz boje.
„Bodaj to byli zrobili! Lecz częste burze na morzu
„Przeszkadzały opornie — Auster odstraszał od drogi,
„A szczególniéj, gdy koń ten z belek klonowych był gotów
„Wówczas chmury zaległy na całém niebios przestworzu,
„I niebiosa wciąż huczeć nie przestawały od grzmotów;
„Więc do wyroczni, do Feba, wśród niepewności i trwogi
„Ślemy Euryjalosa, — a ten odpowiedź oddaje:
„„Krwią ukoiliście wichry — śmiercią dziewicy — Danaje,
„„Gdyście raz pierwszy zdążali tu na Iliackie wybrzeże:
„„Krwią powrót trzeba okupić: zgonem któregoś Argiwa!"
„Skoro ludowi do uszu doszły te słowa złowieszcze,
„Struchlał każdy i zimne wstrząsnęły do kości go dreszcze:
„Strach, kogo losy naznaczą i kogo Apollin wybierze.
„Wtedy pan na Itace z wrzawą Kalchanta wywleka
„Z ciżby i do odkrycia bogów życzenia go wzywa.
„W głuchém milczeniu niejeden naprzód już przyszłość docieka

„I przewiduje, że mnie to dotknie przewrotność matacza...
„Ten przez dwadzieścia dni milczy, w ukryciu odpowiedź odwleka,
„I nie wskazuje nikogo, ani na śmierć nie wyznacza;
„Wkrótce go jednak znagliły Odyssa brzmiące wciąż wrzaski:
„Przerwał milczenie i wskazał na rzeź mnie wedle umowy.
„Potwierdzili to wszyscy, bo każdy zgadzał się na to,
„By się od groźby uwolnić jednego biédaka zatratą.
„Nadszedł nakoniec dzień straszny... ołtarz już czeka gotowy,
„Mąka solona i wkoło skroni ofiarne przepaski.
„Pewnéj uszedłem zagłady; wyznaję, zerwałem okowy,—
„Przez noc ciemną się kryłem w błotném jeziorze wśród trzciny,
„Rychło-li żagle rozwiną, jeśli je mają rozwinąć....
„Niéma już chyba dla mnie nadziei, bym ujrzał ojczystą mą ziemię,
„Ni bym rodzica obaczył drogiego i lube dzieciny....
„O! za tę moję ucieczkę pewnie tam przyjdzie im zginąć!
„Oni się śmiercią okrutną zemszczą nad nieszczęśliwymi.
„Więc cię na bogów zaklinam, co prawda im nie jest tajemną,
„I jeżeli u ludzi została gdzie wiara, — na wiarę
„Nienaruszoną cię błagam: o! miéj ty litość nademną,
„Cierpień się pożal ogromom, co dręczą niewinną ofiarę!“

Łzy te tak nas wzruszyły, że żywot nietylko mu dajem,
Lecz i litością go darzym: Pryjam s[illegible] ciasne okowy
Zdjąć mu każe, takiemi mówiąc przyjaźnie doń słowy:
„Coś ty jest zacz, o to mniejsza... o Greków zapomnij utracie;
„Naszym zostajesz rodakiem, ale mi zato nawzajem,
„Na to moje pytanie szczerą odpowiedź daj bracie:
„Kto i dlaczego wystawił tak ogromnego rumaka?
„W jakim dźwigniony zamiarze? czy ślub to bogom złożony,
„Czy téż może wojenna ma to machina być jaka?“

Skończył; a ten przez Pelazgów sztuki podstępu uczony,
Rzekł, podnosząc ku gwiazdom ręce wprost z kajdan wyjęte:
„Wzywam na świadki was blaski przedwieczne i bóstwo ty święte,
„Was okropne ołtarze, was straszne ofiarne te noże,
„Których zaledwie uszedłem,— i was, o wieńce wy boże,
„Które jako ofiara nosić musiałem na skroni:
„Że mi dziś Grajów najświętsze wolno potargać ustawy,
„Wolno ich nienawidzieć, odkryć tajemnic zasłony,
„Bo mi dziś tego już żadne prawo ojczyste nie broni;
„Lecz gdy poczynię wyznania, co ważnéj dotyczą się sprawy,
„To mi obietnic dotrzymać Ilionie chciéj ocalony....

„Wszelka Danaów nadzieja zwycięstwa we wszczętéj raz walce
„Była w opiece Pallady: lecz odkąd bezbożny Tydyda
„I Ulisses, co wszelka zbrodni zeń tryska ohyda,
„W święty wtargnęli przybytek, strażników pobili—zuchwalce!
„I nieszczęsne Palladium śmieli zagarnąć z świątyni
„A rękoma krwawemi zbroczyli przepaski bogini....
„Od téj chwili maleją i gasną Danaów nadzieje:
„Wskutek gniewu niebianki i moc ich ramienia słabieje.
„Gniew okazała Trytonia oznaką wręcz niewątpliwą,
„Bo gdy posąg w obozie stawiono, to nakształt płomienia
„Wzrok mu błyskał od gniewu, a łono jego z kamienia
„Słonym oblało się potém i trzykroć z podstawy — o! dziwo!
„Sama z oszczepem zstąpiła i trzęsła w prawicy pawężą.
„Kalchas orzeka, by wracać napowrót po morskich odmętach,
„Bo Pergamu Argiwskie pociski nie wprzódy zwyciężą,
„Chyba, aż wróżby swe w Argos powtórzą i posąg złowieszczy
„Nazad odstawią, który na krągłych uwieźli okrętach.
„Teraz do Micen ojczystych z wiatrem przez morza mkną tonie:
„Siły pomnożą a bogów po swojéj mieć będą stronie,
„I niespodzianie powrócą pod Troję—tak Kalchas im wieszczy...
„Co zaś do tego rumaka, to postawili go na to,
„Aby gniew bóstwa uśmierzyć; jest on niejako zapłatą
„Za bezbożne zgwałcenie Palladium; a Kalchas orzeka,
„By go zbudować ogromnym; dębowe spojono więc tramy
„I pokryto deskami; cielsko się dźwiga w błękity
„Tak olbrzymie, by w mury nie mogło wejść ani w bramy,
„Ni od ludzi nie mogło odebrać czci należytéj,
„Aby się bóstwa nad nimi nie rozciągnęła opieka.
„Jeśli dłoń wasza zelży dar dla Minerwy wzniesiony,
„Wtedy... bodajże własną jego tę wróżbę niebianie
„Przeciw niemu zwrócili.... wtedy zagłada cię czeka,
„Ludu Frygijski, i skończy się wnet Priamowe władanie.
„Lecz jeżeli ten rumak pchany waszemi ramiony
„W ogród wasz wstąpi, to Azya cała wyruszy na wojnę
„I aż pod mury Pelopów hufce podstąpią jéj zbrojne
„I aż wnukom się naszym potęga w udziele dostanie."

Uwierzono mu; takto Sinon oszukał nas podły!
Łzy fałszywe i podstęp łacno nas wszystkich uwiodły,
Nas, którzyśmy Tydydzie czoło stawili tak śmiało
I Achillowi z Laryssy, nas, których nie pokonało
Tysiąc statków, ni całe dziesięć lat znoju i trudu.

Co innego tymczasem dzieje się wręcz w oczach ludu:
Rzecz okropna — a nagła, wszystkich więc strachem przeraża;
Kapłan Neptuna Laokon, losem na dzień ów wybrany,
Byka niezwykłéj wielkości zabić miał u stóp ołtarza.
Oto od wyspy Tenedos, po morza powierzchni jak szklanéj
Para wężów (na samo dreszcz mię przenika wspomnienie)
Potężnemi zwojami sadzi do naszych wybrzeży....
Kark po nad topiel wytknęły; na grzbietach ich krwawe grzebienie
Sterczą nad tonią, a cielsko potworne, zgmatwane w pierścienie
W tyle się wlecze i poprzez morskie głębiny przewala.
Z głuchym gwarem i szumem spieniona toczy się fala...
Już do brzegu dotarły: krwią im i ogniem wzrok błyska,
A w zjadliwéj paszczęce język syczący się ciska.
Uciekamy wpółmartwi ze strachu: potwory, jak strzała
Chyżo na Laokoonta pędem nieścigłym wprost gonią.
Naprzód w swe kręgi chwytają jego synaczków dwóch ciała:
Dławią i pożerają, wściekłemi gryząc je zęby;
Kiedy zaś sam już Laokon bieży na pomoc im z bronią,
Porywają i jego, tęgimi krępują go kłęby.
Chociaż łbami, grzbietami nad nim górują wysoko,
Przecież po dwakroć obwiły go w pasie, po dwakroć mu szyję
Oplątały w śmiertelnym uścisku ślizgimi ogony..
On chce rozwikłać ich pęta rękoma, więc miota się, wije,
Jadem zbluzgał opaski kapłańskie i czarną posoką.
Wrzask w niebogłosy podnosi nieludzki. Jak buhaj raniony,
Co od ołtarza się wyrwał, i topór chce ofiarniczy
Z karku wytrząsnąć krwawego: tak przeraźliwie on ryczy.
Poczém obydwa potwory w podrygach czołgają się chyżo
Aż na zamek wyniosły, w świątnicy wpełzają wraz progi
I Trytonidzie okrutnéj kornie się ścielą pod nogi,
Jakby szukając schronienia tuż pod spiżową paiżą...

Więc pod lęku świeżego wrażeniem, tak twierdzą napewno,
Że za zuchwalstwo Laokon słuszną snać poniósł był karę,
Bo świętokradzkie żeleźce w święte zatopić śmiał drewno.
Toż wołają, że w miasto konia wprowadzić należy,
A dla zjednania bogini błagalną jéj złożyć ofiarę.....

Aby zaś drogę otworzyć, jak tylko to można, najszerzéj,
Domostw ściany burzymy, obronne niszczymy w lot mury...
Pod kopyta mu walce wsuwamy i wszyscy się garną
Do téj roboty: konopne wiążą na kark sobie sznury:
Tak wciągamy do miasta poczwarę orężem ciężarną.



POGLĄDY POLITYCZNE ENCYKLOPEDYSTÓW.

III.

Obok Roussa, ze względu na wzajemne ich na siebie oddziaływanie, postawić należy Dyonizego Diderot'a.

Przystępując do twórcy „Encyklopedyi", właściwém będzie powiedzieć o niéj saméj słów kilka. Z „Encyklopedyi", zwłaszcza w dziale jéj politycznym, nader oględny należy czynić użytek. Sam Diderot przestrzega o tém w artykule „Encyclopédie" tejże Encyklopedyi. Działały tu nieustanne prześladowania, jakie przez cały przeciąg dwudziestoletniéj swéj pracy znosić musieli wydawcy. Dochodziło do tego, że przez pewien czas istniał zamiar przeniesienia redakcyi do Rygi pod skrzydła opiekuńcze cenzury tameczněj (1). Inną trudność stanowi sprawdzenie autorstwa artykułów. Co się tyczy politycznych, to nie tylko niepodpisane, lecz nawet większość podznaczonych, z małemi wyjątkami, jest pióra Diderota, lub przynajmniéj napisaną została z jego współudziałem (2). Z tych właśnie ustępów, z natury swéj ułamkowych, lecz wielkiego wpływu ze względu na niezmierną popularność „Encyklopedyi", oraz z niezliczonych drobnych urywków, rozrzuconych nietylko we własnych pismach Diderota, lecz oraz w utworach wszystkich jego przyjaciół, którzy bez skrupułu czerpali z bogactw potężnego i dobrodusznego

---

(1) Ob. listy hr. Szuwałowa, w imieniu Katarzyny do Diderot'a (20 sierp. 1762) i d'Alembert'a (29 sierp.) pisane. (Ogłoszone w *Istoricz. Wiestniku* 1884 zesz. kwietniowy 120 i nast.). W roku następnym Wolter w imieniu cesarzowéj powtórzył zaprosiny, również bez skutku. Por. list jego do Diderot'a z 25 wrześ. 1763 r. i odpowiedź Diderota z 29 wrześ. t. r. — (2) Np. artykuły podznaczone D. J. (De Jaucourt); zostały one słusznie włączone do dobrego wydania *Oeuvres choisies de Diderot* 1884; oczywiście mało mają wspólnego z Jaucourt'em, specyalistą botanikiem.

jego ducha (1) złożyć nam wypadnie obraz jego przekonań politycznych.

Zasadę główną i pierwszą Roussa, o nieograniczonéj wolności przyrodzonéj człowieka, Diderot przyjmuje w zupełności. „Wolność w państwie jest tém samém, co zdrowie w człowieku“ (2). Jednak ideę wolności przejął Diderot od Anglików, których pilnie zawsze studyował (3), rozwija ją więc z umiarkowaniem Locke'a. Przez krótką tylko chwilę zatrzymał się pod wpływem wymownego przyjaciela na skrajném stanowisku „Rozprawy o nierówności“. Żądał wówczas razem z Roussem powrotu do stanu pierwotnego, uskarżał się na „*l'invention de sociétés*“ i stawiał dzikich Scytów wyżéj nad Greków niemoralnych (4). Lecz gruntowny i trzeźwy jego umysł nie mógł poprzestawać długo na bezowocnych fantazyach; otrząsnął się téż z nich niebawem i z pogardliwém jeno zdziwieniem patrzył, jak Rousseau na paradoksalném „*jeu d'esprit*“ budował cały system filozoficzny. Głębiéj sięgający wpływ wywarli na Diderot'a Locke, Monteskiusz, Turgot. W r. 1755, na pogrzebie Monteskiusza, z całego świata uczonego i literackiego Francyi, jedyny Diderot szedł samotnie za trumną (5); charakteryzuje to dobrze i jego i Monteskiusza i epokę.

Powstanie władzy państwowéj upatruje Diderot albo w przemocy (*force*), albo w umowie między poddanymi i władzą. W pierwszym wypadku władza zowie się despotyczną i polega na ustawicznéj walce z wolnością przyrodzoną poddanych. Sposób ten ustanowienia władzy jest zresztą właściwie pochodnym tylko: jest on raczéj odmianą, zwyrodnieniem istniejącéj już władzy, niż ugruntowaniem pierwotnéj. „Podboje również są dalekie od ustanowienia rządu, jak zburzenie domu od wzniesienia nowéj budowli na tém samém miejscu“, mówi Diderot, parafrazując zdanie Locke'a (6). Jedynym celem politycznym staje się w tym wypadku umocnienie władzy, która z zewnątrz lub z wewnątrz podbiła państwo; musi się to odbić nie korzystnie na dobrobycie samego państwa. Tę ostatnią właśnie tezę pragnie wykazać Diderot w jaskrawych i cierpkich

---

(1) Np. Grimm (Correspondance), Raynal (Hist. de deux Indes), D'Alembert (Disc. prélim.), Holbach (Syst. de la nat.) itd. Por. u Rosenkranza *Diderots Leben u. Werke* I. 370. Villemain l. c, II. 114. 125.

(2) *Encyclopédie* (ed. 1781 r.) Art. *Autorité*.—(3) Rosenkranz II. 402 i nast. Sam przełożył rzecz „O moralności“ Shaftesburego p. t. „Sur le mérite et la vertu“ (Oeuvr. I). — (4) Encycl. Art. *Scythes*. Ib. art. *Société*. Por. *Supplém. au voyage de Bougainv.* oraz *Entretien d'un père*. — (5) Grimm. *Correspond.* 17 lut. 1755. — (6) Encycl. art. *Gouvernement*.

„Zasadach politycznych władców", napisanych na wzór „Księcia" Macchiavellego. Typ „Księcia", nowożytnego Borgii, stanowi tutaj Fryderyk II, „ateusz praktyczny na tronie", któremu Diderot kładzie w usta wygłaszane tu „zasady" (1).

Drugi wypadek odpowiada przyrodzonemu i prawidłowemu rozwojowi i wiąże się z powstaniem społeczeństw w ogólności. A mianowicie, naród każdy, choćby najliczniejszy, ma początek w „związku braterskim" kilku rodzin i przez pierwotną tę epokę rządził się sposobem patryarchalnym. Gdy ludność znacznie wzrosła, konieczną się stała kolonizacya i owóż w koloniach powstaje najpierwszy istotny rząd, „ustanowiony przez wolne głosowanie, za wspólną naradą i zgodą". Przykładem „kolonii" takich są w czasach nowszych Rzym i Wenecya. Tą drogą odbywa się normalne przejście od stanu przyrodzonego do państwowego.

Stan przyrodzony dwie główne posiada zalety—wolność i równość, i dwie wady—obawę przemocy oraz brak spółdziałania. Zadanie rządu stanowi zatém: dostarczyć narodowi bezpieczeństwo największe, pozbawiając go w zamian najmniejszéj części wolności i równości (art. *Législation*). Zadanie to zostaje osiągniętém przez stopniową zamianę „ducha własności" w narodzie przez „duch uspołecznienia" (*espr. de communauté*). Każdy rząd, oparty na zgodzie obywateli a dążący we wskazanym kierunku, dobrym jest i pożytecznym—bez względu na formę. W istocie dwie formy zasadnicze rządu, monarchiczna i republikańska, właściwie pojęte, wiele mają ważnych punktów stycznych. W obydwóch delegacya władzy zwierzchniéj jest możliwa a nawet konieczna; zaś w pierwszéj monarcha i jego ministrowie są tylko sługami (*commis*) narodu, który nie może oddać im władzy „bez zastrzeżenia" (*resèrve*). Nie jest jednak rząd „sługą" w sensie Roussa; ustanowienie rządu jest umową, monarcha—„użytkownikiem", „depozytaryuszem" i „służba" jego w tym charakterze wchodzi w zakres prawa o zobowiązaniach dwustronnych, wiążąc również „pana" jako drugiego kontrahenta.

Trzy są rodzaje monarchii: absolutna, obieralna, ograniczona. Pierwszéj nie należy utożsamiać z despotyzmem; ulega w niéj monarcha pewnym prawom koniecznym i uprzednio ustanowionym, „życzeniom swych nadawców". Nie jest więc mocen zmienić wiary państwowéj, ani formy rządu, ani porządku następstwa nawet, bez wyraźnego ku temu pełnomocnictwa (art. *Souverains*). Uzasadnione

---

(1) Oeuvres T. IX. 343 (édit. Naigeon an VI—1798). Ob. tamże wyjaśnienie Naigeon'a o stosunku Diderota do Fryderyka II.

tą drogą prawo powstania rozumiane jest przez Diderot'a w duchu Sidney'a i Locke'a; u Roussa nie było o niém mowy, gdyż nie było wcale pojęcia powstania przeciw rządowi, lecz lud w każdéj chwili (*quand il lui plait*) mógł prawnie zwalić rząd najlepszy, kiedy według pojęć angielskich uprawnienie takie daje dopiero rząd najgorszy. Bądźcobądź Diderot dobrze odczuwa, jak kruchą jest granica, dzieląca rząd „absolutny“ od „despotycznego“, wzmocnić ją więc usiłuje gorącym protestem przeciw panującéj, a przez „ekonomistów“ zaszczepionéj sympatyi dla „despotyzmu oświeconego“. „W definicyę despoty wchodzi tylko obszar przyswojonéj przezeń władzy, nie zaś sposób jéj używania“, powiada, stając poniekąd w sprzeczności z niezręczną swą, bo czysto empiryczną, klasyfikacyą form rządu. Diderot dochodzi nawet do zdania, że szkodliwe następstwa despotyzmu wzrastają w stosunku prostym do przymiotów dodatnich despoty. „Dajcie Anglikom trzy Elżbiety po kolei, a zrobicie z nich ostatnich niewolników Europy“. Wreszcie, jakkolwiek wprost za systematem elekcyjnym nie obstaje, jest Diderot wszakże nieprzyjacielem dziedziczności tronu (1).

Co się tyczy republikańskiéj formy rządu, rozróżnia Diderot republikę arystokratyczną (Wenecya, Genua), i demokratyczną (klasyczną). W zapatrywaniach swych na tę formę zbliża się do Monteskiusza, z tą wszelaką różnicą, że wciąż ma na uwadzę wolę ludu jako źródło istotne władzy. System reprezentacyjny niezbędny jest nawet w republice demokratycznéj; demokracya czysta jest niemożliwa, a jedyny istniejący przykład jéj w San-Marino niepodobny do naśladowania dla wielkich państw europejskich (art. *Démocratie*). Władza zwierzchnia ma być sprawowaną przez zgromadzenie prawodawcze, składające się z przedstawicieli wszystkich stanów, a więc obok dostojników duchownych i szlachty zasiadać w niém mają na równych prawach przedstawiciele klasy przemysłowéj i handlowéj oraz stanu rolniczego. Jednakowoż, ponieważ „własność czyni obywatelem“, powinno znaczenie każdego głosu wzrastać w prostym do niéj stosunku (art. *Représentans*). Pogląd taki na głosowanie, zbliżony do starożytnego rzymskiego, wyrobił sobie Diderot pod wpływem fizyokratów, a mianowicie Turgot'a (aczkolwiek u nich jest mowa jedynie o własności ziemskiéj); w istocie, w projekcie konstytucyi, ułożonym przez Turgot'a odnajdujemy podobne urządzenie głosowania na zgromadzeniach parafialnych. U Roussa oczywiście mowy o czémś podobném być nie mogło, gdyż

---

(1) Por. Oeuvr. choisies. 353.

udział we władzy prawodawczéj opierał się według niego wyłącznie na wolności przyrodzonéj, nie zaś na własności, zjawisku drugorzędném i zresztą ujemném (1). Dlatego téż mógł on w „Uwagach dla Polski“ całkowicie ignorować zasadę „*et possessionatus*“, która, naówczas gdy pisał „Uwagi“, obalona (przez sejm repninowski), miała stanowić jeden z ważniejszych czynników reformy.

Jak widzimy dotychczas, przekonania polityczne Diderota środkują pomiędzy poglądami Monteskiusza i Roussa. Od pierwszego różni się on przez brak usposobienia arystokratycznego (2), od drugiego—przez brak dogmatyzmu. Jakkolwiek wraz z Roussem i Hobbes'em uznaje „umowę społeczną“, nie pojmuje jéj wszakże z surowością właściwą „Contrat“. Stąd wbrew Roussowi uważa prawo nieograniczone wolnéj emigracyi, według Cycerona, za „*fundamentum firmissimum libertatis*“ (art. *Sujet*). Podobnież nie pragnie z bezwzględnością Roussa znosić wszelkich stowarzyszeń w państwie; owszem gotów jest tymczasowo zachować nawet stany. Atoli z drugiéj strony stawia wszystkie te stowarzyszenia pod władzę nieograniczoną państwa, oddalając się w ten sposób znowu od Monteskiusza. „Obywatele posiadają prawa, święte nawet dla samego ciała społecznego... lecz związki prywatne (*corps particuliers*) nie istnieją ani same przez się, ani same dla siebie; utworzone dla społeczeństwa, z jego téż woli przestają istniéć“ (3). Względem tych związków „pożytek publiczny jest prawem najwyższém“. Wynika stąd prawo nieograniczone państwa do zniesienia fundacyi, przez co usankcyonowanym zostaje jeden z najważniejszych aktów rewolucyjnych. Podczas rozpraw w konstytuancie z powodu konfiskaty dóbr kościelnych, słusznie oświadczył ksiądz Maury, że pogląd większości Zgromadzenia na własność osób moralnych jest wyrazem nauk „Encyklopedyi“, i że dlatego „woli on (Maury) zwrócić swą odpowiedź wprost przeciw artykułowi Encyklopedyi, aniżeli przeciw panom Mirabeau i Thouret“ (10 paźdz. 1789). W istocie okazuje się, że Mirabeau cytuje dosłownie art. „*Fondations*“ a Pétion

---

(1) Przy téj sposobności godzi się sprostować mylne mniemanie o jakoby socyalistycznym kierunku Roussa (np. u Blanc'a *Hist. de la révol.* I. 399: „le précurseur du socialisme“; nawet, zdaje się, Taine l. c. I. 289 i nast.). Powstało ono przez przecenienie (jak widzieliśmy, mylne) pierwszych „Rozpraw“ a zwłaszcza „O nierówności“. Właściwie Rousseau mało się interesuje kwestyami ekonomicznemi, gdyż równość za środek jedynie dla osiągnięcia wolności uważa.

(2) Diderot był synem nożownika z Langres; przez długi czas cierpiał niedostatek.

(3) Art. *Fondations*. Artykuł ten zazwyczaj przypisywany bywa Turgotowi, włączam go tu jednak, gdyż przyjęty został do starannego najnowszego wydania *Oeuvr. chois.* Diderot'a, 374—381.

i Thouret powtarzają z małą odmianą ustępy z tego artykułu (1). Nienawiść ku t. zw. osobom moralnym doprowadziła w następstwie, po zaborze dóbr kościelnych, do zniesienia własności komunalnéj drogą podziału, oraz instytucyi dobroczynności publicznéj drogą konfiskaty na rzecz skarbu.

Stanowisko takie środkowe zajmuje Diderot również w sprawie stosunku religii względem państwa. Po niejakiém wahaniu zatrzymał się on na ateizmie i z wielką otwartością przyznaje się do tego nawet na pogawędkach z Katarzyną (2). Dalekim jest wszakże od nietolerancyi ateizmu rewolucyjnego hebertystów, stanowiącéj właściwie tylko odwrotne zastosowanie rozumowań Roussa, który tolerancyi chciał przez nietolerancyę skrajną bronić. Diderot głosi wolność wiary zupełną, pragnie całkowicie rozłączyć „dwie głowy orła", ku zespoleniu których dążył, wzorem Hobbes'a, Rousseau. Pragnąc ściśle odgraniczyć sferę cywilną od religijnéj, z wielkim naciskiem żąda Diderot swobody rozwodowéj, aby, pozbawiwszy akt małżeństwa sankcyi nadprzyrodzonéj, zachować tylko ogólną państwową dla zobowiązań osobistych, których czas trwania, jak wykazał już Rousseau, nie może być nieograniczonym. Zeszedł się Diderot w téj sprawie ze zdaniem Roussa (3) i Holbacha (4), jakkolwiek bardziéj od nich przewidujący pragnie jednocześnie uprzedzić zbytni wzrost ilości rozwodów. Radzi w tym celu ustanowić dla dzieci rodziców rozwiedzionych opiekę państwową, obok równoczesnego wydzielenia przypadającéj dzieciom legitymy z majątku rodziców (5). Rewolucya w ważnéj téj sprawie jak najdokładniéj wykonała postawione z taką zgodnością żądania „encyklopedystów". Prawo 20 wrześ. 1792 r., ustanawiające rozwód za zgodą wzajemną małżonków, powtarza niemal słowa Diderot'a: „rozwód wynika z wolności indywidualnéj, która byłaby zniesioną przez zobowiązanie nierozwiązalne". Następnie prawo z 2 list. 93 r. zrównało w zupełności prawa dzieci naturalnych i prawych, co silnie zachwiało całą instytucyę małżeństwa. Nareszcie prawo z 23

(1) „Les corps ne sont, que des instrumens fabriqués par la loi... l'ouvrier les brise ou modifie, quand ils ne lui conviennent plus" itd.

(2) *La politique de Diderot* (w Nouvelle Revue. 1883. Wrzesień. 239). Por. list do Katarzyny z 13 wrześ. 1774 r. (ib. 260). Są to rękopisy biblioteki Ermitażu w Petersburgu, wydane przez p. M. Tourneux. W Petersburgu znajduje się cała biblioteka Diderota, którą kupiła od niego Katarzyna. — (3) *Contr. soc.* l. IV. Ch. VIII note. Z większą jeszcze stanowczością w rękopisie: „Il dépend absolument du clergé, que dans trente ans la France ne soit peuplée, que de bâtards".— (4) *Syst. social*, liv. III. Ch. X. — (5) *Nouv. Revue* 253 i nast. Miał tu Diderot na oku urządzenia rosyjskie, zaprowadzone przez Katarzynę II 1775 r. („Opieka szlachecka" i „Sądy sierockie").

kwiet. 94 r. zaprowadziło rozwód na jednostronne żądanie któregokolwiek z małżonków, bez żadnego postępowania sądowego, przez co faktycznie małżeństwo ślubne zostało zniesione.

Diderot, podobnież jak Rousseau, miał sposobność myśléć o bezpośredniém zastosowaniu teoryi do życia rzeczywistego. Jeszcze Korsykanie, którzy również jak Polacy udali się do Roussa, prosili równocześnie Diderota (i Helwecyusza) o projekt konstytucyi (1). W pismach jednak Diderot'a nie odnajdujemy śladu téj pracy, o któréj zresztą po zgnieceniu powstania korsykańskiego mowy być nie mogło. Inną okazyę znalazł Diderot w Rosyi. Nie wdając się w szczegóły jego pobytu w Petersburgu, zaznaczyć tylko wypada dwie główne idee, jakie go tu zaprzątały: oswobodzenie włościan i wychowanie publiczne. W pierwszéj sprawie nie wyraża się z „oględnością skrajną" Roussa, lecz żąda ogólnych, kardynalnych reform. Do tych jego projektów stosują się zapewne słowa Katarzyny: „gdybym słuchała Diderot'a, wypadłoby wszystko wywrócić w mém państwie, zniszczyć wszystko i zastąpić przez teorye fantastyczne". W drugiéj sprawie wypracował Diderot liczne i szczegółowe projekty, plany uniwersyteckie itp.; tutaj praca jego nie pozostała tyle bezowocną. Doradzał też niektóre śmiałe inowacye finansowe i administracyjne: wyprzedanie posiadłości koronnych, przeniesienie stolicy z powrotem z Petersburga do Moskwy itp. Prosił nawet o powierzenie mu jednego izolowanego okręgu administracyjnego, gdzie mógłby eksperymentalnie udowodnić swe teorye. Z niezmierną żywością i śmiałością, kiedy na pogawędce „filozoficznéj" z nim i Grimmem Katarzyna, zniecierpliwiona wyrzutami, jakie pod osłoną komplementów jéj czyni, zapytuje go ironicznie, czy zostawszy monarchą dałby sobie radę z panowaniem i wszystkie ideały w jednym dniu uskutecznił—Diderot w téj chwili ogłasza się królem i jako Dyonizy I dyktuje swéj interlokutorce swój „Code Denis", gdzie w 18 artykułach zawiera główne reformy polityczne (2).

Należy w tém miejscu sprostować mylne mniemanie, nader rozpowszechnione, a ostatnio przez pisarzów poważnych powtórzone (3), o sympatyach „encyklopedystów" dla polityki wschodniéj. Błąd ten polega na mylném uogólnieniu: w rzeczy saméj sympatye takie żywili „ekonomiści" ze stanowiska teoryi swéj „despotyzmu oświeconego", oraz Wolter, osłaniający epikureizm przez dążność tolerancyjną i nienawiść ku katolicyzmowi. Wszyscy zaś „Encyklopedyści" (za wyjątkiem poniekąd Helwecyusza z powodów poniżéj

(1) Por. wiadomość u Roussa Lettre à mme de V. z 3 lut. 1765 r. (Oeuvr. XII, 451). — (2) *Nouv. Revue* l. c. 15 suiv. — (3) Np. Korzon Dzieje wewn. I. 186. Kalinka II. § 157.

wyłuszczonych) w sprawie téj bynajmniéj nie zasługują na czynione im zarzuty, ani téż inni lepsi przedstawiciele francuskiéj umysłowości ówczesnéj, nie wyłączając nawet „ekonomistów". Tak więc Condorcet w oczekiwaniu śmierci układa poemat, któremu od mistrza swego Turgota nauczył się spółczuć, Mably udaje się do Polski, aby przypatrzyć się jéj, zanim doradzać; toż samo czyni Baudeau „ekonomista" zagorzały, lecz najlepszym ożywiony duchem (1). Stosunek taki był zresztą przygotowany przez długi pobyt Leszczyńskiego w Nancy, późniéj zaś został wzmocniony przez udział Francuzów w konfederacyi barskiéj. W r. 1772 drugi obok Diderota redaktor „Encyklopedyi", d'Alembert zwrócił się po wzięciu Krakowa do Katarzyny ze wstawiennictwem „w imię filozofii" za wziętymi do niewoli konfederatami, szczególniéj oficerami francuskimi, i, rzecz prosta, otrzymał odmowę. Kiedy Diderot w roku następnym (1773) rozprawiał w Petersburgu o dysydentach, nie mógł nie pamiętać o téj odmowie (2).

Diderota częstokroć porównywano z Dantonem. „Jeśli z Roussa powstał Robespierre, z Diderot'a wybłysnął Danton" powiada Aug. Comte, który zawsze wysoko cenił twórcę „Encyklopedyi" i nazywał go „najwyższą postacią XVIII st." Sąd taki i takie porównanie wobec powyżéj zaznaczonych umiarkowanych poglądów Diderot'a może się wydać nie zupełnie zrozumiałym. W Diderocie atoli należy widziéć i odróżniać dwie sprzeczne strony ducha: niezmierną rozmaitość wiadomości, usposabiającą ku umiarkowaniu, oraz energię potężną uczucia i wyobraźni, ciążącą ku poglądom najskrajniejszym. W jednym z najgłębszych swych utworów, „Śnie d'Alembert'a", uprzedza Diderot fizyologię nowoczesną, rozwijając teoryę komórkową przez genialnie przeprowadzone porównanie organizmu ludzkiego z rojem pszczół. Jeżeli więc wypada mu naodwrót, rozpowszechnionym już wówczas zwyczajem, porównywać rój ludzi, społeczeństwo, z organizmem, nie czyni już tego z powierzchownością Roussa i innych, dla uproszczenia tylko, lub ilustracyi, lecz z jasném zrozumieniem niezmiernie złożonego charakteru zjawiska. W ta-

---

(1) Baudeau *Lettres historiques sur... la Pologne* (Amsterd. 1772; bezimiennie). Rzecz nader sympatycznie skreślona i wielce zajmująca (szczególnie wstępne „Avis économiques aux citoyens de la République"). Nawet koryfeusz szkoły „despotyzmu legalnego" Mercier de Larivière, do Petersburga powołany, po krótkim a nader charakterystycznym dyalogu z Katarzyną, czémprędzéj powraca do Francyi. — (2) Do okresu petersburskiego odnosi się również zajmujący „*Essai historique sur la police*" (w Revue historique 1884. T. XXV, 298—322, podług rękopisów Ermitażu), napisany przez Diderota z polecenia hr. Naryszkina. Jestto zjadliwa krytyka reform Maupeou, oparta na śmiałym zarysie historycznym stosunku władzy królewskiéj we Francyi do parlamentów.

kim właśnie sensie, naukowym a więc anti-rewolucyjnym, uznaje on z Monteskiuszem potęgę wpływu warunków zewnętrznych (przyrodzonych) na ustrój państwowy i czyni uwagę (w krytyce Helwecyusza), że dla decydowania w sprawach polityki i moralności „trzeba być jednocześnie anatomem, przyrodnikiem, fizyologiem i medykiem". Lecz nastrój taki nie utrzymuje się w nim długo i pod wpływem wrażeń codziennych, bezpośrednio odczuwanego ucisku i pogorszającego się bez przerwy położenia ogólnego, występuje u Diderota zapał rewolucyjny, jakiego nie napotykamy w żadnym z jego spółczesnych. W takich chwilach układa on straszliwe strofy dytyrambu, które miała śpiewać w następstwie tłuszcza rewolucyjna (1). W ten sposób stało się możliwém, że Babeuf w swym „manifeście" ogłosił Diderota swym mistrzem i poprzednikiem (2). W istocie Diderot ze świadomością zupełną oczekuje niesłychanego przewrotu i za zadanie swoje, zadanie każdego „filozofa" uważa uświadomienie ludowi jego siły i przygotowanie wybuchu (3).

Zestawienie z Dantonem trafne jest także z innego punktu widzenia. „Szkoła Woltera podkopała ołtarz, zachowując tron... szkoła Roussa, naodwrót, obaliła tron, zachowując doktrynę religijną... szkoła Diderota podjęła się podwójnego zadania, razem uderzając na monarchię i religię. Jednocześnie jest ona najmniéj metafizyczną... i w całym tym kierunku znalazła podczas rewolucyi główny swój organ w osobie Danton'a" (4).

IV.

Wyżéj zaliczony został do „Encyklopedystów" Helwecyusz, jakkolwiek nic nie jest wiadomém o bezpośrednim jego udziale w „Encyklopedyi". Nominalna ta niedokładność jest w zupełności usprawiedliwiona przez ścisłe jego stosunki z „encyklopedystami" i stanowczy ich wpływ na jego pisma. Wpływ ten tak byl wyraźny,

(1) *Les Eleuthéromanes*; ogłoszone dopiero 1796 r. w „Décade philos." Jest tam, między innemi, ustęp następujący: „et ses mains ourdiroient les entrailles du prêtre, au défaut d'un cordon, pour étrangler les rois". — (2) W „Manifeste des égaux". Podczas procesu Babeufa znaleziono w listach jego do Antonellego liczne cytaty z Diderota. Wpływała tu jednak po części i ta okoliczność, że Diderotowi przez długi czas (jeszcze do 1840 r.) przypisywano dzieło komunistyczne Morellego „Code de la nature". Ob. Oeuvr. I. 5 i nast, (przedmowa Naigeon'a).—(3) „Un palais immense... dont les fondemens s'ebranlent et les murs énormesse séparent et se dissoutent—voilà précisement le spectacle, que nous offrons". Lettr. à Wilkes (19 paźdz. 1771; ogłosz. w *Nouv, Revue* l. c. 249). „Le philosophe écrit pour l'avenir, il éclaire les hommes sur leurs droits inaliénables, il prépare aux révolutions, qui compensent le sang répandu". Ib. 258. — (4) Avezac-Lavigne. *Diderot et la société du bar. d'Holbach*, 1875. p. 230, 231.

że przez długi czas uważano z jednéj strony Helwecyusza jedynie za plagiatora „encyklopedystów“ (zwłaszcza Diderota i Holbacha) (1), z drugiéj zaś przypisywano mu niektóre ich pisma (2).

Helwecyusz przedewszystkiém jest psychologiem i polityczne jego poglądy oparte są na gruncie psychologicznym. Z sensualizmu Condillac'a wychodząc, stosuje tegoż wyniki do etyki i na otrzymanych tą drogą zasadach moralnych buduje krytykę istniejącego porządku politycznego oraz teoryi Monteskiusza i Roussa. W tych ostatnich zauważyć się daje zupełne lekceważenie czynników psychicznych: „umowa społeczna“ jest nietylko historyczną, lecz oraz psychologiczną fikcyą, podobnież trzy zasady, które podług „Ducha praw“ odpowiadać mają trzem formom rządu. Braki te wypełnić postawił sobie Helwecyusz za zadanie (3).

Duch składa się z dwóch jedynie zdolności: odbierania wrażeń *(sensibilité)* i przechowania tychże *(mémoire)*; ostatnia jest zresztą niczém inném, jak wrażeniem pierwotném, przedłużonéın i słabnącém. Zatém „*juger c'est sentir*“, a więc dla rozumu i uczucia jeden tylko wspólny istnieje miernik. Miernikiem tym jest *l'interêt*, czyli pożądanie wrażeń przyjemnych i odraza ku przykrym. „Interes“ może być indywidualnym — odosobnionym, albo téż społecznym, wspólnym dla wszystkich; zadanie etyki społecznéj stanowi zespolenie pierwszego z drugim. „Pożytek powszechny“ czyli „interes większości ludzi, rządzących się jedną formą państwową“, jest sankcyą najwyższą w państwie i „czyni prawnym i cnotliwym każdy postępek, mający na celu dobro publiczne *(salut public).*“ Podobnież na okręcie, w chwili głodu, pasażerowie zjadają współtowarzysza podróży i postępują moralnie; „okręt taki stanowi emblemat każdego narodu.“ Z drugiéj strony różnice, istniejące między „duchami“ *(esprits)*, nie są przyrodzone, gdyż wszystkie „duchy“ z natury swéj stanowią jednakie puste tablice; odmiany samych „tablic“ są nieznaczne, materyał jednaki, treść zależy całkowicie od woli piszącéj na nich „władzy.“ Zatém „etyka polityczna“ stanowi rezultat wyłączny prawodawstwa, urządzeń państwowych. „Na podobieństwo rzeźbiarza, który z odłamu marmuru robi

---

(1) Głównie na zasadzie słów Marmontel'a *Mémoires* II, 115 i Morellet'a *Mém. inéd.* I, str. 71. Za nimi powtarza niesłuszny ten zarzut Blanc I, str. 399 i nawet Hettner.— (2) W pięknéj edycyi pism Helwecyusza (Londyn 1777 w 4 tom.), z któréj tu korzystam, umieszczono „Syst. de la nature“ Holbacha. W słowie wstępném powiada wydawca: „nous attribuons à Helvétius le Syst. de la nat., dont presque personne ne doute plus, qu'il soit l'auteur.“ — (3) „Il falloit étudier l'homme lui même et fonder sur sa propre nature l'édifice des loix... le seul défaut de l'ouvrage de Montesquieu était de ne pas contenir cette étude.“ *Eloge d'Helvétius* (Oeuvr. I, 14).

stół lub boga, tworzy prawodawca, wedle swego upodobania, bohaterów i cnotliwych. Niechaj świadczą Rosyanie, których Piotr W. uczynił ludźmi.“ Zadanie Helwecyusza polega tym sposobem na rozwiązaniu pytania, jaki ustrój państwowy najlepiéj odpowiada pochłonięciu „interesu“ osobistego przez społeczny, a tém samém rozwojowi idealnéj „etyki politycznéj“ (1).

Diderot w swych *Refléxions sur le livre de l'Esprit* zaznacza cztery kardynalne „paradoksy“ Helwecyusza: 1º duch jest tylko wrażliwością, 2º celem namiętności jest jedynie rozkosz zmysłowa, 3º „interes“ stanowi jedyną dźwignię moralną, i 4º prawodawstwo stwarza charakter narodu, nie zaś czynniki przyrodzone. Ten ostatni paradoks jest wprost rażącą nielogicznością: całą swą teoryę na własnościach przyrodzonych organizmu ludzkiego opierając, upatrując źródło i istotę wyższości duchowéj człowieka nad zwierzęciem jedynie w zmienionéj organizacyi fizycznéj — Helwecyusz nagle odmawia wszelkiego wpływu przyrody na sprawy ludzkie, a natomiast cudowną potęgę przypisuje prawodawcy (2). Pogląd taki jest zresztą zupełnie zrozumiałym, gdyż tłómaczy się przez pragnienie gorące zmian stanowczych w ciężkich ówczesnych warunkach; jest on wszakże u Helwecyusza objawem szczególnéj niekonsekwencyi. Dziwném się téż wydaje, w jaki sposób myśli podobne mogły odrodzić się z taką siłą w dziesięć lat po ukazaniu się „Ducha praw“; tém dziwniejszém, że Monteskiusz, zdawna z Helwecyuszem zaprzyjaźniony, silnie na niego oddziaływać był powinien. Nawet Rousseau zmuszonym się widział poczynić niektóre ustępstwa dla wywodów Monteskiusza, w gruncie bądź-co-bądź posiadających doniosłość niezaprzeczoną (3). Tymczasem jedynym argumentem obiektywnym, przywiedzionym w téj kwestyi przez Helwecyusza, jest fakt zmiany charakteru narodów (np. Rzymian lub Greków), pomimo, że pozostały w swéj ojczyźnie, bez żadnéj odpowiedniéj zmiany warunków klimatycznych, a więc jedynie pod wpływem zmienionych urządzeń państwowych. Pominąwszy już widoczne w takiém rozumowaniu pomieszanie przyczyny i skutku, należy podnieść uwagę, czynioną Helwecyuszowi przez Diderot'a, że również i naodwrót „pod rządem jednakim, lecz w różnych klimatach narody nie są podobne do siebie.“ Wszystko to użyte być mogło

(1) *De l'Esprit* (Oeuvr. Tom II) Disc. I. Disc. II. Ch. VI, XVII, XXII; Disc. III, Ch. XV, XVI. — (2) Szczególnie w polemice z Monteskiuszem: *Notes à l'Espr. des loix*, l. XIV. Ch. II; l. XVII. Monteskiusz powierzył Helwecyuszowi rękopis „Ducha praw“ do przejrzenia i oceny. Helwecyusz wydał sąd ujemny i odradzał ogłoszenie dzieła. — (3) *Contr. soc.* l. III. Ch. VIII.

z korzyścią dla sprowadzenia do granic właściwych przesadnych wniosków Monteskiusza; atoli naukowe traktowanie niepodobném było dla Helwecyusza, który wierny psychologii *tabulae rasae*, za naczelną sobie stawia zasadę, że „ludy, zamieszkujące kulę ziemską, bynajmniéj więcéj pomiędzy sobą się nie różnią, niż brani dowolnie *(au hasard)* mieszkańcy jednego miasta.“ Co się pozostałych trzech „paradoksów“ tyczy, dają się one wszystkie do pierwszego sprowadzić. Nie zatrzymując się dłużéj nad tą psychologiczną kwestyą, zaznaczę tylko, że Helwecyusz (jak również niektórzy nowocześni jego współwyznawcy) całkiem niewłaściwie utożsamia swój zgoła nienaukowy sensualizm z nauką Locke'a (1). Sensualizm ten, który jaskrawe swe zabarwienie wpływowi Lamettriego zawdzięcza, stanowczo oddziałał na opartą na nim teoryę „interesu“, nadając temu pojęciu ciasne znaczenie żądzy samych tylko rozkoszy fizycznych. Pobudki natury bardziéj abstrakcyjnéj Helwecyusz stara się sprowadzić do źródeł czysto fizycznych; gdy zaś, pomimo wszelkich naciągań, okazuje się to częstokroć niemożliwe, zmuszony jest odmawiać istnienia zjawiskom, których wytłómaczyć nie jest w stanie. Na skutek tego nigdzie nie napotykamy u Helwecyusza tyle popularnéj naówczas idei wolności przyrodzonéj. Dzięki stanowisku swemu poborcy generalnego *(fermier général)* bezpośrednio z opłakanym położeniem Francyi obeznany, ilekroć na rządy despotyczne powstaje, zawsze ma Helwecyusz na oku Francyę i materyalne jéj potrzeby. Kiedy zaś nie dostrzega tyle jaskrawego lekceważenia dobrobytu ludu, skłonnym się okazuje do wiele łagodniejszych sądów, a nawet gotów jest bodaj zostać chwalcą despoty (2). Kierunek taki staje się szczególnie widocznym w dziele pośmiertném Helwecyusza, gdzie oczywiście szczerość autora nie może ulegać wątpliwości (3). Sympatye Helwecyusza dla „despotyzmu legalnego“ obfity znajdowały pokarm w teoryach fizyokratów, którzy wogóle silnie nań oddziaływali, dawali mu bowiem recepty bezpośrednie na ciężkie rany ekonomiczne kraju, które, przy wykonywaniu swych czynności zawodowych, na każdym kroku musiał oglądać i jątrzyć. W charakterze poborcy wypadało mu niejednokrotnie zapuszczać się w głębie Szampanii i Burgundyi, jako powolne narzędzie niesłychanego wyzysku. Wiadomo, że pewnego razu,

---

(1) *De l'homme* (Oeuvr. T. III) Récapitul. Por. Locke *Essay* I, 2, § 4. — (2) Szczególniéj Fryderyka II (którego w r. 1765 odwiedził w Berlinie). Z oburzeniem wyrzuca mu o Turgot (Oeuv. II, 798) w liście do Condorcet'a z powodu księgi „de l'Esprit“ pisanym. — (3) „Le ciel du Midi de l'Europe s'embrume par les brouillards d'un despotisme asiatique; le ciel du Nord s'éclaire et se purifie, grâce aux Cathérines II, aux Frédérics.“ *De l'homme* Préf. VII.

kiedy podczas bytności jego w Bordeaux ustanowiony został nowy uciążliwy podatek od wina i wszystkie przedstawienia, czynione przez Helwecyusza w Kompanii Ferm żadnego nie odniosły skutku, sam oburzony zachęcał mieszkańców do zbrojnego oporu przeciw Kompanii i sobie samemu, jako jéj urzędnikowi (1). Wiadomo również, że sam nareszcie porzucił swą nader zyskowną posadę (2). Wszystko to razem wzięte, w połączeniu z filozoficznemi jego poglądami, musiało wywołać u Helwecyusza pewien materyalny, że tak powiem, pogląd na politykę, nie nazbyt oddalony od zapatrywań „ekonomistów.“

Dzięki wpływowi „ekonomistów“ daje się już w socyologicznych zapatrywaniach Helwecyusza dostrzedz zwrot pewien ku przyrodzie, w duchu Arystotelesa. Tłómaczy więc powstanie społeczeństwa zgodnie z tym ostatnim, z niektóremi tylko uzupełnieniami, zaczerpniętemi od Hobbes'a. Człowiek jest przeważnie zwierzęciem mięsożernem, a więc złém z natury; Helwecyusz uzasadnia taki pogląd przez szczegółową polemikę z Roussem, wierzącym w dobroć przyrodzoną człowieka (3). Dla walki ze zwierzętami, z których mają pokarm, tworzą ludzie zbiorowiska, zgromadzają się w stada, na podobieństwo wilków. Kiedy zaś wraz z wrostem ludności i wytępieniem zwierzyny zaniechano polowania, powstało rolnictwo (po krótkim okresie pasterskim) i wówczas dopiéro własność, ugody *(conventions)* i prawa (4). W rzeczy saméj, jeśli podczas okresu myśliwskiego własność utożsamiona jest z posiadaniem (upolowana zwierzyna natychmiast zostaje spożytą), to w okresie rolniczym dla każdego osobnika, który dany kawał ziemi zorał i obsiał, konieczną jest pewność niewątpliwa, że nikt inny w roku następnym nie zbierze owoców. W przeciwnym razie nikt napróżno nie będzie się trudził i wszystkim wypadnie głód cierpiéć. Tym sposobem z „interesu“ wszystkich powstaje ugoda społeczna, ustanawiająca prawo własności, nieprzerwanéj, nietykalnéj. Helwecyusz powstaje przeciw wspólności majątków: w Sparcie ukrywał się pod nią najgorszy rodzaj własności — niewolnictwo, jedyny zaś przykład czystego komunizmu, urządzonego w Paragwaju przez jezuitów, daje rezultaty ujemne. Jednakże, ponieważ prawo własności oparte jest jedynie na odczuwanym bezpośrednio (fizycznym) „in-

(1) „Tant que vous ne ferez, que vous plaindre, on ne vous accordera rien — faites vous craindre. Assemblez vous au nombre de dix mille et attaquez mes employés, ils ne sont pas deux cents.“ Oeuvr. I, 16 i nast. — (2) Dawała mu przeszło 100,000 liwrów rocznego dochodu. — (3) *De l'homme.* Sect. V. Ch. III, IV. Por. w téj kwestyi rozumne uwagi Diderota. Art. *Hobbisme.* — (4) Sect. II. Ch. VIII. „De la sociabilité.“

teresie“ żywego osobnika, stwarza więc Helwecyusz niezmiernie ważne ograniczenie tego prawa, żądając zupełnego zniesienia prawa testowania (rozporządzania swą własnością przez testament).

Co się tyczy właściwych urządzeń politycznych, odróżnia Helwecyusz dwa rodzaje państw: despotyczne, czyli takie, w których poddani nie są w stanie zrzucić z tronu panujących, którzy szkodzą państwu, i demokratyczne, czyli wolne, gdzie mogą to uczynić (1). Potępia klasyfikacyę Monteskiusza; pomiędzy monarchią i despotyzmem z jednéj strony, a arystokracyą i monarchią z drugiéj (podług terminologii „Ducha praw“) żadnéj istotnéj nie widzi różnicy. „Monarchia jest arystokracyą, któréj członkowie wyznaczeni zostali przez władcę.“ Stosunek monarchy do poddanych rozumié Helwecyusz jako umowę pełnomocnictwa: „monarcha jest pierwszym pośrednikiem *(commissionaire)* dla swego narodu.“ Lecz „żaden pełnomocnik nie jest mocen działać *(contracter)* ze szkodą swych mocodawców.“ Helwecyusz tłómaczy tę zasadę wbrew myśli prawa cywilnego i przyznaje narodowi prawo unieważniania aktów, zdziałanych przez monarchę-pełnomocnika, skoro wyrządzają one krzywdę państwu; tyczy się to szczególnie traktatów zagranicznych (2). Zapatrywanie takie znajduje usprawiedliwienie w danéj definicyi „pożytku powszechnego“, oraz w braku zupełnym u Helwecyusza idei „interesu“ wszechludzkiego.

Równocześnie krytykuje Helwecyusz trzy zasady, jakie podkłada Monteskiusz pod trzy swe formy rządu; są one nieodpowiednie (obawa) i jednorodne (honor i cnota). Na miejscu sztucznych tych i zmyślonych zasad, jedna tylko istnieje prawdziwa i ogólna— żądza władzy, stanowiąca modyfikacyę pierwotnéj—„interesu“ osobistego. Zasada ta w różnych państwach w różnéj objawia się postaci, szkodząc lub sprzyjając dobrobytowi społecznemu. W despotycznych panuje indywidualny i odosobniony „interes sułtana i wezyrów“; ztąd upadek „cnoty“, wzrost egoizmu osobistego i stanowego i zanik poczucia „interesu powszechnego.“ Kierunek taki, obok konieczności utrzymywania licznych „janczarów“, czy „pretoryanów“, jest przyczyną krótkotrwałości rządów despotycznych, co téż zauważyć się daje w państwach azyatyckich, Egipcie, oraz w historyi cesarzów rzymskich (3). Okazuje się więc, że despotyzm nie zgadza się ani z istotnym interesem despoty, ani narodu. Pierwsze szczególnie ważném jest dla Helwecyusza, ze względu na jego zbliżenie do „despotyzmu legalnego“, kiedy Rousseau,

(1) *Notes* l. II. Ch. I. *Lettre à Montesquieu.* — (2) *De l'homme.* Sect. IX. Ch. IX.— (3) Sect. IX. Ch. IX, X. *De l'Esprit* Disc. III. Ch. XVII—XXII.

naodwrót, dowodził razem z Macchiavellim, że niedola ludu stanowi zysk despoty (1). Odróżnia wreszcie Helwecyusz dwa rodzaje despotyzmu: ustanowiony nagle *(tout à coup)*, i rozwijający się powoli przez dłuższy przeciąg czasu. W pierwszym wypadku również nagłe następuje oswobodzenie; w drugim „należy powoli przygotowywać zmiany i Piotr W., który o tém zapomniał, nic może nie uczynił dla szczęścia swego narodu.“

W państwach „wolnych“ kwestye państwowe rozstrzygane są jedynie w duchu „interesu społecznego“, wobec równowartego bowiem wpływu niezliczonych „interesów osobistych“ żaden przewagi uzyskać nie może. Wolność prasy stanowi tu warunek konieczny dla należytego zrozumienia „interesu społecznego“, zaś trwałość państwa zostaje zapewniona przez zastąpienie niebezpiecznych wojsk stałych przez pospolite ruszenie. Urządzenie takie najwłaściwsze jest dla państw niewielkich i niebogatych; „interesy osobiste“ obywateli są tu bardziéj ku sobie zbliżone, głównym zaś bodźcem w kierunku zespolenia „interesu“ osobistego ze społecznym nie są bogactwa (które mogą stanowić narzędzie ambicyi prywatnéj), lecz honory i odznaczenia, które naród tylko może rozdawać, za przykładem Sparty lub Aten. Jako nagrodę najsilniéj pociągającą zaleca Helwecyusz piękne kobiety wzorem zwyczaju, praktykowanego u starożytnych i dzikich (2). Natomiast w większych już państwach tworzą się miasta stołeczne, gdzie skupiają się wielkie zbiorowiska ludzi i powstaje przemysł i handel w celu ich utrzymania; osiągnięte stąd bogactwa ulegają wkrótce, wobec nader złożonych warunków życia wielkomiejskiego, nieprawidłowemu podziałowi i w niewielu ześrodkowane zostają rękach. Ztąd znowu nieprawidłowe ustosunkowanie „interesów“, a więc częsta ich sprzeczność, zgubna w swych skutkach dla państwa. Walka z tym najniebezpieczniejszym dla państwa objawem, brakiem równowagi ekonomicznéj, stanowi pierwszą troskę prawodawcy. Państwo winno ogłosić się spadkobiercą ogólnym wszystkich majątków, przekraczających pewną normę średnią i, po nastąpionéj śmierci dotychczasowego właściciela takiego majątku, powinno ową nadwyżkę spadku rozdzielić pomiędzy odpowiednią liczbę ubogich obywateli. Winno ono daléj, wzorem Lukki, zaprowadzić postępowy podatek gruntowy tego rodzaju, aby od pewnéj stałéj granicy począwszy, na pozostałéj przestrzeni podatek pochłaniał całkowity dochód. Osobny podatek ma być obracany na zakupienie niewielkich posiadłości ziemskich, dla obdarowania ubogich,

(1) *Contr. soc.* l. III. Ch. VI. — (2) *De l'homme.* Sect. IX. Ch. XII; Sect. II. Ch. IX. *De l'Espr.* Disc. III, Ch. XV, XXII—XXIV.

którzy „pozbawieni własności, pozbawieni są ojczyzny“; podział odbywa się stosownie do liczby członków rodziny, wzorem Sparty. Wszakże zarówno powyższe, jak i inne tego rodzaju środki wywierają wpływ krótkotrwały tylko i częściowy, dzięki jednemu z najzgubniejszych wynalazków, który ułatwiając obejście wzmiankowanych ograniczeń, czyni je po krótkim czasie zupełnie bezsilnemi. Wynalazkiem tym są pieniądze; należałoby więc całkowicie wycofać je z obiegu i powrócić do sposobu zamiany, lub przynajmniéj do monety żelaznéj Sparty, — lecz przewrót taki jest niestety niewykonalnym w zepsutéj przez zbytek Europie. Inna droga, wskazana przez Helwecyusza, jest już czysto polityczną. Mianowicie należy w wielkich państwach zastosować system federacyjny. Tak np. kraj tego obszaru co Francya należałoby podzielić na 30 prowincyi, czyli republik o równéj przestrzeni, prawach i obowiązkach wzajemnych, pod zarządem rady zwierzchniéj, złożonéj ze 120 posłów obieralnych, po czterech z każdéj „republiki“; zresztą każda posiadałaby własną administracyę samodzielną i wyborczą. Rada ogólna sprawowała by jedynie sprawy zagraniczne oraz strzegła ścisłéj równości części składowych federacyi (1).

Przechodząc do zapatrywań Helwecyusza na religię i stanowisko jéj w państwie, przekonywamy się przedewszystkiém, że acz-kolwiek zazwyczaj za ateistę uważany, waha się Helwecyusz w istocie pomiędzy deizmem i ateizmem. Posiada on swoją „religię powszechną“ *(universelle)*, opartą na wiecznych zasadach, wspólnych wszystkim zbiorowiskom ludzkim i ulegających dowodzeniu najściślejszemu na podobieństwo prawd geometrycznych (2). Religia winna być tanią, tolerancyjną, wesołą; urządzenie jéj, ustalenie dogmatów, należy do państwa i odbywać się ma zwyczajną drogą prawodawczą. Urząd duchowny ma być czasowym tylko i piastowanym przez zwyczajnych urzędników cywilnych — ze względów ekonomicznych. Nietolerancyjny i, co może gorsza, kosztowny „papizm“ stał się przyczyną zguby dla Polski. Helwecyusz szczegółowy czyni obrachunek dochodów duchowieństwa francuskiego i otrzymuje olbrzymią, jak na ówczesne stosunki, sumę 600,000 liwrów dziennie (3). Przyczynę upatruje przedewszystkiém w nad-

---

(1) *De l'homme* Sect. VI. Ch. XI — XV. Sect. IX. Ch. II, IV. — (2) Ib. Sect. I. Ch. XIII, XV; Sect. IV, Ch. XXI. Przy téj sposobności godzi się przypomniéć spuszczany zwykle z uwagi szczegół, że wspólne wszystkim „encyklopedystom“ teorye o charakterze „matematycznym“ etyki (zwłaszcza politycznéj) należy w części przynajmniéj na karb Locke'a położyć. Ob. Essay IV, 3, § 18. — (3) Zastanawiającém jest, że obliczenie powyższe Helwecyusza jaknajdokładniéj się zgadza z pracowitym rachunkiem Taine'a, według którego dochód roczny Kościoła wynosił 200 mil. liwrów rocznie. *L'anc. rég.* 18, 19.

miernéj liczbie duchowieństwa; jest-to zjawisko, wynikające z istoty saméj katolicyzmu, który już z tego choćby powodu godzien jest zniesienia. Powtóre, źródła złego szukać należy w licznych znacznych i dawnych zapisach na rzecz kościoła; należą one do duchowieństwa tytułem depozytu, nie zaś własności, winny więc uledz konfiskacie i zostać zastąpione przez pensye ze skarbu państwa. W tém miejscu wszakże oddala się Helwecyusz pod niejakim względem od innych „encyklopedystów", żąda mianowicie, aby majątki skonfiskowane kościoła nie zostały oddane do skarbu, lecz specyalnie na rzecz ubogich obrócone, stosownie do dobroczynnych intencyi zapisodawców (1). Uprzedza tym sposobem zarzut czyniony rewolucyi przez surowego jéj historyka dzisiejszego, który dla skonfiskowanych dóbr kościelnych tego samego, co Helwecyusz żąda przeznaczenia (2). Zresztą bodaj, czy obadwaj mają tu słuszność za sobą.

Pośród „encyklopedystów" wyróżnia się Helwecyusz przez większą znajomość życia, większą praktyczność, w celach przynajmniéj, jeśli nie w środkach. Ta cecha zbliża go téż do „ekonomistów." Jest jednak ich optymizmu pozbawiony i dochodzi na skutek tego do szeregu wniosków, przed jakiemi z przerażeniem cofnęli by się ekonomiści, a które zbliżone do poglądów Neckera, schodzą się niekiedy dokładnie z socyalistycznemi i komunistycznemi teoryami Mablego. Pozbawiony atoli znowu stanowczości konsekwencyi ostatniego, nie rozwija Helwecyusz w sposób właściwy tych teoryi i pod tym względem odpowiada stanowisku późniejszemu Robespierre'a. Wahający się jego stosunek względem kwestyi socyalnych charakterystycznym jest dla rewolucyi w ogólności, gdzie idea równości nie przestawała zajmować miejsca drugorzędnego.

Godnemi bacznéj uwagi są pomysły federacyjne Helwecyusza. Stoją one w niezgodzie z głoszoną przez Roussa zasadą „niepodzielności" i miały w następstwie, umocnione przez przykład Ameryki Północnéj, znaleść rozumnych i nieszczęśliwych wyznawców w żyrondystach. Jeśli u Roussa napotkaliśmy federalizm (w Radach dla Polski), to jedynie w postaci wymuszonego przez okoliczności ustępstwa; mógł więc konsekwentnie Robespierre w imię „Umowy społecznéj" zgnieść oporną Żyrondę i ogłosić „Rzeczpospolitą jedną i niepodzielną."

Naodwrót znowu zbliża się Helwecyusz do Robespierre'a i oddala od Roussa, kiedy jako wynik swéj teoryi „interesu", głosi za-

---

(1) Proponuje téż podział dziesięcìny między włościan, sposobem nagród, premii państwowych. Sect. I, Ch. XIV. — (1) Taine. *La révolut.* I, 218 suiv.

sadę „*salus populi suprema lex.*“ Nazywa tę zasadę „aksyomatem kardynalnym, dającym się zastosować do każdego położenia obywatela“ (1); w takim téż sensie pojęła ją rewolucya. Powstaje na tę zasadę w imię indywidualizmu wrażliwy Rousseau, lecz nie umié być przekonywającym, gdy nie jest konsekwentnym i przeciw własnym występuje założeniom (2). Helwecyusz w téj kwestyi o wiele jest od niego logiczniejszy i, wierny do końca zasadzie, nie cofa się nawet przed wyrzeczeniem się samego siebie. „Jeżeli wbrew mym oczekiwaniom—tak rozpoczyna swe dzieło — zasady moje nie służą interesowi społecznemu, oświadczam z góry, że się ich wyrzekam“ *(que je les désavoue)* (3). W ten sposób kończy Helwecyusz na despotyzmie „interesu“, jak Rousseau na despotyzmie „wolności“ (4).

V.

Znany ustęp z wspomnień autobiograficznych Goethego, jakkolwiek nieprzychylny, dobitnie świadczy o potężnym i daleko sięgającym wpływie „systematu natury“ Holbacha. Prawda, że dzieło to ma przeważnie doniosłość filozoficzną, lecz równocześnie potrafił wskazać w niém autor punkta wytyczne swych zapatrywań politycznych. Co ważniejsza, zrozumiał on, że ta ostatnia właśnie część jego wywodów jest prawdziwie na czasie i odtąd wyłącznie poświęcił się rozważaniu zagadnień politycznych (5). Przez mnogość i popularność swych traktatów o społeczeństwie i państwie zdołał im zapewnić stanowisko wpływowe obok głównego swego dzieła, któremu nie dorównywają mocą i śmiałością. Obok działania słowa

---

(1) Sect. X, Ch. VII. — (2) Por. jego krytykę dzieła Helwecyusza (*de l'Esprit*) w listach Dutens'a do Dupeyrou (Oeuvr. XII, 95—115): „le salut public n'est rien, si tous les particuliers ne sont pas en sûreté.“ Helwecyusz pod postacią „Wolmara“ figuruje w „Emilu.“ — (3) *De l'Esprit.* Préface III. — (4) Wpływ Helwecyusza na spółczesnych był doniosłości pierwszorzędnéj. Księga *De l'Esprit*, potępiona przez parlament, Sorbonę, papieża, inkwizycyę, jansenistów, spalona ręką kata, doczekała się jeszcze za życia autora 50 wydań i została przełożona natychmiast na język angielski, niemiecki i włoski. *Eloge* 30; podobném było powodzenie *De l'homme* (wydane pośmiertnie przez ks. Golicyna). W roku 1792 municypalność paryska nazwała imieniem Helwecyusza ulicę św. Anny, gdzie mieszkał za życia. (Saint-Surin w *Biogr. univ.* T. XX, 26. — (5) „Syst. de la nature“ ukazał się 1770 r. W dalszym ciągu następują: „Le bon sens ect.“ (streszczenie poprzedniego) 1770, „Politique naturelle“ 1773, „Système social“ 1773, „Morale universelle“ 1776, „L'Ethocratie“ 1776. Należy pamiętać, że Holbach był nader majętny, wszystkie zaś swe pisma ogłosił pod pseudonimami, bez wiedzy najbliższych swych przyjaciół. (Saint-Surin w *Biogr. univ.* XX, 467); była więc działalność jego literacka zupełnie bezinteresowną, gdy ani za zyskiem, ani za sławą się nie uganiał i pragnął jedynie przyłożyć rękę do wielkiego dzieła przewrotu.

drukowanego nie należy zapominać o żywém, bezpośredniém na słynnych zebraniach u Holbacha. „W salonie Holbacha rozważano szczegółowo programat metafizyczny rewolucyi 89 r.; ani jednego nie masz projektu reformy, ani jednéj późniejszéj inowacyi, ani jednego dzieła zniszczenia, któreby tutaj nie było żądane, przepowiedziane, przygotowane.“ Najśmielsze zaś wycieczki znajdowały poparcie w erudycyi niezwykłéj Holbacha, aby w następstwie otrzymać miejsce właściwe w obszernym jego systemacie (1).

Widnokrąg filozoficzny Holbacha o wiele jest szerszym niż u Helwecyusza: „Systemat natury“ Holbacha obejmuje całkowicie „system człowieka i ducha“ jego poprzednika, badania więc obydwu mają się ku sobie, jak część ku całości. Helwecyusz psychologię sprowadzić pragnie ku fizyologii jedynie; Holbach o krok idzie daléj i zwraca się bezpośrednio ku rozważaniu materyi saméj.

Przyrodę całą wypełnia wieczna materya w wiecznym ruchu (2). Istnieje kilka rodzajów materyi—elementów (Ch. III); istnieją dwa rodzaje ruchu: zewnętrzny—mas, i wewnętrzny—cząsteczek (Ch. II). Przykładem tego ostatniego—uczucie, myśl, wola człowieka. Z różnorodności materyi (i ruchu), wobec nieskończonéj jéj rozciągłości wynika nieskończona jéj rozmaitość (Ch. IX). Nie masz więc w naturze zjawisk tożsamych, zatém i ludzie wszyscy są różni. Własnością kardynalną materyi jest bezwładność (inercya), czyli siła samozachowawcza; stanowi ona źródło sympatyi i antypatyi oddzielnych części materyi, czyli, innemi słowy, przyciągania i odpychania. Tym sposobem, na równi ze skojarzeniami chemicznemi powstają ludzkie, zwane rodziną, społeczeństwem (Ch. IV). Cała materya wszechświatowa jest w stanie ciągłéj wzajemnéj reakcyi, nigdzie więc nie ma prawdopodobieństwa ani przypadku. Również pozbawione istotnego znaczenia jest pojęcie porządku i bezładu; wszystko jest konieczném, a więc prawidłowém (Ch. V, VI).

Oczywistą jest zatém ułudność wolnéj woli człowieka. Rządzi nim „bezwzględny fatalizm, porządek zasadniczy i niezmienny, według którego ciała ciężkie spadają, lekkie się wznoszą, ludzie zawiązują społeczeństwa“ (Ch. XI). Jednak fatalizm bynajmniéj nie znosi poczytalności (3). Z doświadczenia wiadomo, że kary i nagrody oddziaływają na postępowanie człowieka, i otóż prawa, jako

---

(1) Villemain l. c. II, 124. Avezac-Lavigne l. c. 75—77, 161. Taine *L'anc. rég.* 368. O wpływie Holbacha charakterystyczne świadectwo daje poeta włoski Monti w głośném pod koniec wieku zeszłego poemacie („*Bassvilliana*“), gdzie przypisuje mu główną winę przewrotu. Wolter i Fryderyk II wystąpili z krytyką „Systematu natury.“ — (2) *Système de la nature.* T. I, Ch. I. — (3) Ch. XII. „Examen de l'opinion, qui prétend, que le système du fatalisme est dangereux.“

część przyrody, stają się bodźcem naturalnym. „Gdy stawiamy szubienicę, czynimy to samo, co budowniczy, kiedy rynnę deszczową urządza.“ „Czynić kogokolwiek odpowiedzialnym *(imputer)* za dany postępek, znaczy to jedynie przypisać *(attribuer)* mu takowy“, nic więcéj; ocenienie zaś tego postępku (spowodowana innym przyjemność lub przykrość) nie jest zależném od jego dowolności. Mamy więc prawo „ścieśniać ludzi, jak rzeki“, wychodząc jedynie z założenia pożytku ogólnego. Tym sposobem otrzymujemy nowe pojęcie wolności woli: wolność ta nie na tém polega, abym czynił, co pragnę, lecz co dostarczy mi przyjemności najtrwalszéj. Fatalizm nie doprowadza do apatyi, lecz owszem do rozmyślania i działalności. Pisarz np. dobry i zły obadwaj w równéj mierze są konieczni (jak zdrowy i chory), lecz wybiorę pierwszego, gdyż jego tylko rady dadzą mi szczęście. Tą drogą nauka moralności, jak budownictwa, sprowadza się do obliczania skutków, do matematyki. „*Respice finem*—oto treść wszelkiéj moralności (1), która tym sposobem staje się jedynie uczoném przewidywaniem: „zły człowiek jest tylko kiepskim rachmistrzem.“ Ponieważ zaś, pomimo swéj rozmaitości, wszyscy ludzie przedstawiają jeden wspólny typ zespolenia materyi i ruchu, ponieważ człowiek dziki i ucywilizowany, biały, czerwony, czarny, indyanin i europejczyk, francuz, chińczyk i lapończyk jedną i tę samą mają naturę“ — zatém i „moralność prawdziwa jedną jest.“ Dwie stąd wynikają cechy kardynalne téj moralności: 1° „zasady jéj tworzą system, ściśle dający się udowodnić, na równi z arytmetyką i geometryą“ i 2° „dający się zastosować wrównéj mierze względem władców i poddanych, uczonych i nieukształconych, mieszkańców miast i ludu wiejskiego, narodów i jednostek.“ Prawo międzynarodowe, państwowe, cywilne na jednéj wspólnéj opierają się podwalinie. Na miejscu „zmyślonych cnót lokalnych“ pojawia się jedyna istotna — kosmopolityczna, „któréj punktem wytycznym nie jest pożytek jednostki, ani korporacyi, ani narodu, lecz pożytek ogólny natury ludzkiéj“ (2).

Dane wskazówki starczą dla zrozumienia związku, zachodzącego pomiędzy filozofią a polityką Holbacha. Powstrzymując się od wszelkich uwag krytycznych (zbyt zresztą tanich dzisiaj), podnieść należy stosunek jego poglądów względem dotychczas rozważonych teoryi jego poprzedników. Obok patryotyzmu politycznego Roussa i ekonomicznego—Helwecyusza ukazuje się czysty kosmopolityzm Holbacha. Niezadługo znajdujemy wcielenie tego kierunku w idei „braterstwa“ międzynarodowego, w fantazyach marzycielskich Clo-

(1) *Système social* l. I, Ch. VI. — (2) Ib. Ch. II, V, VIII.

otza, który żądał przyjęcia przez wszystkie narody wspólnéj nazwy Germanów, czyli braci (*germani*), aby nawet z imienia unicestwić ideę narodowości. Z drugiéj strony, jak już zaznaczyliśmy, „natura“ Holbacha obejmuje „człowieka“ i jego „umowy społeczne“ jako zjawiska szczegółowe. Jest więc Holbach bardziéj od tamtych umiarkowany. Lecz niezwłocznie śpieszy uwolnić się zapomocą sofizmatu od wniosków logicznych fatalizmu i przywraca sobie w ten sposób grunt rewolucyjny. Przyrodoznawstwo materyalistyczne zbyt jeszcze było ubogiem, aby zdołało wziąć górę nad bożyszczem epoki, „rozumem rozumującym“; mogło więc to ostatnie zachować swe miejsce w poglądach materyalisty na społeczeństwo i państwo.

Widzieliśmy wyżéj, że jakkolwiek natura wszystkich ludzi jest wogólności jednakowa, istnieją wszakże pomiędzy nimi pewne różnice faktyczne. Ta właśnie różnorodność (*diversité*) stanowi podwalinę każdego związku społecznego, zmusza nas bowiem do podziału pracy, każe dopełniać się wzajemnie. Niewłaściwie uskarżają się niekiedy na tę naturalną i pożyteczną nierówność, przeceniając jéj znaczenie i nie dostrzegając, że jéj zawdzięczamy „szczęśliwą konieczność uspołecznienia“. Nie należy jednak sądzić, jakoby Holbach tyle potęgi przypisywał owéj „konieczności“, iżby uznał ją za pierwotną i doszedł do pojmowania człowieka jako zwierzęcia stadnego. Przebłysk takiéj myśli (arystotelesowéj) napotkaliśmy wyżéj w formie nader powierzchownéj u Helwecyusza, nie mogła ona jednak głębszych zapuścić korzeni wobec kierunku dominującego epoki, którą nazwaćby można epoką „świadomości“ i „idei prostych“. Nic zaś prostszego, niż błąkający się samotnie dziki, jednostka świadoma, świadomie tworząca zjawisko złożone—społeczność. Myśl ta, z którą nie rozstawaliśmy się dotychczas, rozpatrując teorye „encyklopedystów“, powraca również u Holbacha, aczkolwiek z odcieniem bardziéj realnym. Tak więc w stanie pierwotnym jest człowiek istotą dziką, odosobnioną, jak wyobrażał go sobie Rousseau, jestto jednak tylko stan dzieciństwa, nie zaś ideał, jak u Roussa. Dziki to silne dziecko, *puer robustus*, według określenia Hobbes'a. Jak dziecko koniecznym i naturalnym biegiem rzeczy dochodzi wieku męskiego, podobnież stan dziki zostaje zastąpiony przez społeczny. Stan uspołecznienia nie jest zatém, jak u Roussa, zjawiskiem patologiczném, lecz fizyologiczném, gdyż „dorosły również jest naturalnym, jak dziecko“. Sam człowiek z natury nie jest ani zły, jak za Hobbes'em powtarza Helwecyusz, ani dobry, jak sądzi Rousseau; jest tylko, jak wszystko w przyrodzie „obojętny“ (*indifférent*). Niesłusznie nawołują „mizantropi“ do powrotu do stanu

barbarzyństwa; pragną oni człowieka dorosłego cofnąć do niedołężności dzieciństwa, zmiana ani naturalna, ani zyskowna (1).

Wszelako, jeśli tym sposobem „ugoda społeczna“ (*pacte social*) Holbacha różni się od „umowy“ Roussa cechą naturalnéj swej konieczności, nie traci przez to bynajmniéj charakteru aktu świadomości zupełnéj. Bywa „formalną lub milczącą“ i polega na zapewnieniu wzajemném wolności, bezpieczeństwa, własności. „Patryotyzm“ jest tylko zobowiązaniem, wynikającém z ugody społecznéj, lecz że nie jest ona określona żadnym terminem, może więc i powinien każdy „wspólnik“, względem którego nie jest wykonywaną, uważać ją za rozwiązaną i siebie za zwolnionego z jéj skutków, innemi słowy, może i powinien opuścić państwo; niekorzystanie z tego prawa dowodziłoby jedynie tchórzostwa, lub niemoralności (2). Rozstrzygnięcie ważnego pytania, o ile w danym wypadku „ugoda“ została zgwałcona przez państwo, należy w całości do jednostki, dotkniętéj w swych prawach. Co się tyczy równości, zostaje ona, jak widzimy, zupełnie opuszczona w „ugodzie społecznéj“: pod tym względem zgadza się Holbach z Deklaracyą Praw 89 r., kiedy w Deklaracyi 93 r. (art. 2) „równość“ zajęła już pierwsze miejsce, zaś „bezpieczeństwo“ i „własność“—ostatnie. Owszem, pragnie Holbach i w państwie zachować nierówność przyrodzoną, jako źródło „autorytetu naturalnego“ i „słusznéj subordynacyi“, które „ustala stosunki wzajemne wielkich i małych, bogaczy i biedaków, panów i sług, tą samą zupełnie drogą, jak ojców i dzieci, żon i mężów“. Wszystkie te stosunki zgodne są z obustronnym pożytkiem, który ich sankcyę stanowi. „Ustanowienie równości zupełnéj byłoby oczywiście niesprawiedliwém, albowiem najwięcéj pożyteczni winni, we wspólnym interesie najlepiéj być wynagradzani i największém cieszyć się poważaniem“. Wspólność majątków jest nietylko pomysłem fantastycznym, lecz przeciwnym naturze, tj. zmysłowi samozachowawczemu (3).

Z tego samego źródła daje się wytłómaczyć powstanie władzy zwierzchniéj w państwie. Dla rozstrzygnięcia téj kwestyi nieprzydatną jest „ani historya, ani zwyczaje, ani nawet koncesye i ustawy“. W istocie, cała historya dotychczasowa niczém nie jest, jak „spisem gwałtów i nadużyć monarchów“. Z drugiéj strony najuroczystsze akty, stwierdzające poddanie się dobrowolne i nieograniczone narodu pod władzę monarchy, żadnéj nie posiadają powagi prawnéj. Są one zawsze rezultatem przymusu lub podstępu, albo też sporzą-

(1) Ib. Ch. XV. XVI. *Politique naturelle* Disc. I. §§ III. IV. — (2) Ib. § VI. (3) *Syst. soc.* l. I. Ch. XII. XVI.

dzone zostały przez ciemny motłoch, nie zdający sobie z nich sprawy, albo wreszcie wywołane przez pragnienie pozbycia się większego jeszcze ucisku (jak np. miało miejsce w Danii w r. 1660, gdzie despotyzm nieznośny arystokracyi zastąpiono przez monarchiczny). W pierwszych wypadkach akty owe tyleż są nieważne, co odpowiadające im cywilne, — w ostatnim posiadają moc względną tylko, aż do chwili osiągnięcia zamierzonego celu. Nie należy również źródła władzy zwierzchniej szukać w ojcowskiej: „nie króle ojcami są narodów, lecz narody ojcami swych królów.“ Ostatecznie więc źródłem tém jest umowa, zazwyczaj milcząca, między narodem i władcą, oparta na przymiotach władcy. Téj samej co poprzednia, pomiędzy obywatelami zawarta, treści, polega ona na zapewnieniu poddanym wolności, bezpieczeństwa, własności. Jeżeli teraz zasadę tę prawną władzy zwierzchniej zestawimy z rozwojem życia państwowego, wtedy w szeregu zboczeń bezustannych dostrzedz się daje pewna prawidłowość. W stanie dzikości pierwotnéj napotykamy hordy koczujące, żyjące z myśliwstwa i rybołówstwa. Dla odparcia sąsiednich wrogich hord, w każdym oddzielnym wypadku obrany zostaje wodzem najdzielniejszy, którego w następstwie doświadczenie czyni coraz bardziéj odpowiednim do tego celu, przez co znowu wybór coraz częściéj pada na niego, aż wreszcie stanowisko jego ostatecznie się utrwala. Władza takiego wodza nie podlegała ograniczeniom żadnym: raz, że niepojmowano wcale możności jakiegokolwiek ucisku, powtóre, naskutek wymagań dyscypliny wojskowéj. Kiedy jednak z czasem władza ta poczęła ciążyć, zadanie zaś, które spełniała, straciło na wadze, wobec rzadkości wojen—naówczas naród, powstawszy, odebrał ją napowrót i powierzył bogatéj arystokracyi, która tymczasem zdołała się utworzyć i wpływowe zająć stanowisko. Téj zaś ostatniéj, po nadużyciach podobnych, władza została odebraną w ten sam sposób i tym już razem naród zachował ją we własnych bezpośrednio ręku. Nareszcie, wobec ciągłych walk, niestałości i wybryków demokracyi, osobistość jaka energiczna i wpływowa stawała się wodzem, a w następstwie tyranem (1). Wszelkie rozprawy na temat, która z powyższych trzech form rządu jest najlepszą, na nic się nie zdadzą: wszystkie te formy posiadają wady zasadnicze, zaś „t. zw. forma rządu mieszana wszystkich trzech wspólne łączy w sobie wady“ (2); jedyna monarchia elekcyjna, przy ściśle określonym przez prawo porządku wyborczym (przez głosowanie tajemne itp.), posiada niektóre, wątpliwe zresztą jeszcze, zalety. Co jednak główna, to wlać w te formy treść właściwą,

(1) Ib. l. II. Ch. I. — (2) *Polit. natur.* Disc. II. § IX.

zgodną z „ugodą społeczną", wówczas wszystkie stają się pożytecznemi. Dla tego też nagłe przewroty, wywracające daną formę rządu, są niewłaściwe, bo bezowocne, jak widać zresztą ze wskazanego cyklu. Są one oprócz tego nader szkodliwe z powodu skrajnych swych i krwawych przejawów. Holbach ostrzega narody przed „niebezpiecznemi konwulsyami i królobójstwami": Karol I ścięty zastąpiony został przez Kromwela. Natomiast żąda powolnych, lecz konsekwentnych i obszernych reform. Państwo winno ze szczególną bacznością zająć się wychowaniem publiczném; winno zachęcać do życia wiejskiego, jako najczęściéj cnotliwego i szczęśliwego, a więc popierać rolnictwo przez zniesienie podatku gruntowego oraz hamować zbytni rozrost przemysłu i handlu; winno rozsiedlać w sposób jednostajny ludność krajową, aby uniknąć nadmiernego jéj skupienia w niektórych miejscowościach itp. „Polityka winna zajmować się wszystkiém; winna pamiętać, że zapomocą prawodawstwa robi się z człowieka co żywnie się podoba". Istotnie, wobec materyalności zupełnéj człowieka „można tworzyć i przetapiać temperamenty" (1).

Za właściwe narzędzie dla wykonania przedsięwzięć powyższych uważa Holbach system reprezentacyjny. Upatruje takowy jeszcze w senacie rzymskim, u starożytnych Germanów, Scytów, Tatarów, niemniéj też w ustroju feudalnym—zawsze jednak w postaci wadliwéj. Holbach radzi ograniczyć ilość wyborców do właścicieli ziemskich, bodaj najdrobniejszych; rzemieślnik lub kupiec staje się wyborcą dopiero od chwili nabycia nieruchomości. Każdy z okręgów, na jakie dzieli się państwo, ma posiadać zgromadzenie swych przedstawicieli, którzy dopiero obierają posłów do zgromadzenia narodowego i ustanawiają dla nich ścisłą obowiązującą instrukcyę. Przedstawicielstwo nigdy nie może być prawem dziedzicznėm. Zgromadzenie narodowe jest niepodzielném, wszyscy jego członkowie równouprawnieni, zbiera się ono w odstępach, które samo określa, rząd ani zwołać ani rozwiązać zgromadzenia nie ma prawa.

Podział form rządu, jak widzimy, zachowany został Arystotelesa, z wyłączeniem despotyzmu „który nie jest formą, lecz nieobecnością formy rządu". Porządek cyklu historycznego trzech form jest u Holbacha odwrotny, niż u Roussa, nie będąc przez to mniéj dowolnym. W pomysłach tych cyklów politycznych nie ma zresztą znaczenia taka lub inna formułka, zawsze błędna, lecz głównie wspólna wszystkim myśl o nietrwałości istniejącéj formy rządu, myśl, która musiała stosownie oddziałać na czytelnika ówczesnego

(1) *Syst. soc.* I. II. Ch. IV.

i utkwić mu w pamięci, choćby formułki zapomniał. Co się tyczy niedowiarstwa, jakie wykazuje Holbach w kwestyi o najlepszéj formie rządu, to, dziwnym sposobem, napotykamy je również u Roussa (1). Niedowiarstwo takie, słuszne zupełnie i rozumne, ani u Roussa, ani u Holbacha nie ostało się wobec gorączki demokratycznéj wieku i nie powstrzymało ani ich czytelników, ani ich samych. Również w sposób właściwy pojmować należy przestrogi Holbacha przed gwałtem rewolucyjnym; są one skierowane nie przeciw prawu narodów do powstania (niewątpliwemu dla wszystkich „encyklopedystów“ jeszcze na zasadzie Sidney'a i Locke'a), lecz jedynie przeciw czynieniu niepraktycznego z tego prawa użytku. Staje się to oczywistém przez zestawienie z teoryą Monteskiusza, który stawiał jako zasadę kardynalną prawa państwowego nietykalność monarchy obok odpowiedzialności zupełnéj ministrów. Holbach tym czasem wielokrotnie z naciskiem powtarza definicyę monarchy, jako „depozytaryusza“ władzy zwierzchniéj (2) i żadnéj nie żywi wątpliwości, że „oddający na skład“ (naród) może „depozytaryusza“, który się przeniewierzył, pociągnąć do odpowiedzialności karnéj. Radzi więc ryzykowne zawsze wybuchy zastąpić przez stały trybunał, mający sądzić „depozytaryuszów“, na sposób eforatu spartańskiego, z prawem ferowania wyroku śmierci nawet. Na tego rodzaju porównania między stosunkami prawa cywilnego i publicznego niejednakrotnie już poprzednio zwracaliśmy uwagę; są one nader zastanawiające, gdyż zawierają ukrytą w sobie treść istotną pojęć „encyklopedystów“ o rządzie. Przeciwko pojęciu „współwłasności“ ekonomistów staje albo, jak u Roussa, zaprzeczenie jakiejkolwiek umowy pomiędzy poddanymi i rządem, albo téż, jak u Diderota. Helwecyusza, Holbacha, pojmowanie téj umowy w znaczeniu składu lub pełnomocnictwa. Główną zaś cechą charakterystyczną wypływających z tych umów zobowiązań stanowi prawo nieograniczone oddającego na skład lub mocodawcy, przez jednostronne objawienie swéj woli odebrać depozyt, lub odwołać pełnomocnictwo.

Pomysły, tyczące się reformy wewnętrznéj, wzięte zostały przez Holbacha od „ekonomistów“. Powstaje téż na zbytek, a nawet na kredyt państwowy (3), który wieczną trwałość nadaje nędzy politycznéj, gdyż winy przodków zwala na przyszłe pokolenia; schodzi się tu Holbach ze ślepą nienawiścią Roussa ku „finansom“. Zbacza jednak w nader ważnym względzie od fizyokratów, żąda mianowicie energicznego wmieszania się państwa w celu przeciwdziała-

(1) *Contr. soc.* l. III. Ch. III. VII. IX. — (2) *Syst. de la nat.* T. I. Ch. IX. *Syst. soc.* l. II. Ch. II itd. — (3) Ib. l. III. Ch. VI, VII.

nia skupieniu bogactw w nielicznych rękach. Wbrew „ekonomistom“ twierdzi, że żaden, bodaj najkunsztowniejszy system podatkowy nie jest wstanie przywrócić równowagi. „Obywatel, który posiada w majątku 10 *lub* 20 liwrów, a płacić ma państwu 1 l., nieskończenie więcéj jest obciążony, niż drugi, który posiada milion i płaci 100,000 l.“ W rzeczy saméj, istota kwestyi polega nie na stosunku geometrycznym, lecz arytmetycznym, czego „ekonomiści“ jako matematycy uznać nie mogli, zaś jako ludzie oględni nie chcieli, gdyż do zbyt niebezpiecznych doprowadziłoby ich to wniosków; zadowolnili się więc wynalezieniem podatku postępowego, w przekonaniu, że tym sposobem znaleźli nareszcie kwadraturą koła.

Poglądy Holbacha na przedstawicielstwo narodowe mają źródło we francuskich, nie zaś angielskich urządzeniach. Ważny szczegół stanowi proponowany przez niego cenzus wyborczy, wprost już zapożyczony od fizyokratów a niezgodny z kierunkiem demokratycznym epoki. Rewolucya poszła tu drogą, wskazaną przez Roussa i jeśli w początku ustanowiono drobny cenzus wyborczy (po długich sporach) (1), wkrótce pośpieszono w zupełności go znieść (2). Natomiast w innych kwestyach życzenia Holbacha miały zostać urzeczywistnione: zniesiono dawny podział stanów-generalnych na trzy obradujące zosobna zgromadzenia, odrzucono system dwu izb Monteskiusza i przyjęto zasadę niepodzielności przedstawicielstwa narodowego, kwestyę zwoływania i rozwiązywania zgromadzeń prawodawczych rozstrzygnięto w ducha żądań Holbacha i Roussa. Co do téj ostatniéj kwestyi wypada zaznaczyć, że natarczywie powtarzane jednogłośne domagania wszystkich „encyklopedystów“ wywołane zostały przez fakt, że stany-generalne francuskie nie były zwoływane od 1614—1789 r. Oburzało to nawet Monteskiusza (3). Konieczność pozbawienia króla prawa téj wagi, a z którego z oczywistą szkodą dla kraju żadnego nie czynił użytku, stała się z czasem aksyomatem powszechnie uznanym, tak że artykuł odpowiedni ustawy 91 r. nie wywołał nawet protestu ze strony prawicy i przyjęty został jednogłośnie (4). Wogóle zaś zapatrywania Holbacha na reprezentacyę narodową w ścisłym pozostają związku z opozycyą jego przeciw urządzeniom parlamentarnym Anglii, nie mniéj stanowczą a bardziéj szczegółową, niż u Roussa. Odrzuca Holbach podział na izbę lordów i gmin, niezgodny z zasadą niepodzielności władzy prawodawczéj; prócz tego dziedziczność tytułu lorda sprzeciwia się

---

(1) Podatek bezpośredni roczny wysokości 3 franków. Konst. 91 r. Tit. III. Sect. II. § 2. — (2) Konst. 93 r. Deklaracya praw § 29. *Acte constit* §§ 4. 11. — (3) *Espr. d. loix.* l. XI. Ch. VI. — (4) Eymery *Rapports et disc.* T. V. 310.

zasadzie kardynalnéj przedstawicielstwa narodowego. Członkowie izby gmin nie są powściągani ani przez ściste instrukcye, ani przez urządzoną należycie odpowiedzialność wobec wyborców. Stąd sprzedajność względem rządu, który dzięki przywilejom królewskim rozporządza swobodnie skarbem państwa. Już wybory do izby niższéj, w których bierze udział klasa najuboższa, odbywają się w sposób wysoce nieuczciwy, czemu sprzyjają w dodatku prawa t. zw. „miasteczek zgniłych". Nader szkodliwy wpływ wywarł też t. zw. *Septennialact*, gdyż jedynie częste zmiany w składzie parlamentu mogą stanąć na przeszkodzie sprzedajności posłów; na prawo to powstawał kilkakrotnie jeszcze Rousseau (1). Wreszcie król korzysta z „niezmiernych przywilejów", posiada *veto* nieograniczone, rozporządza skarbem i armią. Wyliczając wszystkie te braki ustroju politycznego Anglii, upatruje Holbach główną ich przyczynę w handlowym i przemysłowym charakterze narodu, sprzyjającym rozwojowi instynktów niemoralnych; tutaj też leży powód chorobliwego wzrostu kredytu publicznego, skutkiem czego dług państwowy Anglii wynosił w r. 1762 3 miliardy liwrów (2).

W uwagach powyższych wyraźnie uwidocznia się wpływ teoryi fizyokratów. Zresztą o stosunku „encyklopedystów" względem Anglii wyżéj już wspominaliśmy. Od czasu wydania „Contrat" nienawiść ku Anglii wiele nowego znalazła pokarmu. „Listy Juniusza" (1769) z nieubłaganą surowością ukazały światu całą zgniliznę ówczesnego parlamentaryzmu angielskiego; wojna kolonialna w Ameryce wywołała we Francyi żywe oburzenie. Obawy sprzedajności, na przykładzie Anglii tak wymownie przez Roussa i Holbacha ilustrowane, nader silnie oddziałały w następstwie na prawodawstwo rewolucyjne. Stanowią one pobudkę do dekretów najzgubniejszych jak np. wyłączenie ministrów ze Zgromadzenia Konstytującego (6 listop. 89 r.), zakaz wybierania ministrów z pośród członków zgromadzeń prawodawczych (7 listop. 89; 7 kwiet. 91 r.), unieważnienie lub ograniczenie obioru powtórnego deputowanych (16 i 19 maja 91. r.). Podczas dyskusyi nad wszystkiemi temi prawami partya ra-

---

(1) *Lettr. de la montagne* IX (T. VI. 389). *Gouvern de Pol.* T. I. 403. Należy pamiętać, że gruntowne badania dzisiejsze wyjaśniły różnice zasadnicze pomiędzy obecnym a zeszłowiecznym duchem urządzeń angielskich. Sprostowano w ten sposób wiele błędnych mniemań, pochodzących od Monteskiusza, a zbliżono się poniekąd do pesymistycznych zapatrywań „encyklopedystów". Zresztą u samego Monteskiusza napotykamy wysoce dlań charakterystyczny a niedostrzegany zwykle ustęp następujący: „ce n'est point à moi d'examiner, si les Anglois jouissent actuellement de la liberté, ou non; il me suffit de dire, qu'elle est établie par leurs loix, et je ne cherche pas davantage" *Espr. d. loix* l. XI. Ch. IV. — (2) *Syst. soc.* l. III. Ch. VII.

dykalna zamykała usta przeciwnikom, wskazując na Anglię i powołując się na Juniusza (1).

Obok wycieczek, skierowanych przeciw idealizmowi politycznemu Anglii, napotykamy u Holbacha energiczną opozycyę przeciw zapatrywaniom analogicznym na świat starożytny, a mianowicie Greków i Rzymian; tutaj jest on zupełnie już od spółczesnych odosobniony. Nazywa „klasyczny ten przesąd niemniéj błędnym od religijnego“. „Spartańczycy to mnichy fanatyzmu politycznego“ (2), Lykurg jest prawodawcą „dzikim, anti-społecznym“, Rzymianie niczém nie są lepsi ze swym wszystko pochłaniającym egoizmem państwowym. Heloci u pierwszych, u drugich niewolnicy wszelkich praw pozbawieni, stanowią zjawiska najlepiéj świadczące o wadliwości całéj ich budowy społecznéj i państwowéj. Również niewłaściwie wychwalono systematy teoretyczne starożytnych dotyczące polityki: Platon i stoicy, z błędnych, nadzmysłowych wychodząc założeń, błędne téż otrzymali wnioski praktyczne; Epikur, jedyny mędrzec istotny, spotwarzany był i sponiewierany i pozostał bez wpływu. Holbach dobrze rozumié, w jakiéj sprzeczności tu staje z rozpowszechnionym poglądem, i trafnie stosunek ten tłómaczy. „Zdajemy sobie jasno sprawę z nędzy i cierpień chwili obecnéj, lecz nie znamy niedoli wieków minionych, wychwalamy więc lekkomyślnie mądrość starożytnych“, zaś „najwięcéj wrażliwi powracają aż do stanu dzikości pierwotnéj“ (Rousseau).

Kwestya znaczenia religii dla państwa żywo zajmowała Holbacha i zostaje przez niego w ten sam, co przez Diderota, sposób rozstrzygnięta. Jednak jest Holbach ateistą bardziéj dogmatycznym od swego przyjaciela i zbyt stanowczo wierzy w zgubny wpływ religii a dobroczynny ateizmu, aby potrafił zachować bezstronność, obojętną prawie, Diderota. Chociaż więc, trzymając się Epikura, radzi pierwotnie zachować bóstwa dla tłumu, pokusił się wszakże w następstwie „uczynić ateizm dostępnym dla pokojówek i perukarzy“ (3). Otwarcie wypowiada przekonanie, że przyjęcie ateizmu przez masy jest tylko kwestyą czasu (4); przykład tego i stwierdzenie widzi w Chińczykach, „narodzie materyalistów i ateistów.“ Dochodzi tym sposobem Holbach do stanowiska najskrajniejszego: odrzuca nietylko pogląd na religię Monteskiusza (5), wzorowany na

---

(1) Por. mowy Blin'a i Robespierre'a na powołanych posledzeniach. Działo się zaś tak już na początku samym, kiedy nie było jeszcze mowy o bezpośredniéj walce z Anglią, która owszem okazywała żywą dla rewolucyi sympatyę — (2) L. I. Ch. IV. — (3) Słowa Grimma z powodu pisma Holbacha „Le bon sens ou idées naturelles opposées aux surnaturelles“. — (4) *Vrai sens du syst. de la nature* Ch. XVIII. XXIII. — (5) Ob. jego *Dissert. sur la polit. des Romains en matière de relig.* (1716) oraz *Grand. et décad. des Rom.* Ch. XIX. XXII.

zasadach rzymskich i w następstwie przez Napoleona stosowany, lecz oddala się również od żądań Roussa i Robespierre'a, oraz od indyferentyzmu Diderota i Dantona. Poglądy Holbacha miały wkrótce znaleść przelotne, lecz nader charakterystyczne zastosowanie. Zapaleni jego uczniowie począwszy od 1793 r. natarczywie domagają się w konwencyi zniesienia zupełnego religii i duchowieństwa i zaprowadzenia „kultu Rozumu", czyli wyraźnego ogłoszenia ateizmu. 7-go listopada 93 roku biskup konstytucyjny Paryża w towarzystwie licznych osób duchownych staje przed konwencyą, aby uroczyście wyrzec się religii i urzędu. Na skutek tego municypalność Paryża ogłasza katedrę Notre-Dame świątynią Rozumu, i zwoławszy wszystkie sekcye miasta, uroczyście obchodzi zaprowadzenie nowego „kultu." W dalszym ciągu przez dekret z 13 listopada nakazuje konwencya władzom cywilnym rzplitéj przyjmować wyprzysiężenie się wiary od osób duchownych i prywatnych i sporządzać akty odpowiednie; przez dekret z 15 listopada kościoły i zabudowania kościelne w parafiach, które wyrzekły się religii, oddaje na własność instytucyom dobroczynności publicznéj; zaś przez dekret z 22 listopada wyznacza pensye ze skarbu państwa dla osób duchownych wyprzysięgających się wiary. Reakcya dokonana przez Robespierre'a w imię zasad „Umowy społecznéj" nastąpiła niezwłocznie po upadku Dantona, który biernie, w duchu Diderot'a wspierał kierunek ateistyczny, i położyła kres dalszym zastosowaniom idei Holbacha.

VI.

Holbach umarł 21 czerwca 1789 r.; we dwa dni późniéj odbyło się słynne posiedzenie, które miało wymierzyć cios stanowczy powadze królewskiéj; ruch przybrał postać dotykalną. Niewielu tylko z liczby „encyklopedystów" danéni było oglądać wielki przewrót i brać w nim udział (1). Należał do nich przedewszystkiém Condorcet; to też w jego poglądach politycznych rok 89 stanowi przełom stanowczy.

Condorcet podlegał w silnym stopniu wpływowi Turgota, jednéj z najsympatyczniejszych, postaci wieku XVIII, „męża o umyśle Bacona i sercu d'Hôpital'a, jak pięknie określił go Malesherbes. Turgot pierwszy zachęcił młodego przyjaciela, aby oderwał się nieco od pochłaniających go dotąd całkowicie studyów matematycznych i zwrócił się ku społecznym i państwowym. Pierwsze takiéj

(1) Z wybitniejszych, oprócz Condorcet'a, tylko Raynal, Bailly, Chamfort, Morellet.

treści pismo Condorcet'a (1776) miało téż na celu obronę projektów Turgota przeciw zarzutom Neckera. Wyłączyliśmy powyżéj z rozpatrywanéj tu grupy pisarzów Turgota—dla wielu powodów, głównie zaś ze względu na kierunek odrębny jego umysłu, zwróconego ku zjawiskom konkretnym, zdającego sobie sprawę z wymagań życia rzeczywistego, kierunek trzeźwy i praktyczny a tyle nielicujący z nastrojem całym epoki. Nie tą atoli stroną ducha oddziałał Turgot na Condorcet'a, lecz właśnie wprost przeciwną, gdzie jednak uwydatnił się wpływ epoki, stroną spekulatywną. W „Życiu Turgota", napisaném przez Condorcet'a po śmierci mistrza swego, znajdujemy nie tyle apoteozę wielkiego ministra, ile filozofa. „Turgot ujął system społeczny w prawa również ogólne i ściśle jak te, które rządzą systemem wszechświata" (1). Nie myśli tu Condorcet o człowieku, który zapewnił wolność handlu zbożowego, lecz jedynie a autorze „Rozpraw o historyi powszechnéj."

Zaznaczyliśmy wyżéj system polityczny fizyokratów, lub raczéj brak zupełny takowego. W dalszém rozwinięciu swych poglądów doszli oni do zaprzeczenia nauki Monteskiusza o podziale władz, jako niezgodnéj z zasadą jedności władzy „despoty legalnego." Turgot przyłącza się do nich w tym względzie, aczkolwiek trzyma się zawsze zdaleka od wybryków szkoły fizyokratów (2). Condorcet pod takim wpływem wystąpił z krytyką surową dzieła De Lolme'a, który w sposób gruntowniejszy, aniżeli Monteskiusz, wykładał anglomanię polityczną i z równą żarliwością żądał podziału władz w państwie (3). Należy wszakże zwrócić tu uwagę na charakter istotny stosunku Condorceta względem Turgota. Turgot, jakkolwiek występował niejednokrotnie przeciw teoryom „despotyzmu oświeconego", pozostawał w gruncie monarchistą, a że równocześnie był reformatorem, więc monarchistą „despotycznym." Był zatém nieprzyjacielem parlamentów i w projektach swych politycznych określał zgromadzenie narodowe, jako „urzędowego przedstawiciela opinii publicznéj", nie zaś jako część władzy. Słusznie téż jego ideałowi politycznemu dano nazwę „monarchii konsultacyjnéj" a nie konstytucyjnéj (4). Condorcet, przeciwnie, żywi skłonność utajoną ku formie republikańskiéj rządu. Jest teoretykiem (matematykiem), nie zaś człowiekiem praktyki (intendentem); bardziéj dowierza wszechobejmującym, zasadniczym i ściśle konsekwentnym zmianom prawodawczym, aniżeli poszczególnym, real-

---

(1) *Reflèxions sur l'ésclav.* 536. — (2) Turgot. *Lettre à Price* (22-go marca 1778; Oeuvres II, 807). — (3) „Constitution de l'Angleterre, comparée avec la forme républicaine" etc. — (4) Mastier. *Turgot sa vie et doctr.* (1862) 293.

nym reformom. Stąd polemika jego z Monteskiuszem bliższe ma źródło w rozumowaniach Roussa niż fizyokratów. Kierunek taki wyraźniéj już uwydatnia się w piśmie „O zgromadzeniach prowincyonalnych“ (1), gdzie rozpatruje Condorcet nową tę przez Neckera stworzoną instytucyę i pragnie nadać jéj charakter, jakiego nigdy nabyć nie miała. Znajdujemy tu zastosowanie teoryi Roussa do systematu reprezentacyjnego w sposób energiczniejszy i szczegółowszy, niż czynił to Holbach. Pismo to Condorceta przysposobiło grunt dla bezpośrednio po niem następujących słynnych rozpraw D'Entraigues'a i Sieyès'a.

Stosunek analogiczny względem Turgota występuje w różnéj całkowicie, lecz również pierwszorzędnego znaczenia sprawie. Jeszcze w r. 1781 ogłosił Condorcet swe „Rozmyślania o niewolnictwie“, gdzie aczkolwiek o specyalnéj i dalekiéj traktuje kwestyi, nie omieszkał dotknąć spraw ogólnych i stosunków miejscowych. Turgot, jeszcze podczas krótkiego pobytu w ministeryum marynarki, zamierzał znieść niewolnictwo w koloniach francuskich. Wychodził jednak z téj zasady, że praca wolna pod względem ekonomicznym posiada przewagę nad niewolniczą, chciał więc dać jedynie zachętę do oswobodzenia niewolników w koloniach i zamierzał np. wypuszczać bezinteresownie w dzierżawę lub nawet na własność darować kolonistom europejskim w Ameryce należące do państwa przestrzenie, pod warunkiem, aby nie trzymali niewolników; przekonany był bowiem, że reszty dokona już sama „przyroda“ i że niewolnictwo, jako narażające na straty tylko, samo istniéć przestanie. Inaczéj zupełnie rozumuje Condorcet. Sądzi również, że nagłe i zupełne zniesienie niewolnictwa byłoby środkiem ekonomicznie niedogodnym, może nawet niebezpiecznym, niemniéj wszakże domaga się takiego środka, albowiem „bogactwo narodowe nie może stanowić miernika dla sprawiedliwości“ (2). „Sprawy potęgi i bogactwa narodu całego znikać powinny wobec praw jednego człowieka“, gdyż „jeśliby tłum stotysięczny miał prawo trzymać jednostkę w niewoli, gdyby leżało to w jego interesie, naówczas prawo takie same posiadałaby jednostka osobna, silna jak Herkules.“ W tych słowach zawiera się pojęcie prawa publicznego wyższe, niż nawet u Roussa, takie mianowicie, które nawet prawu większości nie przyznaje powagi nieomylnéj, lecz sprowadza je do prawa przemocy. Wynikały ztąd dla kwestyi danéj dwa wnioski: żądanie niezwłocznego i zupełnego zniesienia niewolnictwa drogą prawodaw-

---

(1) „Essai sur la constit. et les fonctions des assemblées provinc.“ 1788. — (2) *Reflèxions* § V, 511; § VII, § XII, 534.

czą, oraz odmówienie wszelkiéj indemnizacyi. Że zaś „lepiéj być murzynem, niż chłopem francuskim“, nasuwają się przeto wnioski analogiczne dla stosunków włościańskich francuskich.

W sprawie niewolnictwa jest Condorcet o wiele od Roussa radykalniejszy, u którego dostrzegliśmy niejaki w téj mierze oportunizm. Konstytuanta wykazuje chwiejność, przypominającą Roussa: przez akt konstytucyjny dla kolonii (wrzesień 91 r.) niewolnictwo zostało utrzymane, z prawem jednak zgromadzeń kolonialnych uwalniać niewolników w danym okręgu, co znowu odpowiadało myśli Turgota; obok tego przez prawo z 16 października t. r. niewolnik każdy, który stanął przez chwilę na ziemi francuskiéj, *eo ipso* stawał się wolnym nazawsze, choćby nawet w następstwie do kolonii powrócił. Konwencya natomiast bez żadnych już wahań w zupełności znosi niewolnictwo, całkowicie w duchu Condorcet'a (1) (15 listopada 94 r.). Jakkolwiek krótkotrwałe były skutki tego postanowienia (po 8 ledwie latach przez Napoleona odwołane, przywrócono je dopiéro w 1848 r. na różnych zupełnie zasadach indemnizacyi), zapewnia ono wszakże Francyi pierwszeństwo zaszczytne w najpiękniejszém dziele humanitarności międzynarodowéj. Część zaś téj zasługi należy się z prawa Condorcetowi.

Na rozwój dalszy poglądów politycznych Condorcet'a silnie oddziałała walka Stanów amerykańskich o niepodległość, odbywająca się przy najżywszym udziale moralnym i materyalnym Francyi. W piśmie téj sprawie poświęconém pragnie wykazać Condorcet wpływ, jaki wywrzeć powinna rewolucya amerykańska na Europę, a szczególniéj Francyę. Tutaj téż spróbował określić w zarysach ogólnych swój ideał polityczny.

Pojęcie szczęścia narodowego otrzymuje się w sposób dwojaki: albo jako rodzaj wielkości średniéj *(valeur moyenne)* szczęścia i nieszczęścia indywidualnego, albo téż jako warunki ogólne możliwego szczęścia jednostki każdéj. Pojęcie pierwsze sprowadza się do prawa większości, gdyż przy obliczeniu „średniéj“ mniejszość pochłoniętą zostaje przez większość; zaś to prawo, jak wiemy, równa się tyranii jednostki. Wyznaje Condorcet, że ten jego pogląd „absolutnie jest przeciwny rozpowszechnionym doktrynom, zwłaszcza republikańskim“ (2), lecz właśnie w tych doktrynach widzi źródło „nieustannéj wojny wewnętrznéj“ oraz przyczynę upadku starożytnych republik demokratycznych. Pozostaje więc drugie tylko pojęcie, w istocie ze słusznością zgodne.

---

(1) Prawo to przyjęte zostało jednomyślnością głosów, lecz główny jego rzecznik, Condorcet tułał się już wówczas po kraju, mając wyrok śmierci na siebie wydany.— 2) *De l'influence de la révol. d'Amér. sur l'Eur.* (1787). Introd. 545.—*Refl.* 511, Note.

„Warunki ogólne szczęścia człowieka w społeczeństwie“ na dwie grupy dają się podzielić. Do pierwszéj należy zapewnienie swobodnego korzystania „z praw naturalnych“; do drugiéj—zmniejszenie wpływów ujemnych oraz zwiększenie dobrodziejstw, jakie otrzymuje człowiek od przyrody. Innemi słowy, obejmuje pierwsza grupa kwestye moralne (polityczne), druga — materyalne (ekonomiczne).

„Prawa naturalne“ obywatela są następujące: bezpieczeństwo osobiste, majątkowe, równość przed prawem, udział bezpośredni, lub przez przedstawicieli, w czynności prawodawczéj. Z pierwszych trzech wynikają prawa cywilne, karne, policyjne; z ostatniego — właściwe ustawy polityczne. Doniosłość *(importance)* tych praw dla szczęścia ogółu ulega stopniowaniu w porządku powyższego wyliczenia; zatém „przy niektórych konstytucyach winien cnotliwy obywatel w interesie spokoju i dobra publicznego wyrzec się ostatniego prawa.“ Z saméj już natury rzeczy zrzeczenie takie musi nastąpić w państwach o licznéj ludności; inaczéj częstokroć powstaje tyrania prawodawcza, nie lepsza od monarchicznéj.

Co się tyczy warunków ekonomicznych, to zasadzają się one najprzód również na swobodném używaniu „praw naturalnych“, daléj na zwiększeniu siły wytwórczéj za pomocą postępów techniki oraz przez ułatwienie stosunków międzynarodowych, na utrzymaniu pokoju, głównie zaś na przestrzeganiu równości możliwéj w podziale bogactwa narodowego, bez naruszenia wszakże praw kardynalnych wolności i własności.

Z charakteru, jaki posiadają wszystkie powyższe „warunki“, wypada, że „szczęście człowieka w społeczeństwie zależy prawie wyłącznie od prawodawstwa.“ Wypada również z ich ogólności, że w zasadzie jedno tylko istnieje dobre prawodawstwo. Należy uwolnić się nareszcie od „subtelności politycznych, zbytnio dotychczas wychwalanych, a podług których prawa, a więc i niewzruszona ich podwalina—sprawiedliwość, powinny się zmieniać razem z temperaturą.“ Wniosek ten zwrócony jest wprost przeciw Monteskiuszowi i jednocześnie z większą jeszcze żywością występuje Condorcet przeciw jego teoryi podziału władz. „W zalecanéj przez Monteskiusza złożonéj machinie politycznéj liczne przeciwwagi, urządzone jakoby dla ustalenia równowagi, mają w istocie na celu jedynie obciążenie narodu“ (1), z powodu choćby już niezmiernéj

(1) *De l'infl.* Ch. I. Por. téż *Progrès de l'Espr. hum.* Fragmens de la IV époque (ustęp o eforacie spartańskim).

kosztowności takowych. Condorcet w osobnéj rozprawie (1) poddał nader surowéj krytyce księgę XXIX „Ducha praw“; broniąc tu swéj „idei jednostajności“ *(uniformité)* przeciw wrogiemu téj czysto rewolucyjnéj idei kierunkowi Monteskiusza, domaga się powszechnego jéj zastosowania w prawach, zarówno jak w miarach i wagach. „Gdy prawda, słuszność, prawa człowieka wszędzie są jedne i te same, niepojętém jest, dlaczego prowincye wszystkie jednego państwa, dlaczego państwa wszystkie nie mają się rządzić jednemi i temi samemi prawami.“ Condorcet zapewnia, że zaprowadzenie nagłe całkowitego systematu nowego „ujednostajonego“ prawodawstwa odbyć się może z bezpieczeństwem zupełném (2), a nawet daje plan klasyfikacyi kompletnéj takiego systematu, gdzie odróżnia prawa karne (3), policyjne (4), cywilne (5) i polityczne. Te ostatnie obejmują: czynność prawodawczą, urządzenie wojsk, wykonywanie praw, sprawy zagraniczne, wydatki państwowe, podatki. Prawa o handlu i przemyśle zostają pominięte, gdyż „handel żadnych praw osobnych nie wymaga.“ Próba ta klasyfikacyi pozostaje w związku z późniejszemi pomysłami ustawodawczemi Condorceta.

W tém miejscu kończy się pierwsza faza rozwoju przekonań politycznych Condorceta. Stosunki swe z wybitniejszymi przedstawicielami umysłowości przedrewolucyjnéj sam wyłożył szczegółowo w życiorysach dwu najlepszych swych przyjaciół, Turgota i Woltera. Wolter umocnił antypatyę Condorceta ku Monteskiuszowi i „Uwagi“ Condorceta napisane zostały pod wpływem „Komentarza do Ducha Praw“, ogłoszonego przez Woltera. Przedstawiciele obozu skrajnego nie oddziaływają jeszcze na Condorceta; Roussa nazywa „hipokrytą“ a Mablego „pedantem“ (6). Tym sposobem wstępuje on w epokę rewolucyjną w usposobieniu względnie umiarkowaném, aczkolwiek z utajonemi pragnieniami, które, choć niejasno przezeń odczuwane, nader daleko sięgają.

Pragnienia te wobec niezwykłych, szybko po sobie następujących wypadków przybrały niezadługo formę zupełnie wyraźną.

---

(1) *Observations sur le XXIX l. de l'Espr. d. loix*, wydane pośmiertnie w 1817 r. przez Destutt de Tracy—(2) „Sans trouble... sans que le changement produise aucun mal.“ Ib. 458. — (3) Dwóch rodzajów: przeciw przemocy i postępowi. — (4) Dwojakie: 1° qui déterminent les sacrifices, que chaque citoyen peut être obligé faire de sa liberté au maintien de l'ordre public; 2° qui règlent la jouissance des choses communes. — (5) Dzielą się na 5 grup: 1° qui déterminent à qui doit appartenir la propriété (np. prawo spadkowe); 2° qui règlent le moyen d'acquérir la propriété (prawo umowne); 3° ograniczenia prawa własności; 4° ustalenie własności; 5° urządzenie stanu cywilnego. — (6) *Vie de Voltaire* (1787). *Vie de Turgot*, passim.

Czyniono Condorcetowi niekiedy niesłuszny zarzut niestałości przekonań, uwarunkowanéj jakoby przez zmienność prądów rewolucyjnych (1). Condorcet tymczasem odbywał tylko rozwój konsekwentny i stopniowy, bez powierzchownych nagłych przeskoków, do których umysł jego nie był zdolny (2). Mianowicie od przekonań umiarkowanych mistrza swego, Turgota, oraz sceptycyzmu przyjaciela, D'Alembert'a przechodzi zwolna do skrajnych wywodów „algebry politycznéj“ (Portalis), do wiary w możność urzeczywistnienia ideału logicznego, kierunku, istotnie odpowiadającego właściwéj jego organizacyi duchowéj. W r. 1790 zakłada wspólnie z Sieyès'em „Klub 89 r.“ w duchu monarchii konstytucyjnéj, jakkolwiek różni się z większością członków w sprawach wagi najpierwszéj, np. w zapatrywaniu swém na władzę królewską, którą chce pozbawić prawa *veto*. Żąda téż prawa głosowania dla kobiet na równi z mężczyznami, pragnąc naprawić „ważne przeoczenie“ Roussa (3). W r. 1791, jeszcze przed ucieczką króla, Condorcet jeden z pierwszych ogłasza się zwolennikiem formy rządu republikańskiéj (4). Tegoż roku wydaje „Listy o władzy prawodawczéj,“ gdzie w imię jedności władzy prawodawczéj odrzuca system dwu izb, lecz pragnie zarazem stworzyć dla francuskiego niepodzielnego Zgromadzenia narodowego urządzenie, które mogłoby zapewnić dojrzałość postanowień i zastąpić izbę wyższą angielską. Sądzi mianowicie, że znalazł szukane rozwiązanie w teoryi prawdopodobieństw, z któréj wychodząc, żąda różnéj większości głosów dla różnych postanowień. Dla rozszerzenia np. praw obywatelskich wystarcza prosta większość, dla ich ograniczenia wymaganą już jest większość $^2/_3$ lub $^3/_5$, z różnorodnemi modyfikacyami, zastosowanemi do wagi danego prawa. W projekcie tym, mimo całą jego dziwaczność, zasługuje na szczególną uwagę ukryta opozycya Condorceta przeciw prawu większości, wyżéj już wzmiankowana; pragnie on prawo to tyle sobie nienawistne nagiąć do wymagań słuszności i prawdy, którą sądzi, że odnalazł w formułkach matematyki prawdopodobieństw. Rys ten nie ginie przez cały ciąg jego działalności politycznéj, głęboko bowiem jest zakorzeniony w idei przewodniéj Condorceta, idei indywidualizmu. Condorcet nie doprowadził indywidualizmu, jak to

(1) Zarzut ten czynił mu nawet uczony i przenikliwy Duvergier de Hauranne. *Hist parlement.* I. 267, lecz zmuszonym się widzi uznać, że Condorcet nie zmienił nigdy „d'opinion au fond.“ — (2) Nie należy téż spuszczać z uwagi, że Jan Marya markiz de Condorcet był potomkiem starożytnego rodu szlacheckiego. — (3) Por. trafną uwagę Koch'a (*Hist. Zeitschr.* l. c. 196), jak u Roussa różnica pojęć „l'homme“ i „citoyen“ wiązała się z pominięciem praw politycznych kobiet. — (4) Wspólnie z Brissotem. Pisywał wówczas do „Chronique du mois“, „Républicain“ i innych czasopism o kierunku skrajnym.

uczynił Rousseau, do samobójstwa; owszem, zawsze bezpośrednio ma na oku prawa jednostki osobnéj, które zabezpieczyć należy przed gwałtem, choćby legalnym, tłumu (większości). Owóż, układając powyższe projekty teoretyczne, Condorcet zarazem w palącéj kwestyi praktycznéj występuje bezstronnie w obronie osobnika przeciw państwu. Wbrew najbliższym swym przyjaciołom (jak Vergniaud, Isnard i in.) broni nieograniczonego prawa emigracyi i wychodźcom (za wyjątkiem tych, co porzucili urzędy lub służbę wojskową) te same co innym cudzodziemcom przyznaje prawa. Jedyne ograniczenie stanowić ma przepis, nakazujący wychodźcom składać w konsulatach francuskich zobowiązanie piśmienne, że przez przeciąg lat dwóch nie przyjmą urzędu w państwie zagraniczném bez stosownego pozwolenia francuskiego zgromadzenia prawodawczego, oraz że w przeciągu tegoż czasu powstrzymywać się będą od wszelkiéj wrogiéj dla Francyi działalności (1). Zapatrywania Condorceta w téj materyi zbyt sprzeciwiały się niepowstrzymanemu prądowi, wychodzącemu od Roussa i Helwecyusza a spotęgowanemu przez groźbę chwili; żadnego téż nie znalazły odgłosu i ustąpiły wkrótce straszliwym dekretom o emigracyi.

Szczytem działalności politycznéj Condorceta podczas rewolucyi był udział jego w sporządzeniu pierwszego projektu konstytucyi republikańskiéj w charakterze redaktora naczelnego i rzecznika komisyi konstytucyjnéj wobec konwencyi. Niewłaściwym byłby tu wykład tego „bardziéj słynnego, niż znanego projektu“; wiele bowiem z zajmującego tego dzieła tylu najdzielniejszych umysłów nie należy do normalnego rozwoju przekonań politycznych Condorceta, którego samodzielność z wielu względów silnie tu była krępowana. Zatrzymamy się przeto na niektórych tylko punktach, bezpośrednio odnoszących się do charakterystyki niniejszéj (2).

Wszystkie władze prawodawcze, sądowe i wykonawcze ustanawiane być mają przez wybory, odbywające się w sposób nadzwyczaj skomplikowany. Wyborca układa listę kandydatów; na zasadzie tych list ułożoną zostaje lista potrójnéj liczby kandydatów, z pośród których znowu wyborca obiera liczbę podwójną; na zasadzie tych ostatnich dopiero spisów połowa kandydatów, którzy się w nich utrzymali, zostaje wybraną. Urządzenie takie niewątpliwie jest dziełem Condorcet'a; przedstawia ono znaczne jeszcze uproszczenia w porównaniu z niezmiernie złożonym, czysto już matema-

---

(1) *Opinion de Condorcet* 25 paźdz. 91 r. (u Eymery Rapports VIII. 187. 188).—
(2) Ob. głównie *Rapport fait par C. au nom du comité de const.* 15 lut. 93 r. (u Eymery ib. T. XII. 228—282).

tycznym projektem, jaki wypracował był wcześniéj w poświęconéj specyalnie téj kwestyi rozprawie analitycznéj (1). W pogoni za „szczęściem“ i „prawdą“ doszedł tym sposobem Condorcet do twierdzeń, których zastosowanie zmusiłoby naród francuski rzucić rolnictwo, przemysł, wszystkie zajęcia życia powszedniego i poświęcić się wyłącznie wybieraniu swych przedstawicieli.

W dodatniejszy sposób humanitarny kierunek Condorceta przejawił się w innéj, nie wielkiéj stosunkowo wagi, lecz nader ciekawéj sprawie. Kara śmierci podług projektu Żyrondystów ma zostać zniesioną, z jedynym wyjątkiem przestępstw politycznych. Condorcet był głównym przeciwnikiem téj kary a nawet potępiał wyjątek powyższy, nakazywany przez okoliczności—dziś rażący może wobec żądań odwrotnych. Podczas głosowania nad oznaczeniem kary dla Ludwika XVI, Condorcet, ku niepomiernemu zdumieniu przyjaciół, głosował przeciw karze śmierci (2) i oświadczył z trybuny, w chwili, kiedy słowa te głową mógł przypłacić, że „kara śmierci przeciwną jest jego zasadom“ (16 stycz. 93 r.). W istocie, w karze głównéj zawiera się zaprzeczenie najwyższe praw jednostki, tyle przez Condorceta cenionych a z taką lekkomyślnością poświęcanych przez jego spółczesnych w imię właśnie tych samych praw. Monteskiusz, Mably, Diderot, Rousseau (3), stawali w obronie kary śmierci, konstytucya góry utrzymała ją w całéj pełni; tak więc zamiar Condorceta pogrzebany został pod gruzami Żyrondy, aby znaleść oddźwięk w nowszych dopiero czasach.

Deklaracya praw przedłożona konwencyi przez Condorceta (przez krótką chwilę nawet zatwierdzona) również uwydatnia rys charakterystyczny jego umysłu. Nie zawiera ona mianowicie wezwania do Istoty Najwyższéj, które rozpoczynało Deklaracyę 89 r. Condorcet nie miał religii, nic wzamian nie posiadając, ani deizmu Roussa, ani nawet ateizmu Holbacha; w charakterze swym matematyka przejął się sceptycyzmem zupełnym d'Alembert'a, porzuciwszy wszelkie rozmyślania nad kwestyą nie dającą się badać za pomocą metody nauk ścisłych (4). Nigdzie téż nie wspomina o zużytkowaniu jakiémkolwiekbądź urządzeń religijnych dla celów państwo-

(1) „Essai sur l'applic, de l'analyse à la probabilité des décisions rendues à la pluralité des voix“. — (2) Żądał „la peine la plus grave dans le Code pénal, qui ne soit pas la mort“, czyli dożywotnich robót ciężkich na galerach, za co wykluczono go z akademii petersburskiéj i berlińskiéj. — (3) Por. *Espr. d. loix.* l. XII. Ch. IV. *De la législ.* l. III. Ch. IV.—Art. *Souveraineté.—Contr. soc.* l. II. Ch. V. Ob. též u wiernego ucznia Roussa Filangieri'ego *Science de législ.* l. III. par. II. Ch. V. — (4) Pod względem naukowym zbliża się tu do Condorceta znakomity jego uczeń i następca, A. Comte, umysł również matematyczny.

wych. Kiedy późniéj Robespierre (23 czerw.) nakazał konwencyi powtórne głosowanie nad Deklaracyą praw, pierwszą zmianą, jaką w projekcie Condorceta zaprowadził, było przywrócenie wezwania „Istoty Najwyższéj“ na sposób przez Roussa przepisany.

Idea zasadnicza Condorceta we wszystkich jego rozmyślaniach o państwie daje się określić jako: wiara w sprawiedliwość bezwzględną, którą człowiek poznaje zapomocą rozumu nieomylnego a która znajduje urzeczywistnienie na ziemi w porządku przyrodzonym zjawisk. „Zdaniem Condorcet'a ponad zasadą pożytku istnieje wyższa sprawiedliwości, po nad władzą liczby władza rozumu“ (1). „Jedyne ograniczenie niezależności indywidualnéj polega na obowiązku posłuszeństwa r o z u m o w i większości; rozumowi, mówię, nie zaś w o l i, gdyż władza większości nad mniejszością nie jest dowolną, lecz winna opierać się w każdéj chwili na rozumie, tj. sprawiedliwości“. Słowa te Condorceta w bezpośrednim są związku ze światopoglądem, jaki przejął od „ekonomistów“, szczególnie zaś od Smitha (2). „W chaosie stosunków ludzkich istnieje utajone a potężne ogólne prawo moralne, według którego wysiłki jednostki każdéj, skierowane ku własnemu jéj pożytkowi, z natury rzeczy spółdziałają dobrobytowi wszystkich“ (3). Zatém „dobroć moralna człowieka stanowi wynik konieczny jego organizacyi.“ Innego to oczywiście gatunku „dobroć“, niż ta, o jakiéj prawił Rousseau; odnajdujemy ją we spółczesnych teoryach moralnych i ekonomicznych Smitha. Równocześnie odnajdujemy zasadę kardynalną Condorceta w głównych jéj zarysach u przyjaciół jego Żyrondystów, których miała przyprawić o zgubę. Fikcyjność harmonii sprawiedliwości i „pożytku powszechnego“ wystąpiła wkrótce na jaw i co chwila brutalnie dawała się odczuwać; stąd umysły szlachetne, wiary nie chcąc porzucić, zmuszone się widzą do wahań bezustannych i niebezpiecznych. Na początku przewrotu, w konstytucyi 91 r., panuje jeszcze idea prawa, lecz kiedy rozpoczęła się natężona walka wewnętrzna i zewnętrzna, niezwłocznie idea ta wypartą zostaje przez inną „ocalenia publicznego“ (*salut public*), aż znowu i ta zasada ustępuje przed egoizmem jednostki potężnéj (konst. roku VIII).

Wiadomym jest los fatalny Condorceta. Jakże tedy optymizm jego teoretyczny zachował się wobec rzeczywistości okrutnéj, co

---

(1) De Hauranne l. c. 256. — (2) Do francuskiego przekładu (Rouchera) „Bogactwa narodów“ dołączył Condorcet tom swych uwag. „Teorya uczuć moralnych“, tak ściśle powiązana z dziełem ekonomiczném Smitha, wywarła na Condorceta wpływ nie mniéj głęboki. — (3) *Progrès de l'Espr. hum.* IX époque. Mowę swą o emigracyi rozpoczyna w ten sposób: „c'est une grande erreur de croire, que l'utilité commune ne se trouve pas constamment unie avec la justice“ itd. (Eymery VIII. 182).

rozbiła odrazu wszystkie jego ideały? Sprzeczność tę życia i ideału rozwiązał Condorcet, zawsze wierny sobie, przez ideę wielką rozwoju. Ukrywający się przed siepaczami, na śmierć skazany, pisze historyę „Postępu ducha ludzkiego“, „testament filozoficzny wieku“ (1), gdzie w przyszłości pokłada wszystkie nadzieje, które tak brutalnie rozwiała teraźniejszość. W „Encyklopedyi“ (jak zauważył Janet) brak słowa „perfectibilité“, wyżéj zaś zaznaczyliśmy stosunek ujemny Roussa względem tego pojęcia. Condorcet, teoryę rozwoju przejąwszy od Turgota, pierwszy rozumie jéj znaczenie i pragnie dać jéj zastosowanie praktyczne: kiedy zawiodło go pokolenie spółczesne (dorosłe), zwraca się ku przyszłemu i zapomocą systematu „wychowania publicznego“ dziatwy myśli dopiąć urzeczywistnienia ideału politycznego. W sprawie téj zeszedł się z prądem panującym wieku. Myśl o zadaniu pedagogiczném państwa, od Greków (Platona mianowicie) zapożyczona, napotyka się już u Monteskiusza, aczkolwiek w kierunku konserwatywnym (2), następnie, jako narzędzie reformy staje się własnością wszystkich „encyklopedystów“. Rousseau w „Emilu“ i „Radach dla Polski“ szczególny kładzie nacisk na tę sprawę, Diderot w swych projektach dla Katarzyny, Holbach i Helwecyusz we wszystkich swych pismach. Wychowanie publiczne pierwszorzędne zajmuje miejsce w pomysłach Mablego i Morellego; Turgot oświadcza królowi, że zapomocą konsekwentnego systematu wychowania publicznego „naród francuski w przeciągu lat dziesięciu zmieni się do niepoznania“ (3). Condorcet żywi wiarę nie mniéj głęboką, lecz z różnego zupełnie stanowiska; nie oczekuje on natychmiastowych, lecz powolnych, stopniowych rezultatów, „na podobieństwo zjawisk dostrzeganych w hodowli zwierząt domowych“ (4). Z idei rozwoju wypływa świadomość niedoskonałości koniecznéj stanu obecnego, należy więc w wychowaniu publiczném wystrzegać się dogmatyzmu, zwłaszcza politycznego: „konstytucyę należy wykładać młodzieży jedynie jako fakt (*fait*)“ (5).

Poglądy polityczne wieku XVIII, doprowadzone do skrajności ostatecznéj przez Roussa, znajdują w osobie Condorceta przejście naturalne ku bieżącemu stuleciu.

Szymon Askenazy.

---

(1) Wyrażenie Taine'a. Ob. wszakże niesprawiedliwy jego sąd o Condorcecie w *La conquête jacob.* 97. — (2) *Espr. d. loix* l. IV. — (3) „Dans dix aus Votre nation ne sera pas réconnaissable“. (U Tocqueville'a *L'anc. rég. et la révol.* l. III. Ch. III). Ob. też Turgot. Oeuvr. II. 793. (Lettre à mme Graffigny).—(4) *Biblioth. de l'homme public* (przez Condorceta redagowana) 1791. T. I. 55. — (5) *Sur l'instruct. publ.* Mém. II. (Ib. 19 suiv).



GDYBYM BYŁ MŁODSZY.....

Czy być może? Aż tyle lat upłynęło od dnia, w którym nasze kółko koleżeńskie rozpierzchło się po świecie! Nigdy sobie nie zdawałem jasno sprawy, że to tak dawno. Więc prawdopodobnie więcéj niż połowa życia już przeżyta. I czy się téż ziściły choć w części nasze nadzieje? Czy zbliżyliśmy się bodaj trochę do tego celu, który za gwiazdę przewodnią życia naszego miał służyć? Ja sam co zrobiłem? Gdzie ślady mojéj działalności?......

Dojrzewaliśmy umysłowo i moralnie w ciężkiéj epoce reakcyi. Rygor pruski, chwilowo przedtem osłabły, ze szczególniejszą zaczął ciążyć nad krajem naszym grozą. Niektórzy moi, starsi koledzy byli jeszcze pod wpływem nieuspokojonego fermentu, jaki przeszli w czasach gimnazyalnych. Byli i tacy, którzy rozpoczęli studya uniwersyteckie, lub téż powrócili do nich po kilkoletniéj w naukach przerwie, pełnéj dziwnych, a zawsze smutnych w rezultacie przygód. Wędrowali na wschód i na zachód, z dobréj woli i z musu i dowędrowali... do utraty wszelkich nadziei. Tak więc panowała wokół nas atmosfera zwątpienia, przygnębienia, negacyi.

Nastąpiła wojna francusko-pruska. Staje mi żywo w pamięci obrazek z tego czasu. Do właściciela domu, u którego wynajmowałem moją stancyjkę studencką, przychodził co rano jakiś jego przyjaciel, urzędnik biura telegraficznego, i komunikował mu najświeższe wiadomości z placu bitwy. Mój *Hausbesitzer* wyczekiwał swego informatora na balkonie, a zoczywszy go zdala, krzyczał: „*Na! Was ist Neues?*“ A odpowiedź brzmiała niezmiennie: „*Victoria! wie immer.*“ Trzeba było słyszéć ton, jakim te słowa były wypowiadane. Ile się w nich mieściło zarozumiałości bezgranicznéj! Nie mogłem znieść téj trąby zwycięstw i przeniosłem się do innego domu. Ale *die Wacht am Rhein* wszędzie mię ścigała. Z koszar i knajp wylewała się pieśń wrzaskliwa na ulicę i zalewała nawet aule uniwersyteckie. Szowinizm germański zaraził te przybytki nauki. Zamiast za-

sad prawdy i sprawiedliwości, słyszeliśmy nieraz z katedry dytyramb na cześć zasady: *Macht vor Recht.*

W takiéj to chwili, w małém gronie kolegów, z którymi bliżéj byłem związany, zaczęła się rozwijać wyśmiewana przez zamkniętych w negacyi, pogardzana przez wierzących tylko w hazard, w wygraną na loteryi, a jednak chyba do dziś jedyna w skutkach zbawienna myśl tak zwanéj pracy organicznéj, pracy cichéj, spokojnéj, a wytrwałéj około umocnienia wewnętrznego wszystkich cząstek składowych naszego organizmu społecznego.

Gdy jednak przyszło do pytania: co właściwie robić mamy, odpowiedź była trudna. Powtarzaliśmy sobie tylko, że powinniśmy korzystać ze smutnych doświadczeń przeszłości i unikać wszelkich utopii, sentymentalizmu, marzycielstwa. Wszystkie nieszczęścia niedawnéj przeszłości w tém, żeśmy szukali dróg przewodnich w poezyi i że nami rządziły kobiéty. Więc precz z poezyą i precz z panowaniem kobiét! To jednak dopiéro negatywna część programu. Gdzież znaleść odpowiedź na pytanie: „co robić?“ Po różnych dyskusyach stanęło na tém, że trzeba przedsięwziąć studya nad społeczeństwem własném dla zbadania przyczyn rozkładu jego i niemocy, i poznać bliżéj społeczeństwa silne, celem znalezienia wśród nich wzoru do naśladowania. Potém mieliśmy komunikować sobie wzajemnie rezultaty naszych spostrzeżeń i wspólnie pracować. Które ze społeczeństw silnych wybrać za przedmiot naszych studyów? Niemcy imponowały nam swoją potęgą, więc mimo niechęci wzajemnéj niemieckiego społeczeństwa do nas i naszéj do Niemców, większa część postanowiła wybrać się na czas dłuższy w głąb Niemiec. Obcą nam była, a nawet potępioną stanowczo myśl Wallenrodyzmu. Myśmy tylko chcieli zajrzéć do wnętrza tego kolosu, zbadać tajemnicę jego wzrostu i tajemnicę tę, jak Prometeusz ogień ukradziony niebiosom, przynieść w darze naszemu krajowi. Szliśmy na poszukiwanie cudownego eliksyru potęgi i siły, w nadziei, że eliksyrem tym podźwigniemy kraj nasz, po ciężkich przejściach na atonię chory, z jego niemocy,— że potrafimy podnieść oświatę społeczną wogóle, a ludową w szczególności, dźwignąć rolnictwo, ożywić przemysł i handel,—że przywrócimy zdrowie naszemu społeczeństwu. Widzieliśmy już w świetlanych horyzontach, jak zdrowi, rozumni, bogaci, pracowici nie tylko piędzi ziemi nie ustąpimy odtąd Niemcom, ale nawet przeciwnie w wyścigu pracy społecznéj zdobędziemy sobie pierwszeństwo przed nimi tak, jak już dziś na wielu polach wyścigają Niemców Czesi.

Pomimo jednak bezwzględnéj apoteozy pozytywizmu, realizmu, trzeźwéj krytyki i chłodnéj rachuby, stary romantyzm tkwił

w nas zawsze. Czy to wpływ instynktów wrodzonych, czy wrażeń, któremiśmy w dzieciństwie nasiąkli?

Pamiętam — kiedyśmy się zebrali przed rozpierzchnięciem po świecie na zamierzone studya życiowe, dla których przeznaczyliśmy termin trzyletni, to przy obliczeniu naszego grona ktoś zwrócił uwagę, że w kółku, tak dalekiém sympatyami od niemczyzny, blisko połowa jest nazwisk niemieckich,— że niektórzy z nas mieli rodziców jeszcze, lub dziadów, uważających się za Niemców i mówiących lepiéj po niemiecku niż po polsku. Więc jeszcze nie utraciliśmy zdolności asymilacyjnéj! A zatém jesteśmy społeczeństwem żyjącém! Jeżeli pewna część słabszych wśród nas indywiduów siły niemieckiéj się zlęknie i zgermanizuje, to zato szlachetniejsze jednostki z pośród Niemców samych, opuszczą obóz drapieżny i połączą się z nami. Ta uwaga tak nas radośnie nastroiła, żeśmy już wcale nie wątpili o pomyślnéj przyszłości. Na tych z naszego koła, którzy niemieckie nosili nazwiska, patrzyliśmy jak na naszych zbawców, jak na bohaterów-rycerzy, walczących w obronie nieszczęśliwych i pokrzywdzonych.

Szczególniéj pod silném wrażeniem był Bohdan, który jeden jedyny w naszém kole miał odwagę się odzywać, że najpoważniejszéj pracy społecznéj nie przeszkadza poezya i że mężczyzna, pracujący, nie powinien unikać kobiéty, lecz przeciwnie — szukać w niéj podpory, zachęty, osłody życia, bo inaczéj praca w smutku i znudzeniu zabije go moralnie. Lecz nikt myśli jego nie śmiał podtrzymywać. Jedni oponowali mu gorąco, inni w wahaniu milczeli, wstydząc się ukrytych aspiracyi romantycznych, jakby grzechu śmiertelnego.

Bohdan tedy wstał i zaimprowizował pod wrażeniem chwili toast wierszowany. Myślą przewodnią toastu było złożenie hołdu tym, którzy nie zawahali się przełożyć poczucia sprawiedliwości i sympatyi serca nad trwogę przed germańskim kolosem i nad korzyści, jakie z należenia do narodowości silnéj, do zwycięzców z pod Sedanu, płyną. W uniesieniu poetyczném widział Bohdan w tych „synach i córach Germanii“, co naszą niedolę podzielić przyszli i z nami się duchem zbratali, naszych zbawców, naszą przyszłość. Gdy skończył swoją improwizacyę, rzuciliśmy się wszyscy do Bonia,—uściskaliśmy go, ucałowali. Ten i ów łzy miał w oczach. A kto z nas nie miał niemieckiego nazwiska, czuł się w téj chwili jakby pokrzywdzonym przez los. Po niejakim dopiéro czasie Adaś, jako najbardziéj zdecydowany nieprzyjaciel romantyzmu, napadł pół-żartem, pół-seryo na Bonia.

— Wszystko to bardzo ładne, ale widzisz do jakich to fatalnych konsekwencyi prowadzi poezya. Przedewszystkiém wzbudzi-

łeś w naszych szwabach fałszywą dumę, że oni tylko zbawić nas mogą. No, no, przepraszam was, nie jesteście szwaby, tylko wasserpolaki. I tak źle?! Muszę przecież dla kompensaty z entuzyastycznem uwielbieniem Bonia, trochę was podrażnić, boby się wam w głowach przewróciło. Widzisz Boniu, zabiłeś w nich pokorę chrześciańską, a natomiast wznieciłeś pychę. To ciężki grzech,— tak zwany w katechizmie grzech cudzy. Powtóre wywołałeś zazdrość w tych, którzy polskie noszą nazwiska. Widzę po minie Zboryszowskiego, że chciałby się nazywać Sborisch'em. To już grzech drugi. Ale co najgorsza, że jak tylko rymami gadać zacząłeś, nie mogłeś się już obejść bez bab. Ty bo jesteś Boniu jak ów książe, zdaje się westfalski, który po niemiecku jeden tylko umiał wypowiedziéć frazes: „*Kein Vergnügen ohne Damen.*“ Słowa nie możesz wyrzec, żebyś nie przyplątał kobiéty. Dzielni synowie potrzebni są krajowi. Ale po co te córy? Nie ma nic szkodliwszego jak baby i — co zatém idzie — kochanie. Czasy najbardziéj rozwiniętéj czułostkowości miłosnéj, czasy Abelarda i Heloizy, czasy kultu dam przez rycerzy, czasy minestrelów i sądów miłości, to zarazem wieki największego obskurantyzmu, wieki zacofania społecznego. I nic dziwnego. Czy może człowiek chory pracować tak, jak zdrowy? Czy może obłąkany myśléć jasno? A taki facet, którego rozbierze gorączka, sentymentem zwana, to chory i obłąkany. Powiadam ci więc Boniu nie szerz epidemii, nie zawracaj nas do wieków średnich. My i tak dotychczas jeszcze jesteśmy społeczeństwem średniowieczném. Wszystkie narody cywilizowane przeszły już przez fazę rozwoju stanu trzeciego. My tego stanu dotąd nie mamy. Nie mamy burżuazyi własnéj, rodziméj. A burżuazya, łącząc się w wyższych swych warstwach ze szlachtą, a w niższych z włościaństwem, jest tym naturalnym cementem, który spaja społeczeństwa rozdwojone na dwa odłamy uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych w jednolitą całość. Może na zachodzie epoka panowania burżuazyi mija, ale my stadyum rozwoju i nawet przewagi tego stanu przejść musimy, jeżeli chcemy stać się społeczeństwem, nowożytném. Tymczasem my, zamiast burżuazyi własnéj, mamy między szlachtą a chłopstwem obcy klin—Żydów i Niemców. Wtém leży anormalność ustroju naszego społeczeństwa. Musimy więc wszystkie nasze starania zwrócić ku wytworzeniu z pomiędzy nas samych — ze szlachty z jednéj, a z włościaństwa z drugiéj strony — stanu trzeciego, mieszczańskiego. Rzućmy więc zabawki średniowieczne: turnieje rycerskie, kult dam serca, poezyę, a weźmy się do pracy: do przemysłu, do handlu, do rzemiosł. Starajmy się rozwinąć odpowiednie wykształcenie i upodobanie do tych zajęć

nie tylko wśród nas samych, ale i między włościaństwem... W tém znajdziemy, naszą siłę, naszą przyszłość.

Broniąc się od zarzutów Adasia, Bonio zrobił mu uwagę że bez cór nie byłoby wnuków, a więc wyginęlibyśmy w drugiém pokoleniu. Potém rozmowa przeszła na ton żartobliwy. I znów na serdeczny, smutny. W końcu pomimo protestów Adasia, prosiliśmy Bonia, żeby nam powtórzył swój toast. Najzabawniejszém było, że Adaś mrucząc, gderząc, jednak razem z innymi zapisywał sobie ten wiersz na pamiątkę naszego zebrania pożegnalnego.

. . . .

I rozeszliśmy się w świat. Stosownie do programu, w liczbie garstki innych z naszego grona, Bohdan i ja zamieszkaliśmy w Niemczech, wyszukawszy tam sobie odpowiednie zajęcia.

Losy naszéj garstki wędrownéj po większéj części innemi były niż sobie planowaliśmy z góry. Jedni wrócili bardzo prędko, po kilku miesiącach do kraju. Inni osiedli w Niemczech na zawsze; pożenili się tam z niemkami; dzieci ich mówią tylko po niemiecku. Bohdan rok w Niemczech przesiedział. Potém pojechał na wschód, potém włóczył się po różnych krajach i dopiero po latach siedmiu wrócił do kraju. Ja nie ruszałem się z Niemiec, ale także powróciłem do kraju znacznie późniéj, niż zamierzałem. Wiele się na to przyczyn złożyło. Zjechaliśmy się z Boniem prawie jednocześnie. Po powrocie w Poznańskie, staraliśmy się, oprócz swoich zajęć fachowych pracować na polu publiczném. Bohdan się zrzucił z zapałem do dziennikarstwa. Ja znów bywałem na posiedzeniach kółek rolniczych, na wiecach, zebraniach wyborczych..... Ale dziś, gdy zastanawiam się nad rezultatami téj mojéj niby działalności społecznéj, przestrasza mię jéj bezpłodność. Tak mało zrobiłem. Właściwie nic zupełnie. Ogarnia mię coraz częściéj zniechęcenie, apatya. Zazdroszczę Adasiowi, który z taką pogodą i wytrwałością pracuje, odpowiednio do swego programu, w zawodzie handlowym. Firma jego, przez Niemców nawet poważana, daje pracę i utrzymanie kilkunastu rodzinom. Tylko sprzeniewierzył się swoim teoryom o szkodliwości kochania,—ożenił się.

Śliczna to para. Jak im dobrze widocznie z sobą. Szczęśliwi! A jakie mają miłe dzieciaki!—Co to musi być za rozkosz mieć dzieci,—widzieć w nich przedłużenie swego istnienia. Razem z podobieństwem fizyczném biorą dzieci w spadku po nas i podobieństwo duchowe. A drogą obcowania z niemi wszczepiamy w ich serca kochania nasze, nasze nadzieje i smutki nasze i nasze radości.

Oh tych radości tak mało w życiu!— A jednak to byłaby prawdziwa i wielka radość żeby tak w swoim domu, koło siebie mieć „jedno serce i rąk białych dwoje",—żeby to serce biło zgodnie

z mojém, a ręce otaczały szyję, a para cząt kochających patrzyła w oczy moje tak jasno, tak serdecznie.... I w dzieciach naszych uwiecznilibyśmy ten nasz związek dusz i ciał.

Bo dzieci, to prawdziwa, widoma nieśmiertelność nasza. I przytém jaka szczególna, jaka roskoszna nieśmiertelność! W każdém dziecku jestem ja, ale razem ze mną jest i ukochana moja. Nasza krew i nasz duch pomieszane, połączone razem.

I tak już zostanie we wszystkich następnych pokoleniach; w każdém z nich będzie cząsteczka tego wspólnego mojego i mojéj wybranéj jestestwa...

Zkąd mi się bierze ten sentymentalizm To wcale zabawnie i powiédzmy po prostu: głupio rozczulać się na myśl o jakiéjś nieznanéj kobiecie i o oczach, których nigdy nie widziałem. I dla czego właśnie dziś?....

. . . .

— Budzę pana, panie Włodzimierzu! Cóż to nie tańczysz dziś pan wcale. Chociaż się zajmujesz różnemi, ciężko - poważnemi sprawami i bywasz czasem zamyślony jak rabin, ale przecie widziałam pana nieraz bawiącego się ochoczo. A tu oto w moim domu stoisz od godziny, jakiś dziwny taki, zapatrzony, roztargniony? Cóż to jest panu Włodziowi?

— Mnie? Ależ nic zupełnie... Jestem taki jak zwykle. Widzę tu w salonie wiele nowych twarzy. Nie mogę się oswoić, zoryentować. Pani wié, jak mi to trudno przychodzi. Ale za to jak się rozruszam, to tańczę nieraz jak najęty i gadam jak nakręcona katarynka. Proszę mi powiedziéć kto jest ta młoda panienka?... w takiéj niby zielonawéj sukience...

— *Vert de Nil*? Takich sukienek jest kilka na dzisiejszym wieczorze.

— Ależ ta na prawo, z takiemi dziwnemi, ciemnemi, pełnemi ognia oczyma... Niby spokojne i patrzące jasno, a tak przykuwające do siebie. Możnaby uwierzyć w *jettaturę*. Jabym się bał takich głębokich, a przenikliwych oczu...

— Więc to na te oczy patrzysz pan godzinę całą nieruchomy, zamagnetyzmowany, jakby wąż przez czarodzieja indyjskiego. No, no! Pojdę poprosić Halę, żeby zechciała zdjąć rzucony urok, przynajmniéj na czas mazura, którego tańczę z panem.

— Nie, nie!..

— Jakto nie! Przecież pamiętam, że tańczymy z sobą mazura. Na dowód patrz pan: jesteś zapisany w karnecie. I teraz się pan wycofujesz... Kwita z naszéj przyjaźni. I nie dość tego... Idę zaraz do Adasia i opowiem mu, jakiego ma czułego w panu przyjaciela. On

pana adoruje, jakby co dobrego, a pan jego żonie impertynencye wyrządzasz w jéj własnym domu...

— Ależ pani Madziu! Nie zrozumiała mię pani. Moje „*nie*“ oznaczało prośbę o zaniechanie żartów ze mnie wobec panny Haliny... przepraszam, jak nazwisko?

— Masz tobie! Ciągle ta Hala pochłania pańską uwagę. Nazywa się *ówna. Wszak ojca jéj pan znasz; spotykaliście się nieraz na zebraniach męskich u Adasia. Matka, choć młoda jeszcze kobieta, od paru lat mało się pokazywała, ale téj zimy córka wchodzi w świat. A wié pan, jabym się prędzéj kochała w matce, niż w córce. Proszę popatrzyć na tę oto piękną kobietę, blondynkę... Nie przypuszczałbyś pan, że może już miéć dorosłą córkę. Przypatrz się pan i jéj oczom. Nie mniéj piękne od oczu córki, ale w innym rodzaju. Mniéj ogniste, a więcéj zamyślone i smutne. Kiedy widzę te oczy, płakać mi się chce, ale płakać jakiemiś dobremi, cichemi łzami, po których lekko się robi na duszy. Raz, pamiętam, prosiłam panią *, żeby mi pozwoliła ucałować swoje oczy. Pozwoliła. Ona taka dobra. I potém rozpłakałam się, jak małe dziecko, tuląc się do jéj piersi. Byłam wówczas trochę niezdrowa... Proszę jednak nie myśléć, że chcę panu popsuć gust do panny Haliny. Przeciwnie, przyznaję, że Hala jest małym fenomenem. Złote serduszko a przytém główka! Ho, ho! Salomon niewieści *en germe.*

— Prawda, że jest bardzo inteligentna?! To widać z jéj rozumnego, nieco badawczego spojrzenia.

— Powiadam panu,—że ma rozumek niezwykły. Dobry masz gust panie Włodzimierzu!

— Wymawia pani te słowa z takim szczególnym jakimś akcentem; tymczasem...

— No, no! nie wypieraj się pan. *Qui s'excuse, s'accuse.* Cóżby w tém było dziwnego? Jedno tylko... że Hala jest trochę dla pana za młoda. Gdyby to jeszcze była dziewczyna uboga, nie mająca wyboru, ale ona, bogata *heritierka*..... Więc tańczymy z sobą mazura!?

I z temi słowami pobiegła młoda gospodyni domu, a zarazem, podług uznania wszystkich panów i nawet niektórych pań, królowa balu, do innych gości.

Mój Boże, jak te kobiety dziwnie mają urządzone głowy i serca. Naprzykład piękna pani Madzia. I sprytna przecie i dobra, a uważa za naturalne, że dziewczyna uboga nie ma prawa radzić się swego uczucia w wyborze męża. Tylko bogate mają ten przywiléj! Powiada Adasiowa, że ja jéj jakoby chciałem zrobić impertynencyę, a ona mnie to miłe rzeczy opowiada... że za mnie wyszłaby tylko taka, która nie ma wyboru... Powinienem się był z nią za to wykłócić. Chciała się ona skarżyć na mnie Adasiowi, teraz ja mu

opowiem, jakie mnie awanie w jego domu spotykają. Ale o co właściwie ja mam pretensyę? Przecież to prawda, że różnica wieku między mną a panną Haliną zbyt znaczna. I dla czego wypowiedzenie tego było mi przykrém? Tak dalece przykrém, żem bez dobréj racyi chciał znaleść jakąś przewrotność w główce i sercu pani Madzi. Przecież ona nie mówiła: jak być powinno, lecz tylko konstatowała fakt, jaki jest w rzeczywistości, że panny ubogie mniéj miewają konkurentów niż bogate. Więc panna Halina jest bogata. W gruncie rzeczy to mi wszystko jedno. Ani z jéj ubóstwa, ani z bogactwa mnie nic nie przybędzie i nie ubędzie. Gdyby jednak była ubogą, możeby wówczas łatwiéj... Cóż za myśl egoistyczna! A jéj szczęście! Czyż może być szczęśliwą ta, która wychodzi tylko dla tego, że „nie ma innego wyboru“. A czy może znów być straszniejsza tortura dla człowieka z sercem, ba nawet po prostu z poczuciem uczciwości, jak widziéć, że się nie dało szczęścia téj, o któréj szczęściu myśléć jest zarazem obowiązkiem i roskoszą męża..... Ale za to, jeżeli się małżeństwo dobierze, jaką przyjemność obojgu sprawia dogadzanie sobie wzajemne. Adaś, kiedy patrzy na swoją żonę, to mu się twarz uśmiechem rozjaśnia, oczy inaczéj błyszczą. Dla jéj przyjemności on stał się człowiekiem światowym. A ona znów!... Chociaż zajęta balem, choć otoczona hołdami, które sprawiają jéj, zdaje się, nawet nieco przyjemności, zawsze jednak zwraca od czasu do czasu główkę w stronę Adasia a wzrok jéj, taki serdeczny, gdy go zobaczy. Pamiętam jéj jedną odpowiedź. „Jakaś baba, jak to bywa, trochę głupia, a złośliwa“ (w bajce tekst trochę inny) zwróciła z wiele mówiącym uśmiechem uwagę pani Madzi, że częste asystowanie jéj jakiegoś *pschutt'a* jest dla niéj niebezpieczne. „Gdyby ten pan był moim mężem i gdyby Adaś mi tak asystował, to rzeczywiście mogłoby być niebezpieczném“, odrzekła pani Madzia. Czy nie pyszna odpowiedź!? A tém pyszniejsza, że wypowiedziana wprost z serca. I dla tego właśnie tak pamiętam tę odpowiedź i wolę ją od setek robionych „*bons mots*“. Patrząc na Adasiostwo, można doprawdy nabrać ochoty do małżeństwa.

Gdzie jest panna Halina? A!—przesiadła się na inne miejsce. Jakim sposobem taki dzieciuch może miéć podobnie mądre oczy? Ciekawy byłbym dowiedziéć się, jakie wrażenia te oczy do główki znoszą. Musi być panna Halina surową w sądzie.—Oho! Adasiowa podchodzi do niéj. Rozmawiają,—śmieją się,—spoglądają na mnie. Z pewnością moja przyjaciółka, bo piękna królowa balu głosi wszem wobec i każdemu z osobna, że jest „wielką“ moją „przyjaciółką“,—otóż przyjaciółka z pewnością zdradziła moją tajemnicę. To jest, właściwie, nie zdradziła, ale wymyśliła bajkę. I teraz się obiedwie ze mnie wyśmiéwają. To nie do zniesienia. Znowu pan-

na Halina spogląda na mnie i śmieje się impertynencko. Te panny, jeżeli która trochę ładniejsza, a jeszcze broń Boże posażna, to już jéj się zdaje, że byle rzuciła zabójcze spojrzenie a co mężczyzna to trup, i co nie żonaty, to pretendent do ręki... No i do posagu oczywiście, boć przecie im kładą ciągle w uszy historye o łapczywości mężczyzn na ich posagi. Ciekawy jestem, kto robi dobry interes pieniężny na żeniaczce. Chyba skończony niedołęga, żebrak, pański dziad, który nie ma co do ust włożyć, a pracować nie chce. Ale człowiek, co umié i chce pracować, nie robi żadnego interesu. Przypuśćmy, że dochód z majątku żony przenosi dwa, lub trzy razy jego dochód osobisty. No to wydatki domu familijnego przenoszą w czwórnasób wydatki pojedyńczego mężczyzny, przy jednakowéj w obu wypadkach skali życia, tak że on na siebie osobiście nie więcéj, ale raczéj mniéj wydawać będzie po ożenieniu. Skoro więc już używają, mówiąc o małżeństwie, wyrazu „interes", to jest to doskonały interes moralny, duchowy, ale pod względem pieniężnym małżeństwo zawsze jest „*kein Geschäft*". Gdyby jednak małżeństwo zwiększyło nawet w jakim rzadkim, poszczególnym wypadku ilość pieniędzy do rozporządzenia osobistego małżonka pozostałych i jeżeliby nawet, cyfrowo biorąc, ten mąż dobry zrobił interes, to czyż ilość możliwych do nabycia za pieniądze przyjemności da się porównać z sumą przykrości. Czyż parę pokoi więcéj w mieszkaniu, albo powóz i konie, a wreszcie choćby i pałace Alhambry, i stajnie lorda angielskiego, i własny yacht spacerowy na Atlantyku, choćby wreszcie przepych i zbytek z „Tysiąca i ednéj nocy", cóż może opłacić przykrość oglądania koło siebie jakiegoś wstrętnego stworzenia. A żona jest z konieczności tak mężowi blizka, że jeśli nie jest bardzo miłą i pożądaną, to się robi nieznośną i wstrętną. Pożycia z takiém stworzeniem nie opłacą skarby Golkondy. Rozumiem zupełnie, że człowiek wrażliwy w tém położeniu może dojść do wpakowania sobie kuli w łeb, albo skończyć na szpitalu waryatów. Jeżeli jednak ani do samobójstwa ani do szaleństwa, to musi doprowadzić podobne pożycie do rozwiązania: „pani idzie na prawo, to ja na lewo; pani na lewo, to ja na prawo". Żeby dojść do takiego rezultatu, to się przecież żenić nie warto. A one myślą, że ich posag daje im prawo do zarozumiałości. I jaka głupia, jaka upokarzająca dla nich samych zarozumiałość. Jak one tą właśnie zarozumiałością z posagu dają sobie świadectwo, że same osobiście nic nie warte. Nietylko jednak posażne, ale i wogóle nasze panny są zarozumiałe. A z czego niewiadomo. W głowie pustki, w sercu pustki! Te mądre niby i czułe oczy, to szyld fałszywy. Nie dawno czytałem studyum fizyologiczne o oczach. Pokazuje się, że oczy nie mogą

mieć żadnego wyrazu. To tylko złudzenie, wywołane przez grę muskułów twarzy. Zresztą, czyż aktorki nie umieją nadawać swym oczom dowolnego wyrazu. A kobiety w salonie są bardziéj jeszcze aktorkami, niż te ze sceny.

Nie, to nieznośne; one się znowu śmieją. I po co ja tu właściwie jestem na balu. Czy nie lepiéj by mi stokroć było siedziéć w swojém mieszkaniu, w fotelu i czytać jaką ciekawą książkę. Tu hałas, gorąco! Nie, nie wytrzymam, wrócę do domu. Ale prawda,— a mazur z Adasiową!... Przy mazurze będę miał zręczność zapytania co mówiła o mnie z panną Haliną.....

Nie, właśnie że ani słówkiem o to nie zapytam. Mogłoby się jéj wydać, że mię panna Halina na prawdę bardzo obchodzi. I co najgorsza, znowu by jéj co nagadała. Właśnie będę rozmowny, wesoły, ale o pannie Halinie ani słowa. Lecz skoro mam zostać do mazura, to nie można przecież miéć na balu miny upiora z innego świata. Trzeba przetańczyć... Z kimby?... Byle nie z panną Haliną... Z nią wcale tańczyć nie będę... Ani tańczyć, ani rozmawiać. Nie zbliżę się do niéj!

. . . .

— No, no! Hulasz, widzę, Włodziu, jak za studenckich czasów, kiedyś nam przewodził w tańcach i urządzał jakieś niesłychane drabanty, przepiórki, *quadrilles monstres*...

— Uważasz, że mi ze względu na wiek nie wypada już tańczyć?...

— Przedewszystkiém, nie rób się kokietką, która mówi, że jest starą, wiedząc, że to nie prawda i że jéj zaprzeczą. Powtóre, niewypada kraść, rozbijać... ale tańczyć... Skoro ochota dopisuje!... Przecież król Dawid tańczył. Potrzecie jako gospodarz domu mogę się tylko cieszyć, że się moi goście bawią, więc nie mógłbym robić im o to wymówek. No czy jesteś przekonany, żeś powiedział głupstwo? Jesteś?! To szczęśliwie. Niech cię to jednak zbytecznie nie wzrusza. Rzecz wiadoma, że najstraszniejsze głupstwa wypowiadają tak zwane geniusze. Jesteś więc w dobrém towarzystwie. A teraz, kiedyś już tyle narobił przyjemności damom, sprawże przyjemność i mnie... Chodź wypić ze mną kieliszek wina. Powiadam ci, że jedno ładne oczko na starym tokaju więcéj warte, jak oczy wszystkich pięknych kobiet razem wziętych.

— Gadaj zdrów. W uniwersytecie mogłeś nas brać na swój wstręt do kobiét i do miłości. Ale dziś już nie ma głupich. Nikt w twoje zrzędzenie nie uwierzy.... Dobry sobie.... Ma najpiękniejszą kobiétę za żonę, patrzy na nią takiemi oczami, jak na przenaj-

świętszy sakrament, a w nas chce wmówić, że nie wié co to miłość do niewiasty....

— Przedewszystkiém, żona, to nie kobiéta....

— Nie kobiéta? więc, cóż to jest?

— A, no! ż o n a.... moja towarzyszka życia, lecz nie jakiś przedmiot romansowych zapałów.

— W każdym razie nimeś się z nią ożenił, to już się w niéj kochałeś.

— Wcale nie.... Może ci się to dziwném wyda, ale wierz mi, że ja moją żonę pokochałem dopiéro po ślubie. I to wcale nie w tych, tak nazwanych miodowych miesiącach. To szkaradne miesiące. Czuje się w domu jakieś obce duszą i myślami stworzenie, z którém tylko chwilami łączymy się w przystępie namiętności, a potém nie mamy nic z sobą wspólnego. Dopiéro kiedy się ta para zżyje z sobą, pozna wszystkie tajniki swoich myśli, kiedy się może porozumiewać oczami tylko, bez słów; kiedy ma wspólne dążenia, pragnienia, interesa, upodobania, wówczas dopiéro pożycie małżeńskie daje szczęście. Dziś—wyznaję ci szczerze—nie rozumiałbym życia bez mojéj żony.

— Ale jakże przyszło do tego, żeś się z nią ożenił?

— Jak przyszło? A no doszedłem w końcu mego kawalerskiego życia do takiéj apatyi, do takiego zniechęcenia do życia, że chwilami bałem się po prostu o swój rozsądek. Nie mogłem długo zrozumieć, czego mi brakuje. Wreszcie poczułem, że życie człowieka bez rodziny nie jest życiem kompletném, że to tylko cień życia, komedya, lub tragedya, ale zawsze przedstawienie na scenie. Deski zaś teatralne istnienia całego wypełnić nie mogą. Potrzebne jest *a home*. W czasie, gdym przyszedł do tego przekonania, spotkałem dzisiejszą moją żonę. Widziałem, że jest dobra, inteligentna, ładna.... Oświadczyłem się; przyjęła mię i... jak widzisz, jest nam wcale dobrze w naszém gniazdku.

— Widzę, widzę i zazdroszczę ci nieraz.

— Nie masz czego zazdrościć. Możesz zrobić to samo co ja.

— Nie tak to łatwo, mój Adasiu....

— Ja wiem, co ci przeszkadza. Ciągle ten stary romantyzm w tobie siedzi. Ożenić się przecież mogłeś nieraz. Spotykałeś dziewczęta wcale miłe. Uważałem, że z niektóremi z nich łączyła cię nić sympatyi wzajemnéj. Była to oczywiście tylko sympatya towarzyska, ale podobna sympatya jest podstawą do rozwinięcia się w następstwie takiego uczucia, jakie widzisz między mną a moją żoną. Jestem pewien, że niejedna z tych panien, gdybyś byłześrodkował na niéj jednéj swoje pragnienia, swoje starania, zostałaby chętnie

twoją, a dziś byłaby żoną kochającą na życie i śmierć. Bo ciebie można bardzo pokochać.... Nie dziękuj, jakby za komplement.... Mówię, co myślę, a przecież zaślepiony w tobie nie jestem. Względy materyalne także nie stają ci na przeszkodzie. Utrzymać żonę z umiarkowanemi wymaganiami jesteś w stanie z tego, co masz i zarabiasz. Zresztą wiem o tém doskonale, że gdybyś chciał żony posażnéj, nawet bogatéj, to i taką mogłeś dostać. Wspominałem ci przecie, jakie mi robiono co do ciebie propozycye. Miałeś specyalne szczęście do świata giełdowego. Mówiąc nawiasem, powinno ci to pochlebiać, bo giełda unika wartości wątpliwych. Masz więc widocznie jakąś realną, handlową wartość, skoro się tak dobijano o ciebie, jako zięcia.... Nie przerywaj mi. Wiem, że nie byłbyś w stanie sprzedać się. Nawet nie radziłbym ci nigdy tak zwanego małżeństwa z rozsądku tylko. W małżeństwie zupełnie obojętném, choć przyzwoitém, w takiém, w którém kto inny mógłby się czuć wcale dobrze, ty ze swoją wrażliwością zatrułbyś życie sobie i żonie. Trzeba, żebyś miał pewien pociąg do swojéj przyszłéj i żeby nawzajem ona czuła pewną skłonność do ciebie, ale nie szukaj jakichś nadzwyczajnych miłości.... I nie szukaj ideałów, bóstw. Takich nie ma zupełnie w rzeczywistości. Są one wytworem wyobraźni mniéj lub więcéj świadomych kłamców, artystów. Szukaj poczciwéj a miłéj żony i wierz mi, że życie rodzinne da ci takie radości rzeczywiste, które twoje gorączkowe tęsknoty uspokoją, dadzą ci humor pogodny, powiększą zdolność do pracy i całe życie osłodzą.

— Mój Adasiu, gdybym był młodszy.....

— At głustwa bajesz. Jesteś w sile wieku, pochodzisz z rodu, odznaczającego się długowiecznością i zdrowiem, nadużyć żadnych nie robiłeś.... Że ci tam moja żona dziś powiedziała coś nie do rzeczy, o wieku panny Haliny i twoim, to na to nie zważaj, bo przez nią egoizm i zazdrość przemawia. Ona w gruncie nie radaby, żebyś się ożenił. Powiada, że przestałbyś przychodzić do nas we wtorki. Nieraz mówiła: „bardzo by to zapewne było dobrze, żeby się pan Włodzio ożenił, ale cóż, kiedy wówczas ja może stracę miłego gościa; jeżeli się jeszcze ożeni podług mojego gustu, no, to będziemy mogły żyć z jego żoną w przyjaźni i będziemy u siebie często bywać, ale jeżeli nie, to się cała przyjaźń rozerwie nie tylko z żoną, ale i z nim.“

— Zkądże ty wiesz, że twoja żona miała dziś ze mną jakąś rozmowę o moim wieku?

— Żona mi przecie zawsze wszystko mówi. Przed pół-godziną opowiedziała mi, że nie chciałeś z nią tańczyć mazura, żeś

był zapatrzony na pannę Halinę i powtórzyła całą rozmowę z tobą. *A propos* mojéj żony, uważałeś téż jaką ma dziś suknię? Czy ci się podoba?

— Ładna suknia. Ale co tam suknia. Ta co ją nosi, twoja żonusia, jest dziś prześliczna; prawda, że ja nie pamiętam wypadku, żeby pani Madzia nie była prześliczną. W moich oczach to jedna z najpiękniejszych i najmilszych kobiét, jaką znam.—*Le nom oblige*. Tylko że twoja Magdalena nie ma za co pokutować. Chyba za pokusy, na jakie bezwiednie ludzi wystawia.....

— Uważam ja, uważam oddawna, że oboje zanadto coś w sobie się kochacie.... Jeżeli ci dotąd nie przysłałem sekundantów, to tylko przez zapomnienie. Ale poczekaj, zawiążę sobie supełek. Albo jeszcze lepiéj, weź sobie kiedy sam z mojego biurka mój bilet wizytowy i uważaj się za wyzwanego. Nim jednak staniemy na placu boju, dokończ swój kieliszek, bo chcę ci nalać drugi.... No, za zdrowie panny Haliny.... na cześć jéj oczu!... Ale, ale. Nie wiesz téż co się dzieje z Bohdanem. Miał być dziś u mnie, a dotąd go nie widzę. Prawda, że to na niego jeszcze zawcześnie. Dopiéro pierwsza po północy. Pewno go zatrzymała jaka kobiéta.... Albo się zaczytał. Bo on czyta tak, jak pijak nałogowy pije, do niepamięci... Ten to się już pewno nie ożeni. Poezya stanie mu za żonę, a wymarzone ideały za szczęście rzeczywiste. Skoro mu tak dobrze, wesoło.... Choć wiesz co Włodziu. Ta wesołość Bohdana wydaje mi się czasem udaną. Nieraz przypuszczam, że to maska, za którą kryje się jakaś rana serdeczna, jakiś smutek głęboki! Oho! pobudka do mazura. Mój Włodeczku drogi, bądź łaskaw uważać na żonę, żeby nie piła bardzo zimnego i żeby po przetańczeniu swojéj kolei unikała wybierania jéj do figur. Zbyteczne zmęczenie jéj szkodzi.

. . . .

— Podziękuj że mi pan ładnie, bo już skończyliśmy mazura. A i ja dziękuję bardzo za kilka chwil wesołych i prawdziwie przyjemnych. Już to trzeba przyznać, że jeżeli pan miewasz chwile *d'une humeur vraiment sauvage*, to za to *dans vos bons quarts d'heure* umiesz pan wynagrodzić to szczodrze. *Je vous savais toujours charmant causeur*, *mais aujourd'hui vous vous êtes surpassé*. Ah prawda! wtrącam zdania francuskie. Będziesz pan znów na mnie gdérać. To winno *Sacré-coeur*. Adaś na mnie także za to gdérze. Ale czasem i ja go łapię na francuszczyźnie, no i tryumfuję téż wówczas, tryumfuję.... I pana kiedy złapię. Bo to trudno się pozbyć.... Wychowanie, przyzwyczajenie!... Możesz pan ucałować nawet obie moje ręce. Zdejmuję rękawiczki, bo już idziemy do kolacyi. Szkoda, że, jako gospodyni, nie mogę daléj korzystać z pańskiego towarzystwa.

Mais vous savez, pani domu podczas kolacyi, to jak wódz na placu bitwy; musi wszystko widziéć, na wszystko uważać. To téż u siebie w domu do stołu dobieram sobie towarzystwo co najnudniejszéj szkatuły. Wybawiam jakąś nieszczęśliwą ofiarę, a sama nic nie tracę, bo i tak, cokolwiek mi mój sąsiad mówi, nie słucham.

— Dziękuję za otwartość. Na wtorkowych obiadach u państwa siaduję najczęściéj koło pani.

— Nie łap mię pan za słowa. Mówię o licznéin towarzystwie ceremonialném, ale nie o naszém kółeczku wybranych. To téż — *entre nous* — nie przepadam za temi wielkiemi balami, zwłaszcza u siebie. Nie masz pan pojęcia co to za *remue-menage*, jaki kłopot dla gospodyni. Ale Adasiowi się zdawało, że właśnie bal u mnie ogromną mi zrobi przyjemność, więc chciał mi dogodzić. Nie miałam serca rozczarowywać go. Niech i pan mię nie zdradzi. Zresztą bywam na balach u innych, a u siebie dotąd dawałam tylko małe herbatki, obiady. Już mi nawet przymawiały panie. Trzeba więc było urządzić *un grand scandale*. Jaką miałam tremę! Nie uwierzy pan! Ale teraz już jestem zadowolniona. *Il me semble que mon monde s'amuse*. Oho! *Votre flamme*, panna Halina idzie do kolacyi z Ludwiczkiem. No nie marszcz pan czoła. *Ça ne tire à aucune consequence*. To jeszcze dzieci oboje. Ale jak ten Ludwiczek wybornie tańczy walca *à trois pas*. Najprzyjemniejszy taniec. Kiedy tańczę walca z dobrym tancerzem, *je sens quelque chose qui me prend, qui me prend*.... Nie umiałabym tego nazwać.... Zamykam wówczas oczy i zdaje mi się, że to mój Adaś jest przy mnie.... A ten niegodziwy Adaś nie chce nigdy tańczyć. Nieraz go prosiłam chociaż o jeden *tour*. Powiada, że jest niezgrabny i że porozrywał by mi suknię. *Addio!* Szukaj pan damy do kolacyi. Nie jesteś przecie gospodarzem, więc możesz wybrać co najmilszą. Tylko śpiesz się panie Włodziu, żeby nie zostać na koszu....

Przechodzą pary za parami. Śmieją się; wesoło im. Męczy mię ten gwar. Ucieknę do domu. Adasiostwo mi wybaczą. Korzystam z odpowiedniéj chwili i wymykam się do przedpokoju. Gdzie mój paltot? Wszyscy służący zajęci obnoszeniem półmisków. Jeszcze mię spostrzeże Adaś, albo Adasiowa, i zawróci do kolacyi. Nareszcie.... Prześliczny czas. Przy lekkim przymrozku tak dobrze się oddycha. Więc walc tak dziwnie upaja kobiéty.... A ten Ludwiczek niezliczoną ilość razy tańczył z panną Haliną. I teraz siedzą razem przy kolacyi. O czém ona może z nim rozmawiać?... Przecież Ludwiczek głupi jest kapitalnie... Cóż mię rozmowa ich obchodzić może.... Szczęśliwy ten Adaś.... Pocieszny ze swojém napadaniem na miłość.... A codzień więcéj w swojéj żonie zakochany. Jest

wyrzeczenie o gwoździu w głowie; otóż on ma taki gwóźdź w sercu. To jest właściwie nie gwóźdź, ale śrubkę, która powoli, ale ciągle wśrubowuje się coraz głębiéj i siedzi tak mocno, że jéj wyrwać już nie można. Ale wcale nie bolesna ta szrubka. Owszem—daje mu tę szczęśliwą, cichą wesołość, tę pogodę duszy, któréj mu zawsze zazdroszczę. No już jestem w domu.

. . . .

Czy to rzeczywiście byłoby tak niestosowne co do wieku małżeństwo? Nie dla tego, żeby ta kwestya obchodziła mię osobiście, ale rozstrząśnijmy rzecz teoretycznie, po akademicku. Za normalną różnicę wieku między mężem a żoną uważają 10 lat. No, a 12-cie lub 15-cie, to już ma czynić małżeństwo niestosownem? A chociażby i 18-cie. Przecież X-owie są bardzo dobraném i szczęśliwém małżeństwem, chociaż ona jest młodsza od niego o lat przeszło 20-cia.... Tak, ale wyjątki nie obalają prawidła. Zwykle takie małżeństwa są nieszczęśliwe. Niekoniecznie jednak małżeństwo bywa nieszczęśliwém z powodu znacznéj różnicy wieku. Y-owa jest tylko o 5—6 lat młodsza od swego małżonka, a nie cierpi go z całego serca. Dziadowie znów nasi zwykle się żenili przy znacznie większéj różnicy lat. Mąż miewał przeszło czterdziestkę, a żona lat 15, 16-cie. I było dobrze: dochowywali się tuzina dzieci, kochali się szczerze, żyli szczęśliwie..... Ale dziś inne czasy, inne wychowanie kobiét. Dziś żona nie jest już tém biernem stworzeniem, które mąż całe życie jak dziecko traktuje. Dziś żona zaczyna być towarzyszką życia, stojącą umysłowo, moralnie na równi z mężem. Przynajmniéj tak być powinno. Obie strony starać się powinny żyć wspólném życiem duchowém.... A każdy wiek ma swoje upodobania. Trudno dziecku, co jeszcze dwudziestu lat nie dobiegło, miéć wspólne gusta z człowiekiem trzydziestokilkoletnim. Nie, lepiéj nie miéć jéj nigdy, jak widziéć ją potém nieszczęśliwą.... Zkąd jednak ja przychodzę do rozstrząsania stosowności, lub niestosowności wieku panny Haliny i mojego? To nie ma sensu!... Wezmę jaką książkę, bo mi się spać jakoś nie chce.

. . . .

Głęboko i gorąco pisany ten „Dewajtis.“ Miłość do ziemi jak dobrze odczuta i przedstawiona. To samo przywiązanie do ziemi obrobione jest przez Zolę w „*La Terre.*“ Ale u francuskiego pisarza prowadzi ono do zbydlęcenia i zbrodni, u naszéj zaś autorki do uszlachetnienia i ofiary. Bo Rodziewiczówna po nad instynktem postawiła myśl przewodnią, szlachetną,—nad egoizmem indywidualnym zadanie społeczne. To téż, podziwiając pełen plastyczności w obrazowaniu talent francuskiego „naturalisty“, ciążę jednak ser-

cem do podniosłego entuzyazmu naszéj żmudzinki. Ciekawe to jednak byłoby odtworzenie duchowego portretu autora z jego dzieł. O autorze „Ziemi“ istnieje cała literatura biograficzna, ale o Rodziewiczównie nie wiemy prawie nic. Podobno przeniosła się ze Żmudzi gdzieś na błota poleskie i gospodaruje tam w swoim majątku. Wyobrażam ją sobie trochę „zamerykanizowaną“, dość dbałą o *business*, mającą nieco upodobań męskich i oryginalności w zachowaniu, pokłóconą lub przynajmniéj nie bardzo sympatyzującą z otoczeniem współobywateli, a nie stroniącą od towarzystwa włościan, oficyalistów, drobnéj szlachty zagonowéj i t. p. Może trafiłem jak kulą w płot. Bądź-co-bądź obiecująca to zdolność.....

Oczy mi się kleją.....

I nagle otwieram je szeroko, dźwiękiem własnego głosu zdumiony. Zkąd mi ta strofa przyszła na pamięć? I co za dziwactwo, żeby deklamować głośno! Tak się sam sobie dziwiąc, powtarzam jednak po raz drugi, bardziéj już świadomie:

„Gdybym był młodszy dziewczyno,
„Gdybym był młodszy!
„Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
„Lecz spojrzeń twoich najsłodszy
„Nektar, dziewczyno!“

* * *

— Jak się masz Włodziu!

— Ah, Bohdan! Dawno cię już nie spotykałem.

— Mnie spotkać nie trudno, ale powiédz mi w jakiéj kreciéj norze ty siedzisz?

— Brak czasu, zajęcia....

— Ładne mi zajęcia. Zawracać głowy kobiétom i dziewczętom. Powiédz mi, co ty im robisz? Dość wspomniéć twoje imię, a zaraz trzy, cztery, pół tuzina, tuzin głosów niewieścich wykrzyknie. Pan Włodzimierz! To mój przyjaciel! Jak ja lubię pana Włodzimierza! Ah z nim tak się przyjemnie rozmawia!... i tak daléj, i tak daléj. Cała litania. Pamiętasz, jakeś gromy razem z innymi kolegami miotał na kobiéty. No, ty zawsze mniéj niż Adaś. On bo i do dziś wygaduje po swojemu na „romantyzm“, za znak widomy którego uważa uwielbienie dla kobiéty i poezyi. — Co do ciebie.... Wiész co?! Mam przeczucie, że ty i poezyę kochasz, tylko tak.... pocichu, pokryjomu, żeby oko ludzkie nie widziało i ucho nie słyszało. No przyznaj się Włodziu!

— Nie mam się czego wypierać. Nad doktryneryzmem studenckim wziął górę sąd człowieka dojrzałego, który dość dużo widział,

a trochę i sam przeżył.... A może po prostu tryumfuje wpływ atawizmu, usposobienie wrodzone. Może nakoniec wychodzą na jaw wrażenia, któremiśmy nasiąkli w dzieciństwie. Przecież my dopiéro w uniwersytecie zaczęliśmy odczuwać powiew tak zwanego pozytywizmu. A dopókiśmy byli w domu i w szkole, poezya była ciągłą ducha naszego karmicielką. Kto mógł tylko i umiał, probował pisać wiersze do rzeczywistéj lub wymarzonéj bohdanki. A komu się to nie udawało, ten przynajmniéj zaczytywał się w poezyi, uczył się na pamięć, przepisywał, a zawsze przytém wzdychał do ideału niewieściego. Cóż dziwnego, że poezya i tęsknota do kobiéty weszła w nasz mózg, w serce, w nerwy i w krew. Przy każdéj zręczności przychodzi jakiś wiersz na pamięć. Jeżeli go nawet nie wypowiemy, to brzmi on wewnątrz nas. Nie wiem zresztą czemu mam to przypisać, dość, że dziś i z poezyą i z kobiétą jestem w zgodzie, a nawet w przyjaźni. Ale téż to p r z y j a ź ń.... i tylko tyle. Związku miłosnego, tego związku na śmierć i życie między nami nie szukaj. Stosunek mój do poezyi, a kobiét do mnie jest mniéj więcéj ten sam. Gdy się widzimy, przyjaźnimy się bardzo, ale po rozstaniu nie wzdychamy po sobie i nie płaczemy. Czasem jakaś para oczu wzbudzi we mnie tęsknotę do miłości bezmiernéj, chociażby ta miała być jadem „co serce pożera“, czasem znów piękny utwór napawa mię żądzą wykrzesania z siebie iskry twórczéj. Dość mi jednak wziąść pióro do ręki, żeby się przekonać, że moje uwielbienie do poezyi powinno nazawsze zostać w granicach platonizmu. Dość się zbliżyć do kobiéty, żeby spostrzedz, że serca jéj zbudzić nie potrafię.... Nieraz dowiaduję się, że ono już zbudzone dla innego. Nie jedna mi to sama wyznała „w przyjaźni.“ Lubimy się więc tylko z kobiétami i z poezyą.... no i więcéj nic!

— Z jaką goryczą ty to mówisz! Gotów jestem cię posądzić, że doznałeś jakiegoś bolesnego zawodu i to niedawno. Czy ze strony poezyi, czy ze strony kobiéty? Jeżeliś układał jaki poemat i zabrakło ci końcówki do karczmy lub cietrzewia, to rada nietrudna; jestem do twoich usług. Ułożymy razem taką wspaniałość, że niczem.... ksiądz Baka i Rozbicki. Ale jeśli serce twe zakrwawiła jaka nieczuła lub niewierna.... No, no! Nie rób srogiéj miny i wyspowiadaj się przedemną.

— Nie mam się z czego spowiadać.... Tylko tak wogóle.... Głupio to życie upływa. Starość nadchodzi.....

— Starość! Mój kochany, kpisz czy o drogę pytasz? Przecieżem ja o dwa lata starszy od ciebie, a nikt mi jeszcze od starych nigdy nie nawymyślał. A ty miałbyś być stary?! Śmiéj się z tego. Najlepiéj pod tym względem posłuchać co mówią kobiéty, o tobie zaś

nie dalej jak wczoraj młodziutka, śliczna a mądra panienka mówiła tak serdecznie, jak się o starych nie mówi. Aż mię zazdrość brała... Tylko mi się widzi, że właśnie te twoje połowiczne sympatye serca. a restrykcye rozsądku są źródłem rozterki ducha i jakiejś goryczy wewnętrznéj. Albo się jest całkowicie romantykiem i wówczas stawia się kobietę na piedestale, ubiera się ją w szatę poezyi, z siebie samego wysnutéj, a w takiéj szacie widzi się w niéj bóstwo, które się czci, podobnie jak poganin ma kult dla fetysza ulepionego, lub wystruganego własnemi rękami; albo się jest zupełnie człowiekiem prozy, a wtedy.... wtedy patrzy się na poezyę jako na ładnie oprawioną, ku ozdobie salonu, książkę, do wnętrza któréj się nie zagląda, na kobietę zaś patrzy się jako na.... zabawkę, lub téż przedmiot użytku. Ale ty czujesz tęsknotę do ideału, zbyt trzeźwy zaś jesteś i zbyt krytyczny, żebyś ten ideał we własnéj stworzył wyobraźni. Chciałbyś znaleść jakąś wielką poezyę, która i serce zapala wulkanicznym płomieniem i zarazem jest konsekwentna, jak dowodzenie matematyczne. Chciałbyś znaleść kobietę - niebiankę, bóstwo doskonałości, godne postawienia po nad wszystko w świecie, godne ukochania miłością nie ziemską, a zarazem chciałbyś, żeby to bóstwo było istotą żyjącą, cielesną i to żyjącą wyłącznie dla ciebie,— pragnąłbyś w niej mieć swoją kochankę, swoją żonę..... Nie, mój Włodziu! Takiéj kochanki ni żony nawet mistyczny Krasiński nie szukał w życiu rzeczywistém. On nawet czuł, że podobnie bezgraniczne uwielbienie do nadziemskiéj tylko czuć można istoty, do Najwyższego Ducha, którego na własność swoją posiąść nie można, od którego się nic nie żąda, przed którym się korzy w ascetycznéj tęsknocie, w esktazie strasznéj, ale i we wdzięczności niezmierzonéj za chwilę widzenia, bo po takiéj chwili jednéj cierpienie życia całego, całéj wieczności jest jeszcze szczęściem!!!.....

Po chwili Bohdan blady ze wzruszenia mówił daléj.

— Gdybyś jednak Włodziu poczuł kiedykolwiek w życiu, że w kobiecie zaczynasz widzieć bóstwo, to lękaj się jéj jak szatana i nie oglądając się, uciekaj od niéj, bo chwila wahania, słabości, a odtąd na całe życie jesteś umarły. Czy ta kobieta będzie najgorszą, czy najlepszą—czy winną będzie, czy niewinną twéj zguby, zawsze to będzie twój upiór, co całą duszę z ciebie wyssie i tylko pozór człowieka,—manekin tylko zostawi. I napróżnobyś—jak w owéj opowiedzianéj przez Heinego legendzie o sztucznym człowieku, któremu mechanik dał wszystko oprócz duszy—biegł za tą kobietą i wołał: „oddaj mi duszę, oddaj mi duszę“.... Nie odda ci, bo ona duszę twą zmarnowała, zabiła i nie ma jéj już..... Ona i swojéj duszy może nigdy nie miała...... Nieprawda!!! Ja bluźnię!!! Miała ona

duszę świętą, wielką, tylko że tę duszę wtłoczono w kajdany..... Czyż ja mogę jéj nie kochać, jéj która takie straszne przechodziła męczarnie..... Daruj mi Włodziu.... Widzisz, ja miéwam chwile zapomnienia. Ale nie przywiązuj zbyt wielkiéj wagi.... Widzisz Włodku, że to lepiéj być, jak ty, w przyjaźni tylko z.... poezyą.... Bo gdy się ją kocha zbyt gorąco, choć jak ja nieudolnie, to się dochodzi do halucynacyi, do takich głupich uniesień, jak moje obecne..... Więc o czém to mówiliśmy? Już wiem! Mówiłem ci, że ideałów w rzeczywistości nie ma, lecz się je w wyobraźni swéj stwarza i w te ideały wierzy. To jednak wytwarzanie ideałów ma jeden smutny skutek. Rzadko się zdarza, żeby bujną wyobraźnią obdarzony twórca swego bóstewka miał zdolność do pozostawania całe życie w wytworzonym przez swą fantazyę zaczarowanym świecie i żeby po wejściu do tego świata wrażenia rzeczywiste, zewnętrzne wcale już na niego nie oddziaływały. Jakkolwiek poeta, artysta ma często wiele naiwności w wierze, i jakkolwiek jego uzdolnienie twórcze przeważa zwykle nad krytycyzmem, to natomiast ma on wiele wrażliwości. Brak krytyki zastępuje w nim właśnie wrażliwość. Ta zdolność do odczuwania nowych wrażeń obejmuje zarówno bodźce dodatnie jak i ujemne. Nadwrażliwy na pierwsze, będzie artysta nadwrażliwym i na drugie. A skoro w wykutym przez siebie posągu bogini obaczy on jedną skazę, złuda dawniejszém wrażeniem wywołana, rozwiéwa się, a nawet często ustępuje złudzie nowéj, w kierunku przeciwnym. Nie dość że ideałowi odpadają skrzydła, że znika wieńczący jego czoło nimb świetlany, lecz jeszcze w dodatku wyrastają strąconemu z piedestału bóstwu pazury tygrysie, język żmii, rogi szatańskie..... Czczony przedtém, a następnie zdruzgotany bałwan bóstwa, po większéj części nigdy już w wyobraźni artysty nie zmartwychwstaje, lecz ustępuje miejsca nowemu, który takiemu samemu jak i poprzedni ulega losowi. Czasem jednak bywa inaczéj. Czasem skleja niepoprawny idealista na nowo szczątki swego bożka i znów go na ołtarzu stawia i czci na nowo, aż do chwili powtórnego strącenia. I tak nieraz przez długie lata najzwyczajniejszą Zuzię, lub Fruzię czyni artysta aniołem i szatanem na przemiany,—przenosi ją z nieba do piekła, lub naodwrót kolejno, a i sam razem z niewinną swych zachwytów i rozczarowań sprawczynią dantejskie odbywa wędrówki. Oto jest przyczyna dla czego ten, kto jest artystą w duszy, zawsze prawie i sam jest w miłości nieszczęśliwy i nieszczęśliwym przedmiot swéj miłości czyni. I to jest przyczyna, dla któréj ja nie śmiem myśléć o życiu rodzinném, choć nieraz do ogniska domowego tęsknię. Gdyby tu chodziło o moje szczęście jedynie, to możebym i zdecydował się na ryzykowną próbę. Ale myśl

że mogę złamać życie jakiemuś Bogu ducha winnemu stworzeniu, nie pozwala mi na krok podobny. Wolę niech się wlecze daléj to życie bezdomne. Niezabawne ono, oj bardzo niezabawne, szare, bezbarwne. W młodości przystraja się jeszcze w strzępy jaskrawe, w złudzenia różne. Ale późniéj! Wiész, jak się czuje człowiek bez rodziny, gdy młodość minie? Czy zdarzyło ci się kiedy znaleść samemu jednemu w obcym, nieznanym ci kraju?.... Jeżeli nie, to wyobraź sobie noc bezsenną samotnego wędrownika, który nikogo, ale to literalnie nikogo bliskiego w okół siebie nie ma.... I nuda go zdejmuje i tęsknota i strach czasami, a snu nie może doczekać, ani świtania. Szkaradna noc. A cóż dopiero jeśli tak upływa nie noc tylko jedna, ale życie całe.... A jednak ja wolę męczarnię takiego życia niż małżeństwo.... Nie zrobię nikogo nieszczęśliwym. A zmarnuję życie, to tylko swoje własne. Nie mam przynajmniéj odpowiedzialności na sumieniu ... Ale twoje życie zmarnować się tak nie powinno .. Ty masz wiele równowagi wewnętrznéj i wiele trzeźwego daru obserwacyjnego. Możesz więc i dobrze wybrać żonę i możesz dać szczęście wybranéj. Przepowiadam ci, że będziesz prawie takim *mari-modele* jak Adaś. A pamiętasz co pomogło w chwili zwątpienia i apatyi Adasiowi?... Mówiąc nawiasem, oto jest człowiek, który nosi maskę filistra i chce ludziom wmówić, że jest nim rzeczywiście. Ale mnie on nie oszuka. Ani oczywiście ciebie témbardziéj..... Otóż co ja chciałem powiedziéć? Aha! Że skoro samotność ciążyć ci zaczyna, to powinieneś zrobić to samo co Adaś—ożenić się.

— Za późno mój Bohdanie...

— A wiesz co, mój Włodziu, żeś nieznośny z powtarzaniem wciąż jednego i tego samego. Za późno.... Starość.... Jak katarynka! Przecież widzę, jak się ożywiasz w towarzystwie kobiecem i jakie między kobiety wnosisz ożywienie. Chcesz, żebym powtórzył wypowiedziane wczoraj słowa téj panienki, o któréj ci wspominałem. Powiada, że przegawędziła z tobą parę godzin na jakimś raucie, a tak jéj przyjemnie czas zeszedł, jakby na najbardziéj ożywionym wieczorze tańcującym... A jest to panienka, mimo młodości, dość w swych sądach trudna, a przytém taka, która tego karnawału pierwszy raz weszła w świat. Z jéj strony przeto porównanie przyjemności rozmowy z tobą do rozkoszy wieczoru tańcującego oznacza tyle, co... albo ja wiem, nawet dość silnego porównania znaleść nie mogę... dajmy na to tyle, co postawienie jakiegoś okazu architektonicznego na jednym szczeblu artystycznym z gmachem parlamentu londyńskiego, albo z całością arcydzieł budowlanych na placu św. Marka w Wenecyi.... Kiedym zaś jéj powiedział, że wcale się jéj zdaniu nie dziwię, bo wiem jak mówić umiesz, a następnie

dodałem, że nas nazywali koledzy: „*les deux hableurs*“, ona taką zrobiła impertynencką minkę, jakby chciała mi opowiedzieć bajkę o żabie, co nogę do kucia nadstawia, i zarazem tak niezadowolnioną, jakby mi wyraźnie mówiła, że nie umiem cię dość cenić.....

— Fantazya artystyczna cię unosi. Ale któraż to z moich znajomych tak łaskawie się o mnie odzywała?

— A widzisz, ciekawyś! Dowód, żeś młody. Na starość zostanie ci jedynie ciekawość dobrego papu, a dbać będziesz tylko o regularny żołądeczek. Póki zaś obchodzi cię, co która dziewczyna o tobie mówi.... No, no! Nie kręć się tak z niecierpliwości. Mówiła o tobie panna Halina *-ówna....

— Boniu! Ty nie drwisz ze mnie!?! Słuchaj Bohdanie!... Nie, nie mogę mówić....

— Co ci jest Włodziu? To to tak?!? Ależ naturalnie, że nie drwię. Mówiła o tobie bardzo pochlebnie i gorąco, tak, że ja nawet studziłem trochę.... Żartem oczywiście.....

— Wybacz mi Bohdanie, ale to trochę dziwny sposób wykazywania przyjaźni. I ta powtórzona przez ciebie nazwa „*hableur*“, dawana zwykle bezmyślnym gadułom, kłamcom.... Koledzy nasi traktowali tę nazwę żartobliwie i nadawali jéj sympatyczne znaczenie. Ale ona....

— Uspokój się Włodziu. Ona przecież rozumiała, że to żart. Wszak i samego siebie tak nazwałem....

— Cóż ona mówiła? Powtórz mi mój Boniu wszystko, wszystko co do słowa.

— Mówiła... Mówiła, że jéj tak przyjemnie czas z tobą upłynął,— że tęskni do powtórnéj z tobą rozmowy....

— Mówiła że tęskni??

— T... no taak. Nie trzeba jednak znowu przesadzać znaczenia.... Przyjdź-że trochę do siebie, mój Włodziu. Oj, źle z tobą, jak widzę.... bardzo źle. Strzeż się, mój drogi, bo takie, niby panujące nad sobą natury, to najgorsze. Co do mnie, to nieraz przecież mówiliście, że ja jestem jak dziurawe rzeszoto. Cokolwiek w nie wlać, prędko przeleci i można lać na nowo. Otóż o tobie można powiedzieć, że jesteś jak kocioł bez klapy bezpieczeństwa. Nie widać co w nim wre w zamknięciu... aż nagle kocioł pęka i siłą pary rozsadzony rozlatuje się w drobne kawały.......

....Ja już nie słuchałem Bohdana, lecz powtarzałem sobie:

Tybyś mnie może kochała
Jasny aniele.....
Na tę myśl pierś ma zadrżała,
Bo widzę szczęścia za wiele,
Gdybyś kochała!

* * *

Co było potém? Byłem szczęśliwy przez kilka tygodni. Upłynęły one jak jedna chwilka.... Spotykałem ją czasami... Widywałem u znajomych, na ulicy, w pracowni malarskiéj.... Czatowałem nieraz godzinami, żeby ją widziéć przechodzącą lub przejeżdżającą,— rozradowany gdym ją zobaczył, tęskniący, gdy mi jéj spotkać się nie udało, a zawsze najwyższéj trwogi pełen, żeby ona nie spostrzegła mię na swéj drodze. Bo mi chodziło tylko o to, żebym ja ją widział, a byłem obawą zdjęty, czy nie weźmie mi za złe tego mojego niedyskretnego śledzenia jéj kroków. Raz pamiętam w początku wiosny spotkaliśmy się na wieczorku. Rozmawialiśmy dłużéj. Ona tak słuchała mię uważnie, tak mile, tak chętnie, z takiém ożywieniem mówiła.... A potém, ponieważ mi niby było po drodze (mnie wszędzie z nią byłoby po drodze!), więc wracaliśmy razem. Noc była prześliczna, jasna, księżycowa. Rozmawiałem więcéj z jéj matką i ojcem niż z nią.... Com mówił, nie wiem.... Pewno nie zupełnie do rzeczy, bom był na wpół tylko przytomny. Byłem przejęty jakimś bezmiarem szczęścia, które duszę moją całą ogarnęło. To téż rozmowa rwała się chwilami. Patrzyłem na nią. Blask księżyca nadawał Halinie jakiś nowy urok tajemniczy. W tém oświetleniu twarzyczka jéj bladą się wydawała i dziwnie smętną. I zdało mi się, że w jéj oczach jakieś ognie fosforyczne płoną,— że ona sama jest źródłem téj łagodnéj jasności, jaka ją otacza. Ah, jak mi w téj nieméj kontemplacyi było dobrze! W uszach ciągle mi brzmiało:

Gwiazd bym nie szukał na niebie,
Ani miesiąca,
Ale bym patrzył na ciebie,
Boś więcéj promieniejąca
Od gwiazd na niebie!

* * *

Wiosna w całym rozkwicie. Spotkaliśmy się na wsi. Widywałem ją w parku na przechadzce,—przy grze w kroketa, którego nauczyć się nie mogłem. Czy ja mogłem myśléć o kulach i bramach, kiedy ona była przy mnie?! Więc téż pewnie tak niepojętnego ucznia nie miała nigdy panna Halina. I mówić zapomniałem. Pani Madzia nie powiedziałaby teraz *„que je suis un charmant causeur."* Byłem jakiś niepewny siebie, nieśmiały. Musiałem się przedstawiać bardzo niemądrze. Raz znaleźliśmy się w kilka osób na łódce. Ona w różowéj sukience, w dużym słomkowym kapeluszu wiosłowała. Poruszała wiosłami silnie, równo. A robiła to z widoczném upodobaniem i z pewną brawurą. Płynęliśmy wąską, a krętą rzeczułką, po brzegach któréj rosły gęsto topole rosochate i krzaczyste wierzby. Słońce przedzierało się między gąszczem nadbrzeżnym jasnemi,

gorącemi promieniami, które od czasu do czasu oblewały pannę Halinę światłem złocistém. Ona, zarumieniona, uśmiechała się białemi ząbkami, widniejącemi wśród nieco rozchylonych a wilgotnych ust wiśniowych, oczy zaś miała jeszcze więcéj niż zwykle palące. Wówczas zdało mi się, że to nie moja znajoma z salonów, lecz jakaś istota z innego świata, wróżka—czarodziejka, wód tych i lasów władczyni, jakaś Loreley, czy Goplana.... O nie! lepiéj niż to wszystko! Ona sama! Halina! Ale Halina, królewna z zaklęcia zbudzona, Halina kochająca, Halina moja przyszła królowa, władczyni, towarzyszka życia, ukochana żona.... I snuły mi się w pamięci Salomona palące „pieśni nad pieśniami“, i tęczowy Słowackiego poemat „w Szwajcaryi“. To znów ku szerszym myśl moja biegła horyzontom.... Widziałem matronę rzymską, matkę Grakchów.... Wtém kapelusz panny Haliny, zaczepiony przez jakąś gałąź, wpadł do wody. Ja się wychyliłem, chcąc go wydobyć, a zrobiłem to tak nieostrożnie, tak niezgrabnie, że o mało co nie zatopiłem łódki. Byłem z pewnością w méj niezręczności zabawny. Ktoś—zdaje mi się—zwrócił uwagę, że na łódce trzeba być ostrożniejszym. Ale ja nikogo nie widziałem, nic nie słyszałem, tylko wpatrzony w nią powtarzałem w duszy:

„Wzgardziłbym słońca jasnością
„I wiosny tchnieniem,
„A żyłbym twoją miłością,
„Boś ty jest mojém natchnieniem
„I słońc jasnością.

* * *

Poszedłem dziś do Adasia. Nagadawszy się z sobą w gabinecie, chcieliśmy przejść do jego żony. Pani Madzia miała w salonie jakąś damę wizytującą, któréj po głosie rozpoznać nie mogłem. Dałem więc Adasiowi znak ręką, że chciałbym przeczekać chwilkę w pokoju przyległym do salonu, aż się wizyta skończy. Szliśmy cicho po dywanie, tak, że odgłos kroków naszych nie doszedł do pań, zajętych rozmową. Adaś wrócił na chwilę do gabinetu, żeby wydać jakieś rozporządzenie i przynieść cygara. Wtém słyszę raz i drugi imię Haliny. Chociaż to powiadają, że ciekawość kobiét wyraża się w podsłuchiwaniu, mężczyzn zaś w podpatrywaniu, na ten raz jednak nie byłem ciekawy widzenia damy mówiącéj; ale nie mogłem się oprzéć chęci słyszenia, co ona mówi. Wyznaję, że nie myślałem wówczas, czy to dyskretnie, czy niedyskretnie.....

— Tak, tak, z Halą kłopotu nie będzie. Nie dla tego, że to moja bratanka, ale przecie po sprawiedliwości trzeba powiedziéć, że dziewczyna jak łania. A jaka mądra, uczona!! Jak profesor jaki.

Mówi językami, gra, maluje.... No i posag ma ładny. Kręci się téż w domu moich braterstwa dużo młodzieży. Jest najprzód Emil, bardzo porządny chłopak, tylko że za bliski krewny. Potém Ludwiczek, co to tak ładnie tańczy. Ten znów za młody, bez pozycyi jeszcze. No i adwokat....

— A czy to prawda, że pan Włodzimierz jest częstym gościem w domu państwa *-ów?

......Po co to zapytanie.... Pod ziemię bym się zapadł....

— Pan Włodzimierz? A tak, bywa. Przyzwoity człowiek. Dobrze ma podobno w głowie. Ale przecie za niego Hala by nie chciała iść, ani rodzice by jéj nie wydali.

— Dla czego?

— Za stary dla niéj. Bywa już podobno w Karlsbadzie....

— Pan Włodzimierz jest w jednym wieku z moim mężem, a nawet młodszy podobno.

— To téż pani już, chwalić Pana Boga, dziesięć lat za mężem.

— Dopiéro ośm..... I mąż mój bardzo młodo się ożenił.

— No, choćby ośm... Zawsze to różnica....

— Nie tak znów wielka... A ja sama widziałam, jak panna Halina nieraz była zajęta rozmową z panem Włodzimierzem.

— Eh! zajęta, zajęta.... Jużci pan Włodzimierz ładnie gada, to i bawił dziewczynę. Ale powiadam pani, że Hala o nim ani myśli. Przecie ja wiem najlepiéj........ Ale muszę już pożegnać kochaną panią....

Chwilę stałem jak oszalały, nieprzytomny.... Potém rzuciłem się do wyjścia. Sam już nie wiem, co powiedziałem Adasiowi, który chciał mię koniecznie zatrzymać i groził burą od żony, aż wreszcie, zdziwiony mojém nagłém wzruszeniem, ustąpił. Biegłem nieprzytomny, bez celu. Mózg mi świdrowały słowa: „za stary.... bawił dziewczynę, ale ona o nim nie myśli.“ Zaszedłem pod drzwi swego mieszkania, sam o tém nie wiedząc. Kazałem nikogo nie przyjmować. Chodziłem gorączkowo po pokojach. Potém usiadłem. Zmierzch zapadł. Służący zapalił światła. Podawał jedzenie, herbatę, mówił coś do mnie.... Nareszcie przyszedł raz drugi i trzeci z przypomnieniem, że czas iść spać. Oprzytomniałem trochę.... I przyszła mi na pamięć dalsza strofa tego wiersza utrapionego:

„Ale już jestem za stary,
„Bym mógł, dzieweczko,
„Zażądać serca ofiary,
„Więc bawię tylko piosneczką,
„Bom już za stary!“

* * *

Dziwne tajniki miewa serce ludzkie. Upodoba sobie czasem w jakiéjś męczarni więcéj niż we wszelkich radościach. Tak jest i ze mną. Wiem, że ona nigdy moją być nie może, że ja dla niéj jestem niczém, a jednak chciałbym ją widzieć, mówić z nią, słuchać jéj głosu, patrzyć w jéj oczy. Widok jéj udręczeniem jest mojém i zarazem rozkoszą. Psychiatrzy nazywają pewien rodzaj psychozy „*mania sine delirio.*“ Jestto chorobliwe osłabienie woli, opanowanéj jedną myślą. Opanowany nią maniak zachowuje wprawdzie zdolność jasnego rozumowania, ale oprzéć się popędowi nie potrafi. Rozumiem teraz doskonale stan podobny. I czy nie sprawdza się na mnie spostrzeżenie lekarzy, iż obłąkani i maniacy dziwnie bywają pomysłowi i zręczni w przeprowadzaniu planów ku osiągnięciu pożądanego celu?! W obawie, żeby wiadomość, jak dalece Halina jest bliską memu sercu, nie stanęła na przeszkodzie częstszemu memu bywaniu w domu jéj rodziców i nie pozbawiła mię jéj widoku, postarałem się, przy jéj zręczności pomówić z bliskimi znajomymi państwa *-ów i zdaje mi się, że mi się udało odwrócić wszelkie od siebie podejrzenia. Widziałem więc ją kilka razy jeszcze. I dziwna rzecz! Od chwili, kiedym zrozumiał i poczuł, jaka przepaść nas dzieli, odzyskałem w znacznym stopniu umiejętność rozmowy w jéj towarzystwie. Adaś koniecznie chciał mię namówić do jakiéjś podróży. Mówił, że przez czas mojéj niebytności mógłby się zająć moimi interesami. On i tak obecnie więcéj w nie, niż ja sam, wgląda. Szczególny to człowiek ten Adaś. Nie tylko swoje interesa prowadzi jak najpunktualniéj, — ma jeszcze czas zajmować się cudzymi. Kiedy potrzeba czy to roboty, czy rady praktycznéj, czy pożyczki pieniężnéj, każdy z kolegów i znajomych do Adasia, jak w dym. Nawet prosić go nie potrzeba; on sam się ofiarowuje. Rady jego pozostały wszakże na ten raz bez skutku. Nie chciałem wyjechać, żeby się nie pozbawić jéj widoku. Obecnie jednak ona sama wyjechała z rodzicami nad morze dalekie, a potém w podróż na południe, w stronę słońca, w kraj piękności natury i cudów sztuki. Widziałem ją w sam dzień wyjazdu. Lecz wyjechać za nią niepodobna. Tyle przecie zostało mi rozsądku, bym rozumiał, że krokiem podobnym zamknąłbym sobie drzwi domu jéj rodziców nazawsze..... I dopiéro od chwili, gdy ona daleko, poczułem straszną, nieznośną pustkę w sercu. Jeszcze dopóki mogłem ją widywać, życie było coś warte. Ale dziś!... Powiadają, że praca zagłusza tęsknotę. Mnie dotychczas nie pomaga. Coraz bardziéj mi tęskno..... Poznań wyludnił się na lato. Adasiostwo nawet, choć zostawali w tym roku dłużéj niż zwykle w mieście, jednak w końcu wyjechali. Bohdan

wyjechał oddawna i nieprędko jeszcze ma wrócić. Ich jednych mi szkoda, bo zresztą lepiéj mi w samotności, niż wśród ludzi.

. . . .

— Nareszcie spotykam choć jedną żywą duszę w tym Poznaniu. Jeżeli ty mię nie wyratujesz w mojéj rozpaczy, to jesteś chyba człowiekiem bez serca.

— Co ci jest mój Bohdanie? Zkąd się tu wziąłeś nagle? Wszak miałeś wrócić dopiero w początku zimy.

— Spotkało mię nieszczęście w Abbazii..... Znasz to nowe miejsce kąpielowe?

— Słyszałem..... podobno ładne?

— Abbazzia?

Nad kolistą wód taflą, u stóp skalnych złomów,
Pośród bujnéj zieleni wieżyczka kościoła,
W pięknym parku gromada bielejących domów,
Kilka łodzi w przystani, a jasność dokoła,—

Ot i cała Abbazzia. Wszak niebo i morze
I słońce i zieloność—dziwy to nie nowe?....
Lecz jedyne na świecie gwiazdy lazurowe
I piękniejszą nad Venus spotkałem tam zorzę!

Ta jutrzenka swém światłem ozłociła skały
I wschodnich mi haremów roztoczyła sady
I z kwiecia mi różane usłała kobierce

I upojeń haszyszu dała zaznać szały
I uwierzyć kazała w baśń Szeherezady,
A za to wszystko tylko..... zabiła mi serce!!!

— Oho, ho! To cóś bardzo mocno. A któryż to raz w życiu zabijają ci serce, mój Boniu? I roześmiałem się mimowoli z emfazy, z jaką Bohdan swój wiersz deklamował.

— No opowiédz, opowiédz jak to było? Może zwierzenie będzie balsamem, ranę kojącym. Któż to była twoja morderczyni?

Zamiast odpowiedzi Bohdan znowu mi zadeklamował:

Jasna, chłodna, spokojna, niby marmurowa,
I, choć piękna nad piękne, tak w sobie zamknięta,
Że się ją, jakby posąg cudowny, pamięta,—
Posąg, który otacza powłoka lodowa.

Raz, pomnę, mi się zdało, że posąg krew chowa......
Tak gorący żar oczu miała moja święta,
Jakby chciała rozerwać krępujące pęta......
Nie! téj dziwnéj przemiany nie opisze mowa!

Odtąd pytam, czy wróci do głazu krwi fala?
Jak tłómaczyć tę łunę, co lice zapala?
I czy da się w marmurze poczuć serca bicie?

Lecz pytanie rozwiązać trudno, patrząc zdala,
Mnie zaś tylko oczami wolno pytać skrycie ....
I odtąd z tém pytaniem związane me życie!!!

Dziwny to gatunek ci poeci. Tak trudno w nich rozpoznać, gdzie się kończy fikcya, a zaczyna rzeczywistość,—gdzie ironia, a gdzie uczucie prawdziwe. Póki Bohdan deklamował wierszyk swój pierwszy, rozumiałem, że to żart,—czułem gorzki może nieco, ale zawsze śmiéch. Tymczasem przy drugim—owładnęło nim widoczne wzruszenie. Zbladł bardzo, a głos tak mu drgał rzewnie i boleśnie, że najwyraźniéj łzy w nim słyszałem tłumione. Milczeliśmy chwilę. Bohdan usiadł zamyślony. Nareszcie ja się odezwałem:

— Ładny ten drugi twój sonet. (Może mi się tak wydał dobrze dla tego, że był wypowiedziany z uczuciem przez Bohdana). Ale powiédz mi, ile w tych wierszach prawdy? I który prawdziwszy? W jednym mówisz, że doznałeś upojeń rozkoszy, w drugim, że tylko pytasz oczyma skrycie. Czy rzeczywiście spotkałeś kogo w Abbazzii? Dla czegoś taki smutny? Rozstaliście się?

Chwilę patrzył na mnie Bohdan, jakby nie rozumiał moich pytań. Nareszcie odezwał się:

— Ah w Abbazii? Jak to było? Tak.... rozstaliśmy się. I w bardzo dziwny sposób. Widywałem ją zdaleka tylko i zawsze w towarzystwie. Mówiliśmy z sobą bardzo mało. Ale ona zawsze silne robiła na mnie wrażenie. I tak trwało..... długo, bardzo długo. Raz znalazłem się z nią sam.... Poszliśmy z Abbazzii w stronę Lovrana i za Molo zeszliśmy nad sam brzeg morza.... Ja byłem szczególniéj jakoś dnia tego usposobiony. Smutny byłem, a jednak pogodny. Mówiłem długo...... o tym Karście, który mieliśmy nad głowami. Mówiłem, że, jak te góry skaliste po spustoszeniach wulkanicznych pokrywają się na nowo zielenią, tak i mieszkaniec Karstu, Słowianin, uciskany z kolei przez Włochów, Niemców i Węgrów, odradza się, niby feniks z popiołów i... żyje daléj.... Mówiłem, że życie od śmierci silniejsze..... Ona, zasłuchana, patrzyła mi w oczy..... Potém ujęła me dłonie, w swe rączęta drobne..... I nagle, pierwéj nim spostrzedz się zdołałem, ucałowała moje ręce...... Co się ze mną wtedy stało!!! Jakiś wstyd wobec téj czci, któréj czułem się niegodny, jakiś żal mię opanował. I stałem chwilę, jakby w głaz zamieniony. A potém powaliłem się jéj do nóg i stopy jéj całować zacząłem. I rozpłakałem się gorzéj niż kobieta, gorzéj niż dziecko małe. Ona zaś usiadła przy mnie i starała się mnie uspokoić. A gdym już przyszedł do siebie, odeszła, związawszy mię obietnicą, że za nią wślad nie pójdę i że dopiero późnym wieczorem powrócę do Abbazzii.

Kiedym wrócił, zastałem tylko list jéj, błagający, bym nigdy więcéj nie starał się jéj widziéć.... Jéj już nie było...... Odjechała!!!

— Dla czego? Dokąd?

— ......Do męża...... Nie była wolną......

— A któż to jest ten mąż? Nie o nazwisko pytam, ale o gatunek człowieka.

— Jéj mąż?... Nie znałem go wcale...... Podobno jakiś spoczywający na laurach stary dygnitarz austryacki...... Zresztą sam niewiem dobrze......

Potrąciła przykre w méj duszy wspomnienia ta wzmianka o nierówności wieku w małżeństwie. Ale właśnie dla tego poczułem jakąś ciekawość palącą i wypytywałem Bohdana daléj.

— A ona naturalnie młoda i piękna.

— Czy piękna? Wyobraź sobie cudnych kształtów posąg Wenery, w oczach któréj czytasz skargę niewiasty z „Niedokończonego poematu“: „Duszę miałam, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali!“. Czy rozumiész to zestawienie?

— Niby trochę... Ale żebym lepiéj zrozumiał, porzuć język porównań poetycznych a przemów zwyczajną prozą. Pamiętasz jak kiedyś w żarcie określiłem twoje usposobienie: „romantyk w sercu, paradoksista w głowie, a poganin w duchu“. I tyś, śmiejąc się, przyznał, że w tym żarcie jest trochę prawdy. A odpłacając żart, nazwałeś mię „wielkim prosektorem“, który robi „sekcye anatomiczne dusz“. Otóż odwołuję się do twego pogańskiego kultu pięknych form, do twojéj rzeczywiście dziwnéj pamięci kształtów i proszę cię, postaraj się być czysto „epicznym“. Ja znów, będę wyprowadzał wnioski i na podstawie obrazu kształtów zewnętrznych będę stawiał hypotezy co do treści wewnętrznéj. Chodzi więc o to, żeby opis był wierny i dokładny.

Zawahał się Bohdan chwilę, a potém zaczął, z przymuszonym nieco, uśmiéchem.

— Żądasz rysopisu do paszportu?... Dobrze!... Dwudziesto-dwuletnia kobieta w pełni rozkwitu prześlicznych kształtów. Francuz by ją nazwał „*une fausse maigre*“. Bardzo, prawie zanadto wcięta w stanie,—ma biust rozkoszny. Przy drobnych dłoniach i stopach, ręce i nogi silnie rozwinięte...... Widziałem ją w kąpieli morskiéj..... W Abbazzii kąpiele są wspólne..... Jasna blondynka. Wygląda z twarzy jakby dziecinnie jeszcze nieco. W ruchach pewna nieśmiałość, robiąca na pierwszy rzut oka wrażenie sztywnéj dumy. Twarz o drobnych rysach, chłodna zwykle, tylko czasem rozgoreje dziwnym płomieniem. Całe życie skoncentrowane w cudownych ciemno-szafirowych oczach, dziwnego ognia, słodyczy i smutku razem. Ale oczy te często opuszcza,—przysłania ciemną długą rzęsą, a nawet zamy-

ka, jakby je umyślnie chowała. Kiedy jednak otworzy te wielkie swoje oczy,—takie łzawe, a takie w swéj cichéj rezygnacyi głębokie, jak mórz tonie—wówczas dreszcz cię przejmuje.... I czujesz, że odtąd pójdziesz za temi oczami wszędzie, gdzie one cię poprowadzą,—na szczęście i nieszczęście, na radości i na smutki i na rozpacze i na śmierć samą..... Nie, nie mogę mówić spokojnie!....

Zamilkł Bohdan. Nie chciałem mu przerywać zadumy. Czułem, że go moja ciekawość boli..... I dla czego mię tak interesują szczegóły o téj kobiécie? Czy ze względu na Bohdana, czy ze względu na możliwą analogię położenia zbyt starego męża?.... Jak to jednak natura mści się za pogwałcenie swych praw. Kobieta, mająca starego męża, choćby najuczciwsza, musi pokochać innego. I chociażby umiała zapanować nad sobą, to się męczy sama i innym życie łamie. Naprzykład ta, spotkana przez Bonia, kobieta. Odrzuciwszy cały entuzyazm opowiadania, można jednak wnioskować, że jest to młoda, zdrowa fizycznie, a moralnie niezepsuta kobieta, — dziecko jeszcze prawie,—kobiéta, która mogłaby prawdopodobnie dać szczęście i być szczęśliwą. Mogłaby, gdyby jéj nie związano ze starcem. A dziś?..... I czy wynagrodzą się w jakikolwiek sposób udręczenia téj kobiety. Czy ludzkości z nich co przybędzie? Przeciwnie, jeszcze ujemny dają rezultat. Dla celów rozrodczych przyrody korzystniejszém by było, gdyby się ta kobieta oddała ukochanemu. A więc z punktu widzenia moralności panteistycznéj, przyrodniczéj, kobieta od skrupułów wolna byłaby w tém położeniu moralniejszą niż ta, która—podobnie do ciała ludzkiego rzuconego między koła zębate maszyny olbrzymiéj—niedość że sama w męczarniach życie kończy, ale jeszcze zatrzymuje, a przynajmniéj zwalnia bieg téj maszyny tj. życia przyrody...... Jedném słowem położenie bez wyjścia. To tak, jak w dowodzeniu matematyczném: jeśli punkt wyjścia fałszywy,—do dobrego rozwiązania nigdy się już nie dojdzie. Tu fałszywém założeniem jest niedobrane co do wieku małżeństwo.

. . . .

— A wiész Włodziu, z jaką ja do ciebie przyszedłem prośbą?

— Czém ci mogę służyć?

— Chciałbym pojechać gdzie w świat. Może mi to rozerwie nieco moje czarne myśli. Ale sam nie mogę się zdecydować. Możebyś ty wybrał się ze mną. Wiem, że Adaś wkrótce już wraca, więc co do twoich interesów możesz być spokojnym. A mnie oddałbyś wielką usługę. Pojedziemy, gdzie zechcesz. Mnie wszystko jedno.

Zastanowiłem się chwilę. Ona jeszcze nieprędko powraca. Między mną i Bohdanem istnieje niby pewne podobieństwo położenia. Obaj jesteśmy w żałobie duszy. Wprawdzie jego żałoba prawdopo-

dobnie przejściowa, w każdym jednak razie nie będzie między nami tego rozdźwięku, jaki panować musi między hałaśliwą wesołością a smutkiem. Przytém w ostatnich czasach zaczęło mi się przykrzyć to jakieś współczucie, jakiém mię tu w Poznaniu otaczają życzliwi mi, ale duchowo obcy ludzie. Widocznie wieść o mojéj „nieszczęśliwéj miłości“ rozeszła się szeroko. Draźni mię to. Nie przez uczucie zranionéj próżności, lub fałszywéj ambicyi. Pod tym względem nie czuję żadnego wstydu. Kto starał się o czyjąś rękę z rachuby, z interesu, albo chociażby dla tego tylko „byle się ożenić“, a nie powiodło mu się, temu może zależyć na ukryciu swojego *fiasco.* Ale mnie!..... Dumny jestem z tego, że mogę, że umiem kochać. I dumny jestem z przedmiotu mojéj miłości. Tylko że ta duma moja bywa raniona, kiedy do *sanctuarium* mego serca, do tego *sanctuarium*, w którém ona tylko panuje,—kiedy tam mi się wdzierają obcy, profani, i jeśli nie pytają wyraźnie słowami, to wzrokiem pragną wybadać, co się we mnie dzieje. Wówczas zamykam się szczelnie i żeby oddalić natrętów, kłamię wesołość. Lecz ile mię to kosztuje!!! . . . .

— Dobrze Boniu. Jadę z tobą.

I pojechaliśmy na włóczęgę bez celu, gdzie oczy poniosą, po szerokim świecie. Adaś pisywał do mnie krótkie tylko listy, że interesa idą dobrze i że nie mam się co śpieszyć z powrotem. Bohdan otrzymał nie wiem jaką drogą wieść, że *-owie przedłużyli znacznie swoją podróż. Nie chciałem go wypytywać o szczegóły. On też milczał. Z początku miałem nadzieję, że może ją gdzie spotkam wypadkiem. Potém i tę nadzieję straciłem. Żyłem wrażeniami z dnia na dzień. Bohdan był taki dobry, taki troskliwy o mnie, jak prawdziwa niańka przy chorém dziecku. Wiedziałem i dawniéj o jego dobrém sercu, lecz o takiéj, kobiecéj niemal tkliwości i delikatności dowiedziałem się dopiero w ostatniéj podróży. Zmiana miejsc, ruch, kalejdoskop widzianych obrazów—wszystko to oddziaływało na mnie kojąco. Z pewnym też, względnym spokojem powtarzałem sobie niejednokrotnie dalszą strofę wiersza, tak dziwnie wplecionego w moje życie, w ostatnich miesiącach.

„Uciekam od Ciebie zdala,
„Motylu złoty!
„Bo duma mi nie pozwala
„Cierpiéć, więc pełen tęsknoty
„Uciekam zdala“.

* * *

Zacząłem zwracać uwagę, że w miarę tego im mnie smutniéj na duszy, tém więcéj opowiada i Bohdan o swoim smutku serdecznym.

Czyżby mię chciał w ten sposób oderwać od dręczących mię myśli? Może?! To nawet byłby zręczny bardzo sposób. Wesołość zbyt mi jest obca,—rozdrażniłaby mię nawet. Ale cudzy smutek odrywa nas od własnego. Odczuwamy go zaś, a przynajmniéj rozumiemy więcéj, gdy sami jesteśmy w analogicznéın położeniu. I potém zastanawiamy się, czy to nie egoizm tak się wyłącznie w swoim smutku zatapiać, gdy inni także cierpią. I nie tylko jednostki! Historya cała jest jedném wielkiém pasmem cierpień, smutków, boleści całych pokoleń, narodów, ludzkości całéj. A gdy się pomyśli, że oprócz naszego globu ziemskiego, miliardy jeszcze takich kul rozsianych jest po wszechświecie, że na każdym z tych światów są istoty, które żyją, a więc i cierpią,—to się wraca ze zdumieniem myślą do siebie i mówi: i ty kroplo, pyłku, atomie niewidzialny wobec tego ogromu boleści wszechświatowéj w sobie się tylko zatapiasz! Czémże jest twoja boleść w porównaniu z nieszczęściami zwyciężonéj Kartaginy, upadłéj wielkości Rzymu, wobec prześladowań pierwszych Chrześcian, wobec wytępienia Maurów w Hiszpanii, upadku Żydów, wygnanych ze swéj ojczyzny, a w niejednéj ojczyznie nowéj palonych na stosach, wobec ucisku Irlandyi, gdzie pokolenia całe z głodu i nędzy wymierały,.... I tak daléj, i tak daléj. A ileż to niedoli nam nieznanych, niewypowiedzianych—jednostkowych i społecznych! A proletaryat robotniczy, a więzienia, a domy prostytucyi, a szpitale obłąkanych! Co tu ran społecznych, ile boleści, ile rozpaczy!

. . . .

Stanowczo przychodzę do przekonania, że Bohdan stara się rozrywać moją uwagę opowiadaniem o swoich smutkach. Czyżby to wszystko, co on mi opowiadał było tak zwaném pobożném kłamstwem. Rozpoczyna on swoje opowiadania tylko wtedy, gdy mię widzi bardzo smutnym,—zmienia—zdaje mi się—czasem szczegóły... Ale znowu są chwile, kiedy podczas opowiadania opanowuje go takie głębokie wzruszenie, że w tém, co mi mówi, musi być jakaś podstawa rzeczywista. Przypominam sobie, że w uniwersytecie jeszcze, gdy koledzy opowiadali sobie dzieje swych miłostek, Bohdan nigdy, ani słówkiem nie potrącił tajemnic swego serca. Podpatrywaliśmy go czasem, staraliśmy się wyśledzić, ale te figle koleżeńskie widoczną mu sprawiały przykrość. Zaniechaliśmy więc ich i tylko po usposobieniu Bonia domyślaliśmy się, czy był w peryodzie poszukiwania ideału, czy w chwili ekstazy wobec znalezionéj doskonałości, czy nakoniec w peryodzie rozczarowania. Czyżby się dziś Bohdan tak zmienił? Czyż chciałby otwiérać przedemną rzeczywiste rany swéj duszy? Sądzę, że opowiada mi on bajki, żeby mię rozerwać a zarazem, żeby zamaskować, co się rzeczywiście na dnie jego duszy

dzieje. Tylko że się nieraz prawda, mimo jego woli, w chwili wzruszenia, na jaw wyrywa. Muszę go też wybadać.

. . . .

— Skoroś się domyślił, że to bajka, to i dobrze. Widocznie jesteś trochę zdrowszy na duszy, kiedy możesz na innych zwracać uwagę.

— Jakto? Więc nic nie ma prawdy w tém, coś mi opowiadał? Nikogo nie spotkałeś w Abbazzii?

— Jakto nikogo! Przeczytaj kurlistę. Było paręset osób.

— Nie udawaj, że nie rozumiesz zapytania. Nie spotkałeś tam kobiéty, którąby cię specyalnie zajęła?

— Nawet dwie! Powiadam ci—dwie siostry, prześliczne węgierki, rumunki, czy cyganki... Bardzo wesoło czas przepędziliśmy. Pamiętasz, że wyjeżdżałem z Poznania z jakimś spleenem. Otóż one mię wyleczyły. To też staczałem o nie wojnę prawdziwą z damami, które nie mogły im przebaczyć niezwykłéj piękności. Były w Abbazzii i nasze znajome z Księstwa. Te się najwięcéj gorszyły wesołością cudzoziemek. Ja zaś zachwycałem się niemi tém gorecéj. I dziś głoszę, że nie masz nad Abbazzię.

Bad to jest nad wszystkie Bady!
Tam w kąpieli dwie *Najady*
Cudnem ujrzał. Im to dzięki
Zdrów dziś jestem, wesół, żwawy,
Głoszę więc Abbazzii wdzięki,
Wszechświatowéj godne sławy.
Kurort iście to jedyny,
Bo ma takie dwie *Ondyny*,
Co na spleen skutecznie leczą.
Niech zawistni sobie skrzeczą,
Że te *Nixy*—roztrzepane,
Że się nadto głośno śmieją,
Ja w obronie śmiéchu stanę,
Przyznam głośno, że nadzieją
Znów się za rok pośmiać szczerze
Rozweselam nudne chwile,
Że w lekarstwo śmiéchu wierzę.....
Taki lek i wspomniéć mile!......
Mówią znów, że mych *Rusałek*
Narodowość jest wątpliwa.
Ja tam powiem bez przechwałek,
Że gdy wabna jest niewiasta,
To odczuwam te ogniwa,
Które łączą ludzkość całą,
Nie znam co to ród, lub kasta,
Czuję wówczas, że za mało
Lub,...... zanadto mam rodaków,

Chętnie obcych szukam szlaków.
Więc gdy skweres idzie wielki
O te moje *Świtezianki*—
Czy węgierki, czy angielki,
Czy żydówki, czy cyganki;
Ja wiem jedno: że urocze,—
Na ich widok płyną ślinki,
Więc o ród się nie kłopoczę,
Niechaj będą nawet chinki.
Że zaś piękne me *Syreny*,
Jak zaklęte dwie królewny,
Jeden dowód dam, lecz pewny:
Panie, jakby srogie hieny,
Ząbki na nie tak szczérzyły,
Rwały, gryzły je co siły....
Szopka była iście cała!
Słowem *Nimfy* — cud wcielony!
Kto je widział raz w kąpieli,
Z wszelkich chorób wyleczony,
Albo téż go..... djabli wzięli.
Kogo zaś ów lek nie sięga,
Ten skończony niedołęga;
Jedna tylko droga temu:
Zostać... stróżem drzwi haremu!

— Szczególną sobie, mój Bohdanie, przepowiadasz przyszłość ...

— Jakto sobie?! Przecież ja nie byłem nieczuły na ich wdzięki. Przeciwnie, gorąco się niemi zachwycałem. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo i już mieliśmy w Fiume, czy téż, mówiąc po słowiańsku, w Riece, wsiąść razem na okręt i płynąć do Brazylii. Wtém otrzymuję od Adasia list, że wartoby wyciągnąć ciebie z Poznania....

— Więc ty umyślnie po mnie przyjechałeś?!.... Powinienem się był tego domyśléć..... Sądzisz jednak, że ja wierzę twoim ekstazom do cyganek? I dla tego, że nie wierzę, to właśnie żartem do ciebie zakończenie twego wierszyka zastosowałem. Przecie widzę dobrze, że ci smutno na duszy i to bardzo smutno. Wcale cię nie rozweseliły te piękności międzynarodowe. Udajesz tylko wesołość.

— Jak to niedobrze raz w życiu kogoś obełgać. Teraz ci się zdaje, że ja już ciągle kłamię. A właściwie czym ja cię choćby raz okłamał? Powiedziałem ci, żem poznał w Abbazzii piękną kobiétę. Poznałem aż dwie i to obie prześliczne. Zwłaszcza mężatka fenomenalnie piękna. A chociaż mąż jéj nie jest jeszcze dotąd zbyt wysokim dygnitarzem, ale prawdopodobnie wkrótce nim będzie, bo kto ma tak piękną żonę, a nosi sprytną głowę na karku, ten zajdzie z pewnością wysoko. Już mię téż dochodziły wieści, że przyszły władca jednego z tronów.....

— Daj pokój, mój Boniu. Mogłeś rzeczywiście poznać jakieś oryginalne i głośne piękności, ale serce twoje niemi zajęte nie jest. To też wcale mię one nie interesują. Mnie obchodzi ten smutek, który napróżno przedemną taisz. Otóż o przyczynie tego smutku chciałbym coś wiedziéć. Czy rzeczywiście jest on spowodowany przez kobiétę? I jeśli tak, to może mi o niéj prawdę zechcesz opowiedziéć.

— Ależ to bajka, bajka mój Włodziu. Żadnéj kobiéty, któraby jakąś rolę w mém życiu odegrać mogła, nie spotkałem w Abbazzii.

— Jednak ja czułem w twojém opowiadaniu o pięknéj a smutnéj blondynce nutę prawdy.

— Zastanów się mój Włodziu! Dawałem ci szczegóły rysopisu, które mógłbym pozbierać chyba tylko w kąpieli morskiéj, a których w rzeczywistości ani w Abbazzii, ani nigdy nigdzie nie widziałem. W to możesz wierzyć!

— Wierzę, że mogłeś wyobraźnią dopełnić, a może i zmienić szczegóły, że dałeś swemu portretowi inne tło, inne otoczenie. Nie uwierzę jednak, żeby w opowiedzianéj przez ciebie historyi nie było zgoła nic prawdy. Pamiętam, jakeś mi wykładał teoryę różnicy między psychiczną wiernością obrazu, a dokładnością dekoracyjną. Otóż, mówiąc twojemi słowami, zmieniłeś dekoracyę, ale treść.....

— Zlituj się mój drogi! Czyż—co do fabuły saméj—mogłeś uwierzyć, żeby, w obec naszych obyczajów towarzyskich, kobiéta mogła ucałować rękę obcego mężczyzny. Trzeba było być tak zatopionym w sobie, jak byłeś ty, żeby nie spostrzedz nieprawdopodobieństwa.... A tę historyę o nagłym wyjeździe i zostawieniu listu, to gdzieś czytałem czy słyszałem, lub możem nareszcie i sam wykoncypował.

— Oh! jak z ciebie trudno spowiedź wydobyć! Powtarzam ci, że szczegóły były prawdopodobnie wymyślone lub ubarwione. Ale prawda psychiczna? Możesz mi powiedziéć otwarcie, że mi nie chcesz powierzyć tajemnicy, lecz nie każ mi wierzyć, że jéj nie ma w twém sercu. Przecież ja nie o imię lub nazwisko kobiéty cię pytam i nie pytam o nic takiego, coby mi dało wskazówkę kto ona; położenie może być takiém, że nie masz prawa ani nazwać jéj, ani wskazać — nawet najbliższym. Obchodzi mię tylko to, co się w duszy twojéj dzieje. Jeżeli więc ufasz mi i wierzysz, żeś bliski sercu mojemu......

— Oh Włodziu mój, Włodziu! Że też ty nie możesz zrozumiéć, iż to inna całkiem przyczyna.... Wcale nie brak zaufania do ciebie i do twojéj przyjaźni.... Nawet wyobrazić sobie nie możesz, jak strasznie mię męczysz.... Przecież w czyjąś ranę bolącą nie

wkładałbyś bez potrzeby nic drażniącego?... A pocóż w mojéj duszy obolałéj chcesz się grzebać? Więc dobrze! Słuchaj! Teraz już nie przerywaj.... Już wszystko jedno.... Moją duszę i zmysły, rozum i serce, rozsądek i wyobraźnię,—wszystko, wszystko we mnie aż do szpiku kości, do najgłębszych ducha kryjówek opanował obraz jednéj kobiéty.... Widzę ją we śnie i w czuwaniu,—widzę tak wyraźnie,—wyraźniéj nawet, niż ciebie w téj chwili. O czémkolwiek myśléć zaczynam, kończę zawsze na niéj. Każda moja rozmowa, mimo méj woli i wiedzy, do niéj się zwraca. Cokolwiek robię, spostrzegam, że w plan méj roboty weszła ona,—że stawiając cel inny, oszukiwałem się tylko, — że dążę tylko do niéj. I tak trwa już lata całe. Nieraz chciałbym zrzucić z siebie to jéj panowanie despotyczne. Szukam najdziwaczniejszych upojeń.... To pogrążam się w pracy, to znów biegnę, jak szalony, w pogoń za wrażeniami, sądząc, że te mię od niéj uwolnią.... Nic nie pomaga. Masz! dziś rano.... Wstałem, dziwnym jakimś wyjątkiem nie myśląc o niéj..... Podniosłem się szybko, bo mię zbudził nagle jakiś hałas.... Wyjrzałem przez okno. Przy ranném oświetleniu roztoczył się przed memi oczyma taki widok cudowny. Wziąłem ołówek i dla pamięci zacząłem szkicować w moim albumiku podróżnym główne linie pejzażu. Wtém nietylko widzę, lecz czuję najdotykalniéj, że ona stanęła za mną,oparła swą pierś o moje ramię, ręce wokół méj szyi zarzuciła, całą masą rozplecionych i rozrzuconych włosów twarzy mojéj dotyka i na mój szkic patrzy.... Zamknąłem oczy w upojeniu.... Ale po chwili przyszła rozwaga, a zarazem i strach, że mię opanowuje obłąkanie..... Zerwałem się, chcąc odegnać widmo.... Nie ujrzałem nic.... To mię nieco uspokoiło w obawach o zdrowie mego rozsądku.... Ale razem taka mną owładnęła tęsknota,— taki żal do siebie samego, żem jéj obrazu nie zatrzymał dłużéj.... I tak ciągle, codziennie. Widzę ją, czuję koło siebie—obecność jéj szczęściem mię przejmuje, ale i obawą zarazem. Nie czuję—tęsknię i wołam, żeby przyszła. Wrażliwość na rzeczy świata rzeczywistego chwilami całkiem się we mnie zaciera. Nieraz się spostrzegam, że nie słyszę zwróconéj do mnie rozmowy, nie poznaję, nie widzę znajomych.... Często czuję się na tym świecie nieobecnym.... Ah! żebyś ty wiedział co to za dziwne uczucie..........

Nagle Bohdan przerwał i śpiesznie wyszedł. Zaniepokojony tém wszystkiém, co słyszałem, pobiegłem za nim. Alem szedł zdala, bojąc się, że w téj chwili obecność moja może mu być przykrą. Biegł szybko, to znów się zatrzymywał, stawał, szedł wolniéj. To znowu jakby się wahał i znów biegł prędko. Wreszcie wszedł.... do kościoła. Zdziwiło mię to bardzo, bom pamiętał dobrze z czasów studenckich, a i późniéj mi się zdawało, że Bohdan wcale poboż-

nym nie był. Przeciwnie jego zachwyty nad poglądami życiowemi Greków i Rzymian spowodowały tę nazwę „poganina“, którą i do dziś jeszcze przypominamy czasem Bohdanowi, gdy zacznie wpadać w ekstazę w obec widoku przyrody lub sztuki, w obec piękności form. Przecież to on głosił „religię piękna“ i twierdził, że w pięknie jest dobro i prawda,—że to, co piękne, nie może być złém, ani fałszywém. A dziś.... idzie do kościoła szukać ukojenia. Może to zresztą prosty przypadek skierował jego kroki. Albo jakieś wspomnienie.... Stałem dość długo. Nie wychodził. Nie chciałem wchodzić za nim, żeby mię nie spostrzegł i nie sądził, iż znów chcę się wdzierać w jego tajemnice. Bo kto wié, czy i ta pobożność nie jest także jego tajemnicą? Wróciłem więc do domu. Bohdan tego dnia nie pokazał mi się więcéj. Wszedł wprost do swego pokoju i zamknął się na klucz.

. . . .

Jak to jednak różne bywają usposobienia duchowe. Jednym zwierzenie ulgę przynosi, innych przeciwnie—rozdrażnia.... Chcąc uspokoić Bohdana, powiększyłem jeszcze jego smutek.... Dziwne te jego halucynacye na jawie.... Czyżby doprawdy mogła być obawa o aberracyę umysłu?... W bliskim czasie zapewne nie. Ale gdyby ten stan długo potrwał... A trwa już, zdaje się, dość dawno. Trzebaby się nad tém zastanowić, obmyśléć, naradzić.... Z kimby? Oczywiście najprzód z Adasiem, ale potém należałoby może pomówić z lekarzami. A może to tylko ta nadwraźliwość artystyczna, o któréj sam Bohdan wspominał. W każdym razie trzeba poradzić się z Adasiem. Poczciwy ten Adaś!... Więc to on, nie mogąc sam mię namówić, wezwał Bohdana.... A Bohdan! Nie mówię już o tém, że umyślnie po mnie przyjechał, że włóczy się w mojém niezabawném towarzystwie od kilku miesięcy.... Ale co to za delikatność serca.... Ani razu nie wspomniał, nie zapytał o to, co mię boli, tylko wszelkich starań przykładał, żeby odsuwać odemnie trapiące myśli. Nawet swoje bolesne wspomnienia poruszał, byle mnie leczyć. A ja tak niezręcznie, tak brutalnie bólów jego dotykałem.... Piękniem mu się odpłacił!... Człowiek pogrążony w swoim smutku strasznym bywa egoistą; nie widzi, nie czuje boleści innych.... Jak my jednak mało znaliśmy Bohdana.... Sądziliśmy, że w pogoni za coraz to nowemi wrażeniami, nie jest on zdolny do zachowania żadnego na trwałe. Okazuje się, że jak na morzu wiatr pędzi po powierzchni fale w strony różne, ale u dna prądy głębokie zawsze w stałym płyną kierunku, podobnie też dzieje się czasem i w duszy ludzkiéj... A może to i prawda co Adaś mówi o zgubnych skutkach miłości romantycznéj... I Bohdan

także to samo powtarza, tylko w inny sposób i z innego punktu widzenia... Nie,—nie w miłości samej szkodliwość leży. Przeciwko słowom Adasia walczy własny jego przykład. I Bohdana nie miłość gubi, ale niemożność jéj urzeczywistnienia. Gdyby spotkał tę kobietę wcześniéj, gdyby ona była wolną i chciała życie z nim podzielić, byłby Bohdan szczęśliwy. Za późno! To straszne słowo! Z innych przyczyn, w innéni położeniu, ale i ja z a p ó ź n o spotkałem Halinę...

. . . .

Po wyrwaniu z ust Bohdana zwierzenia, unikał on widocznie przez dni kilka wszelkiéj dłuższéj ze mną rozmowy. Zresztą zachowywał się i mówił ze mną spokojnie. Rozdrażnienie minęło. Tylko stanęła jakaś przegroda między nami, pewne rozdwojenie..... Znowu inaczéj niż zwykle bywa.... Przecież zwykle zwierzenia zbliżają, łączą.... Nareszcie po kilku dniach smutniejszy jeszcze więcéj niż dotąd, ale ciągle spokojny, przyszedł Bohdan powiedziéć mi, że otrzymał od Adasia list ze wzmianką o potrzebie mego przyjazdu z powodu interesów. Potém mówił coś Bohdan o tém, że niewiadomo co pożyteczniejsze, czy prawda, czy fałsz, bo kłamstwo jest czasem dobrém lekarstwem, działającém wprawdzie paliatywnie i tylko do czasu, ale że nieraz, zyskując na czasie, aż do chwili wzmocnienia organizmu, ratuje się życie choremu,—że niewiadomo znów czy gorsze powolne, a ciągłe kłucie szpilką, czy też rana głęboka, ale raz zadana, bo taka rana, choć na razie dotkliwsza, mniéj jednak wyniszcza organizm.... Nie bardzom rozumiał o co Bohdanowi chodzi, alem się bał rozpytywać, żeby znów nie poruszyć bólów jego serdecznych. Ale com zrozumiał doskonale, to wiadomość, że *-owie przyjechali już w Poznańskie. Odtąd myśl powrotu owładnęła mną całkowicie. Bohdan nie powstrzymywał mię w zamiarze, lecz sam wybierał się jeszcze w dalszą podróż. Przed rozstaniem dziękowałem mu za jego troskliwość i prosiłem o wybaczenie, żem mu, mimo mej woli, dolał goryczy do serca. On się uśmiechał tylko smutnie i jeszcze mnie przepraszał, że był ze mną zbyt szorstki w ostatniéj rozmowie. Co to za złote serce! I jaka delikatność, jaka subtelność duchowa!

. . . .

Pociąg dochodzi już do Poznania. Smutny i biédny ten nasz kraj. Spotyka się tu dwa gatunki twarzy. Jedne z wyrazem przygnębienia,—drugie tryskające arogancyą. Szczególniéj ta dwoistość typów uderza, gdy się wraca z obczyzny. Który téż typ przeważy w przyszłości? Siła jest po stronie tego aroganckiego typu. Ale czy w sto lat po Białéj-Górze mógł kto myśleć, że Czechy będą kie-

dykolwiek czeskie? A jeżeli w Poznańskiém wszystko wali się i upada, to chłop tutejszy tężeje na duchu i coraz bardziéj nabiéra świadomości siebie. I coraz więcéj pracowity jest, oszczędny a roztropny. Ten zdaje się przetrzyma wszystkie burze. Ciekawy też jestem, jaka jest różnica ilości urodzeń w dwóch narodowościach tutejszych. To ważny,—może decydujący o przyszłości czynnik. Wjeżdżamy w fortyfikacye. Zdaje się, jakby znów przybyło więcéj bastyonów i okopów. Kiedyż temu będzie koniec?

. . . .

Nareszcie jestem w domu. To przysłowie, że „w domu najmiléj“ jest prawdziwem nawet wtedy, gdy dom taki jest smutny, jak mój. Nikt się z mego przyjazdu nie cieszy, nikt mię w domu nie czeka. A jednak i ta pustka ma siłę przyciągającą. Serce się przyzwyczaja nawet do martwego otoczenia i wita znane sobie kąty z radością. Ah!... listy!.... Co to? Zaproszenie na ślub panny Haliny!?! I dla czego skrywano przedemną?.. To pewno w skutek wiadomości o tym ślubie, Bohdan robił jakieś alluzye, których nie zrozumiałem. A mówią, że serce miéwa przeczucia... Ja nie miałem żadnych... Dziwna rzecz, jak mię ta wiadomość mało wzruszyła. Ale z kim, z kim ten ślub?... Nie doczytałem karty inwitacyjnéj... Z Ludwiczkiem! Z tym głupim Ludwiczkiem, co ma jedyną zaletę, że ładnie tańczy... Oh nie, nie jedyną... Jest młody!... Dla czego kobiety inteligentne tak często wychodzą za mąż za ludzi daleko niżéj umysłowo stojących? Czyżby i tu przyroda występowała ze swemi potrzebami krzyżowania kontrastów i tworzenia typów przeciętnych. Może to tak samo, jak mężczyźni olbrzymi czują pociąg do kobiet drobnych, a mali do ogromnych... I łączą się, sądząc, że dogadzają swemu upodobaniu, a nie wiedzą, iż są tylko bezwiednymi wykonawcami celów przyrody... Dla czego jednak ja nazywam Ludwiczka głupim? Znam go tak mało... Głupota i inteligencya są rzeczą względną... Zresztą ja nie mogę być sędzią bezstronnym... Głupi czy nie głupi, w każdym razie Ludwiczek więcéj korzyści przyniesie społeczeństwu niż ja. Po nim może zostać jakiś ślad istnienia—dzieci, wnuki. Między tém potomstwem mogą być ludzie użyteczni, bardzo zasłużeni, mogą być nawet geniusze. Zresztą samo powiększenie liczby... A po mnie co zostanie? Nic, nic i nic... Przejdę, jako cień,—bez śladu. To też, gdybym mógł wejść na taką kazalnicę, z któréjby mię całe społeczeństwo nasze słyszało, wołałbym głosem donośnym do młodzieży naszéj: Najgłówniejszym waszym obowiązkiem społecznym jest wczesne założenie rodziny. Nie zaniedbujcie zadań innych, ale to uważajcie za najpierwsze i najpożyteczniejsze. Żeńcie się, pókiście młodzi, bo, gdy młodość minie, będzie za późno! A dzieci wasze to przyszłość.

Czego wy nie zrobicie, to mogą jeszcze zrobić następne wasze pokolenia. Czy by mię jednak usłuchano? Choćbym kazał jak Skarga, to i Skargi przecie nie słuchano..... Czyż wreszcie usłuchać podobna?.... Długo jeszcze w społeczeństwie naszém pójdą rzeczy po dawnemu. Z młodych będą się przedewszystkiém żenili ci, którzy nie myślą o niczém, lecz idą za pierwszym popędem.... To jeszcze najszczęśliwsza kategorya.... Idą za prawem natury, to téż natura ich wynagradza w młodości niczém niezamąconą wesołością, a późniéj dobrym apetytem, wybornym snem i kwitnącą jak piwonia cerą. Zato z dziećmi ich różnie bywa. Synowie kierują się na żebraków, na wykolejonych włóczęgów.... Córki czasem jeszcze gorzéj.... Będą się również wcześnie żenić niby młodzi starcy duchowi, szukający tak zwanéj „polskiéj karyery", t. j. bogatego ożenku. To przecież jedyna prawie karyera, jaką obecnie w Poznańskiém polak zrobić może. A ci właśnie, co pracują nad wytworzeniem karyery innéj, co oprócz przyjemności osobistéj nie zapominają i o obowiązkach względem przyszłéj rodziny — ci, prócz niewielu szczęśliwych wyjątków, będą tracić w ciężkiéj pracy całą młodość pierwéj, nim zdołają zdobyć pozycyę, dającą możność utrzymania rodziny i wychowania dzieci.... Ale pożądanie miłości im dłużéj tłumione, tém z większą wybucha mocą i tém bardziéj bywa niepokonane. A ponieważ przyszło zapóźno, więc najczęściéj niepodzielane, nieurzeczywistnione, zamiast być źródłem szczęścia i siły, jest źródłem cierpienia duchowego i apatyi. Młodość ze smutnych, choćby najsilniejszych wrażeń otrząsnąć się umié. Ale w późniejszym wieku człowiek traci elastyczność duchową.... I tak już ze smutkiem swoim umiera. . . . .
. . . .

Nigdzie się nie pokazuję, nie wychodzę.... Nie dla tego, żebym unikał ludzi, ale do nich nie tęsknię. Przytém, jak to zwykle po długiéj niebytności, massę mam roboty. Adaś kochany codziennie prawie jest u mnie. Widzę że mi się przygląda badawczo, ale wychodzi uspokojony. Ja sam czuję, żem dziwnie spokojny. Ślub panny Haliny już za parę dni. Myślę o niej, jako o obcéj zupełnie. Nie mogę tylko przemódz na sobie, żeby pójść do jéj rodziców i złożyć powinszowania. Zresztą oni nie wiedzą pewnie o moim przyjeździe.
. . . .

Czy pójść na ślub Haliny, czy nie pójść? U nikogo ze znajomych nie byłem jeszcze z wizytą... Nie liczę oczywiście Adasiostwa... A więc oficyalnie biorąc, nie ma mię jeszcze w Poznaniu... Przeciwko światowym obowiązkom etykiety nie zgrzeszę przeto, jeżeli nie pójdę. A im wszystko jedno, czy będzie jednym zaproszonym wię-

céj, czy mniéj. Halina zajęta swoim wybranym, ani zauważy nawet... Nie pójdę.

. . . .

Więc już za parę godzin... Teraz pewnie ona ubiera się do ślubu... Nie mogę się nadziwić swemu spokojowi. Nic a nic mię to nie obchodzi... Tylko niezdrów dziś trochę jestem, ale to przecież nie ma żadnego związku... Czuję jakieś zimno; dreszcze mię przechodzą. Prawdopodobnie z niewyspania. Źle spałem téj nocy......

— Przechodziłem koło twego mieszkania i wstąpiłem, żeby zobaczyć co porabiasz. Ani zajrzysz do nas... Coś mi źle dziś wyglądasz!

— Zdaje mi się, że mam trochę febry; — nie wiem czy z niewyspania, czy z przeziębienia. Chociaż doprawdy nie wiem, gdziebym się mógł przeziębić.

— Napij się przed wieczorem parę szklanek dobrego starego wina. Poczekaj, ja ci za godzinkę przyślę butelkę, z tych, które u mnie już od dziesięciu lat stoją. Takiego nie dostaniesz w handlu. A jutro, jeśli ci nie będzie lepiéj, zażyj zrana chiny. Ja zresztą sam tu rano zajdę do ciebie i zobaczę. Może trzeba będzie wezwać lekarza.

— Dziękuję ci, mój Adasiu, ale to z pewnością do jutra przejdzie.

— A czy to nie...? Wybacz mi Włodziu, że téj kwestyi dotknę; ale zdaje mi się, żeś już teraz spokojniejszy nieco, niż byłeś przed wyjazdem.... Przynajmniéj więcéj panujesz nad swoim smutkiem.... Więc mogę mówić?.....

— Ależ możesz, możesz. Pewnie chcesz mię zapytać, czy nie oddziaływa na mnie ta okoliczność, że to dziś, za jaką godzinę lub półtory ślub panny Haliny?... Widzę, że nawet jesteś we fraku..... Żona zapewne cię czeka, a ty tu marudzisz. Śpiesz że się.... O mnie nie miéj żadnéj obawy. Ta lekka niedyspozycya przejdzie. Co zaś do ślubu, to ten wcale na mnie wrażenia nie robi. Widzisz, że jestem spokojny.....

— No, niby to tak, ale niezupełnie. Żona moja, jeżeli nie wrócę do domu za.... za czterdzieści ośm minut, podług mojego zegarka i podług zegara stojącego w jéj buduarze na kominku, to nie będzie na mnie czekać, ale pojedzie do kościoła z ciotką. Uprzedziłem ją nawet, że może wcale nie będę w kościele, ale się zjawię trochę późniéj wprost do państwa *-ów.

— Zapewniam cię mój Adasiu, że przesadzasz w swojéj troskliwości i obawie. Wierz mi, że nie masz powodu do kłopotania się o mnie. Wracaj Adasiu, wracaj do domu, do pani Madzi.

— Pójdę już zaraz, pójdę. Wiem, że czasem lepiéj zostać samemu. Chcę ci tylko jeszcze powiedzieć, że otrzymałem dzisiaj list od Bohdana. .

— Cóż pisze?

— Wybiéra się w oryginalną podróż — na wschód, do Azyi Mniejszéj.... Będzie i w Jerozolimie... Wypytuje się o ciebie, o.... wspólnych naszych znajomych. Zresztą ton listu choć głęboko smutny, ale spokojny.... Nie taki,—niby to wesoły i szyderski, a bólem serdecznym krwawiący, jak bywają czasem jego listy.... Tylko zdaje mi się, że zaczyna Bohdan wpadać w jakiś mistycyzm religijny.... Ale wiesz co Włodziu, że mi listy jego a szczególniéj ostatni dziwną nasuwają myśl. Może się mylę.... Ale to wypytywanie o drobne nawet fakta, powtarzanie kilkakrotne, żeby o wszystkiém mu napisać jak najdokładniéj.... On ją zna dużo dawniéj niż ty.... Wiele jeszcze, wiele drobnych wskazówek.... Słowem, zdaje mi się, że jego ideał jest ten sam....

— Co ty mówisz Adasiu?! Nie, to niepodobna! On mówił o kobiécie zamężnéj.... Opisywał jéj powierzchowność całkiem inaczéj.... Nie, ty się mylisz, mój drogi!

— Może się mylę, a może się i nie mylę. W każdym razie nie sprawdzimy tego pewnie już nigdy. On swoją tajemnicę poniesie naprawdę do grobu. U niego to nie frazes. Dziwny człowiek. Wszak uważałeś nieraz, że on o wszystkiém będzie mówić chętnie, ale o tém, co się w jego sercu dzieje nigdy ani słowa. Albo milczy, albo się wykręca żartami, bajeczkami, wierszykiem. Nie żąda, żeby w te bajeczki wierzono, tylko używa ich za puklerz przeciw natrętom, jakby chciał niemi powiedzieć: „*Noli me tangere*“. A jeżeli w chwili jakiegoś zapomnienia uchyli rąbka maski, to potém gryzie się i truje i ucieka. Chora dusza. Ale jaka sympatyczna!... Opowiadałeś mi jak pobiegł do kościoła... Teraz znów pojechał do Jerozolimy .. Kto wié, w jaką stronę myśli się jego kierują... Ha może w tém znajdzie ukojenie. Czasem myślę, że z tobą może być gorzéj. Bohdan nosi maskę w obec ludzi tylko, a ty nawet w obec siebie samego. Chcesz koniecznie w siebie wmówić, żeś spokojny. A w czémby dla ciebie uspokojenie rzeczywiste znaleźć — nie wiem... Oh wiem, wiem, co wszystkie twoje władze duchowe by zajęło!.. Ale na to trzeba zbyt wielkich zmian... No, ale do widzenia już, mój Włodziu. Myślę, że ci lepiéj będzie w samotności. Jutro rano przyjdę tu dowiedzieć się o twoje zdrowie. A gdyby ci było niedobrze w nocy, przyślij natychmiast do mnie, a właściwie do *-ów po mnie. Ja już zajmę się sam sprowadzeniem lekarza. Nie zrobisz mi żadnego ambarasu. O godzinie 3 minut 5o chciałbym wyjechać z wesela, żeby

punkt o 4 być w domu. W tym wypadku jednak może zgrzészę przeciw punktualności, bo będę z żoną, więc jeżeli się ona zatańczy... Nie wychodź do przedpokoju, boś niezdrów, a tam znacznie chłodniéj niż tu. Do jutra zatém!...

I słyszałem jak jeszcze w przedpokoju Adaś kochany dawał instrukcye memu służącemu, żeby zapalił w piecach,—żeby nalegał na to, bym się napił wina, które zaraz będzie przyniesione, a potém gorącéj herbaty,—żeby uważał w nocy, czy nie będzie mi gorzéj, i w takim razie, żeby zaraz przybiegł do pp. *-ów i wywołał go ztamtąd.

. . . .

Co chciał Adaś powiedzieć przez to, że ja sam przed sobą maskę noszę... Kiedy ja naprawdę czuję się spokojnym... Tylko mię taka apatya ogarnia, niechęć do życia... Szczęśliwy ten Adaś... Chociaż kto to wié; może on tylko lepiéj od nas się maskuje... W każdym razie, choćby i miał smutki na duszy, to rodzina jest jego pociechą... Bo że on kocha swą rodzinę i w kółku rodzinném otuchę do życia czerpie, to nie ulega wątpliwości... Czyż jednak ten, kto nie ma rodziny, niczém jéj już zastąpić nie może... Skoro nie będę mieć rodziny własnéj, to cały kraj będzie mi rodziną, a wszystkie dzieci téj ziemi memi dziećmi... I czyż człowiek bezżenny zupełnie już ma być nieużyteczny dla społeczeństwa. Są posterunki niebezpieczne, na które ojca rodziny posyłać się nie godzi... Tam właśnie powinni iść bezżenni... Lekarz bezżenny może jechać choćby do kraju, gdzie dżuma panuje, misyonarz może roznosić cywilizacyę wśród dzikich z narażeniem swego życia, żołnierz może iść odważnie w obronie swego kraju na plac boju... I nie zadrży im serce w chwili niebezpieczeństwa, bo... nikt po nich nie zapłacze... Jednak to straszne— być tak samemu, zupełnie samemu na świecie całym....

...Godzina 7¼. Kościół z pewnością już pełny. Teraz państwo młodzi stają przed ołtarzem. I łączą się na całe życie! Całe życie!! Jeżeli szczęśliwe, to zbiegnie jak jedna chwilka. Ale jeżeli się wlecze smutnie, tak jak moje, to bardzo długie,—strasznie długie. Bo co ja miałem kiedy wesołego w przeszłości? Te kilka lat, póki żyła matka moja.... Ale ona znów była tak smutna zawsze, że mnie, dziecku małemu, śmiéch zamierał na ustach, gdym patrzył na nią. A potém?! Potém byłem wśród obcych całe życie. Nigdy kółka domowego, rodzinnego... Najgorsze te kilka lat w Niemczech, po skończeniu uniwersytetu. Wtedy czułem się nie tylko wśród obcych, ale jeszcze wśród nieprzyjaciół. A teraz co mię czeka?... Ah żeby się to wszystko prędzéj raz skończyło!... Tam przynajmniéj będzie cisza, spokój, Nirwana.... To dopiéro prawdziwe ukojenie! Nic nie czuć i nic nie pamiętać! Co za rozkosz!!!... W ogóle

buddaizm wiele prawd w swych poglądach na życie ludzkości zawiera. Tylko trzeba umieć odróżnić symbolikę od myśli przewodniéj... Tak jak we wszystkich religiach... Naprzykład metampsychoza dusz... Czyż nauka, czy po prostu obserwacya życia nie stwierdza, że metampsychoza istnieje? Tylko trzeba ją rozebrać z szat cudowności i przypadkowości, trzeba ją obserwować jako zjawisko przyrodnicze, podległe pewnym prawom. Atawizm,—to właśnie metampsychoza. Jakiś pra-prawnuk podobny jest do swego pra-pradziada nie tylko fizycznie, ale i duchowo... A więc dziedziczy duszę czyjąś, duszę tego, który żył przed wieloma pokoleniami, przed wiekami. Nie zbadaliśmy praw tak zwanego atawizmu przeskakującego, t. j. odbijającego się wyraźniéj w jakiemś 4-tém, może w 12-tém, w 40-m pokoleniu, niż w pierwszém, ale na sam fakt istnienia podobnego zjawiska zwrócili uwagę przyrodnicy... Tym sposobem kto nie zostawia dzieci, ten utraca możność przelania swéj duszy, utraca swą nieśmiertelność.....

.....Godzina 8. Już musi być po ślubie.... Teraz przyjeżdżają do domu. Widzę, jak ich przyjmują, otaczają, winszują, życzą... Oni szczęśliwi... Wierzą w przyszłość... Szczęśliwy, kto w cokolwiek wierzy... Nawet taką zbolałą duszę, jak Bohdana, wiara ukoić może... Żebym ja mógł uwierzyć w przyszłość swego kraju!...... Zdaje się, że w przyszłości nieuniknioną jest walka zacięta między Słowiańszczyzną a rassą germańską. Kto w téj walce zwycięży?... Należałoby przypuszczać że Słowiańszczyzna, jako rasa młodsza, późniéj wchodząca do historyi... Nim jednak to zwycięstwo ostatecznie nastąpi, długo jeszcze mogą trwać porażki częściowe, a w tych porażkach iluż może być straconych nawet ze zwycięskiéj strony.... My stoimy na tak wysuniętym posterunku, tak otoczeni jesteśmy dokoła falą germańską, że stanowimy być może straconą placówkę... W bitwach ludzie są często niczém... Całe pułki idą na zapełnienie foss przed obozem nieprzyjacielskim,—idą „na faszynę", po któréj oddziały następne biegną do zwycięstwa... I kiedy taki pułk na pewną śmierć iść nie chce, to go z tyłu popędzają ogniem karabinowym i armatami. . . . .

Ale się zdarza, że posterunek, ogólnie już uważany jako stracony i sam ocaleje i innych ocali.... Trzeba tylko, żeby się znaleźli tacy Kordeccy, jak w Częstochowie.... Tak, ale właśnie Kordeckiego siła w tém była, że wierzył.... A jeśli się nie wierzy, to w czém czerpać siłę? Czy nie lepiéj wówczas szukać spokoju, téj właśnie Nirwany buddyjskiéj? . . . .

Nie, niewolno! Siłę trzeba czerpać w poczuciu obowiązku. Szuler tylko, po zgraniu się w Monaco, może tak przerwać swe życie.

Ale pracownik uczciwy hańbą kończyć nie powinien. Tak nas mało i tacyśmy słabi w porównaniu z uciskającym nas kolosem germańskim!.... Nie uciekać przeto od pracy, ale wszystkie siły wytężyć każdy z nas powinien..... Jeżeli zerwanie z łupieżcami jest czynem szlachetnym, a w razie gdy łupieżcy silni i niebezpieczni, nawet heroicznym, to dezercya z biednéj, małéj, opuszczonéj, napastowanéj, broniącéj bytu swego załogi jest sromem... Choćbyśmy nawet byli „morituri", umrzyjmy ze czcią bez skazy. . . . .

A może, może odwróci się od nas, lub osłabnie ta fala germańska. Może i dla nas słońce zaświta. A wówczas jaka zasługa tych, którzy wytrwali! Więc byle wytrzymać, byle przetrzymać!... A co tylko jest w siłach ludzkich, to wszystko nasz chłop poznański ze swym spokojnym i biernym, ale niewzruszonym i niepokonanym uporem wytrzyma i przetrzyma. . . . .
. . . .

Oh, jak mi zimno! Brr!! Która téż to godzina? Co!?! Już druga po północy?...... Teraz tam kolacya weselna. Wznoszą toasty, piją ich zdrowie........

Ah! I przedemną stoi butelka wina!... To ta pewnie, którą Adaś przysłał.... I otwarta.... I szklanka przy niéj.... Jakby umyślnie, żebym i ja wypił za zdrowie nowożeńców. Ha, ha, ha!.. Tak mi zimno.... Dobrze, wypiję.... I nawet wypiję z życzeniem szczęścia Halinie.... Bo i dla czegóż bym ja nie miał życzyć jéj szczęścia? Zasługuje na nie. A że mnie nie kocha, to trudno.... Serce nie sługa..... Że ona mnie nie pokochała, to wreszcie nic dziwnego.... Ale jeśli to ją rzeczywiście Bohdan tak ukochał, ona zaś nad Bohdana przełożyła Ludwiczka..... Nie! to już szczyt ironii życia..... Ale Bohdan ma tę samą wadę, co i ja. Jest za stary dla niéj.... A w dodatku „chora dusza", jak mówi Adaś.... A Ludwiczek głupi, bo głupi setnie, ale za to młody i „zdrów numer." Zdrów na ciele i na duszy. Ta ostatnia wprawdzie bardzo pozioma, „gruboskórna", jeśli duszę tém mianem zoologicznćm nazwać można, ale téż takie dusze mniéj się zużywają.... Ponieważ mi jeszcze wciąż zimno, to wypiję.... za zdrowie Ludwiczka.... On co prawda i bez tego zdrów, ale niech tam.... Od przybytku, powiadają, głowa nie boli. Więc za zdrowie wszystkich głupich, ale młodych Ludwiczków!.... Ha, ha, ha!... No, teraz wypadałoby mi z kolei wypić zdrowie przyszłéj „konsolacyi". . . . .

Nie, nie mogę!!!

Oh, matko moja! Gdybyś ty żyła jeszcze, to pożałowałabyś swoje biedne dziecko! Dla ciebie ja nigdy nie byłbym stary. Utuliłabyś mię, upieściła i do snu cichego ukołysała. . . . . .

Co mię tak pali w oczach?... Co to? Łzy?.... Jak baba płaksiwa!.... Ale mi lżéj jakoś na sercu.....

Chciałbym sobie przypomnieć zakończenie tego, tak fatalnie stosującego się do mnie wiersza Asnyka, ale mi pamięć niedopisuje..... Wezmę książkę.... Oto ostatnia strofa:

„Śmieję się i piję wino
„Mięszane z łzami
„I patrzę piękna dziewczyno
„W swą przeszłość pokrytą mgłami
„I piję wino....."

. . . .

I spokojniejszy znacznie wypiłem.... za ich dzieci, za całe tuziny dzieci..... Bo dzieci, to przyszłość nasza,—przyszłość kraju.......

Getko-Zboryszowski.





PAŃSTWOWE KASY UBEZPIECZENIA ROBOTNIKÓW

NA WYPADEK STAROŚCI I NIEUDOLNOŚCI DO PRACY,

oraz nowe projekty przymusowego w nich udziału we Francyi, Anglii i Niemczech.

Źródła: Dr jur. M. von der Osten. *Die Arbeiterversicherung in Frankreich*. Lipsk, 1884.— E. Beauvisage. *Guide du déposant à la Caisse des retraites pour la vieillesse*. Paryż, 1881.— Henri de Beaumont. *La nouvelle loi sur la Caisse nationale de retr. pour la vieil.* W *Journal des Econ.* z września 1886.—*Rapport de la commission supérieure de la Caisse nat. des retr. pour la vieil. au Prés. de la Rép. sur les opérations et la situation de cette caisse. Années* 1880, 1881, 1882, 1883 *et* 1884. Paryż 1887 — *Instruction à l'usage des déposants et des intermédiaires de la C. n. d. r. p, la v.*— Nadto taryfy tej kasy i odnoszące się do niej prawa z różnych czasów.—Wilhelm Hasbach. *Das englische Arbeiterversicherungswesen*. Lipsk, 1884. — Dr. J. M. Baernreither. *Die englischen Arbeiterverbände und ihr Recht*. Tubinga, 1886.—William Lewery Blackley. *Compulsory Providence* w *Contemporary Review* z Lipca 1879. — Dr. P. F. Aschrott. *Das Projekt einer allgem. obligat. Alters und Krankenversicherung in England.* w *Jahrb. für Nationalök, und Stat.* Conrada z Grudnia r. 1887. — Deutsches Reich. *Grundzüge zur Alters- und Invalidenversicherung der Arbeiter*.— Prof. J. Platter. *Die geplante Alters- und Invalidenvers. im Deutschen Reich.* w *Archiv für soziale Gesetzgeb. u. Statistik.* Pierwszy zeszyt z r. b. — Prof. Lujo Brentano. *Die beabsichtigte Alt. u. Inv. Vers. für Arbeiter und ihre Bedeutung.* W *Jahrb.* Conrada ze stycznia r. b.

Przeprowadzone przed kilkoma laty w parlamencie niemieckim przez ks. Bismarka, prawo o obowiązkowém ubezpieczeniu robotników przeciwko brakowi środków do życia w razie choroby, lub nieszczęśliwego wypadku przy pracy, oraz świeżo opracowany projekt do prawa o przymusowém zabezpieczeniu wszystkich pracowników niższych kategoryi w cesarstwie niemieckiém na wypadek nieudolności do pracy, lub późnéj starości, pobudziły umysły uczonych i mężów stanu i w innych również państwach do zastanowienia się nad pożytkiem i wykonalnością tych reform. We wszystkich prawie pismach, zajmujących się kwestyami społecznemi, spotykamy mniéj więcéj obszerne artykuły, poświęcone temu przedmiotowi. Ponieważ, jak donoszą gazety, i rosyjskie sfery rządzące wzięły tę sprawę pod rozwagę i poleciły podobno, czy też mają polecić wypracowanie projektu do ustawy o zabezpieczeniu robotników na wypadek starości i nieudolności do pracy, przeto nie od rzeczy będzie rozpatrzéć dokładniéj, co w trzech największych pań-

stwach Zachodniéj Europy dotąd na tém polu zrobiono i co się na przyszłość w tym kierunku projektuje.

Głośne rozprawy w parlamencie niemieckim i szumnobrzmiące obietnice i przechwałki potężnego kanclerza sprawiły, iż większość publiczności tak niemieckiéj, jak i nieniemieckiéj uważa „żelaznego księcia“ za pierwszego wśród mężów stanu inicyatora sprawy ubezpieczenia robotników przez państwo. Tymczasem w rzeczywistości jest on tylko uczniem przodowników drugiéj rzeczypospolitéj francuskiéj i jéj byłego prezydenta, a następnie cesarza, Napoleona III, uczniem jednak—winniśmy tu dodać—zdolnym i śmielszym, chociaż mniéj może roztropnym od mistrza. Przekona nas o tém poniższa historya założenia i funkcyonowania „państwowéj kasy zabezpieczenia starości“ we Francyi (*Caisse des retraites pour la vieillesse*).

Zniesienie przez wielką rewolucyą cechów i związków czeladniczych, które między innymi miały na celu wspieranie podupadłych i nieudolnych do pracy rzemieślników, wywołało nieodzowną potrzebę utworzenia jakiejś innéj instytucyi, którąby owemu celowi czyniła zadość. Potrzeba ta była tém bardziéj naglącą, że nowe warunki produkcyi na wielką skalę coraz powiększały liczbę ludzi, mających za jedyne źródło utrzymania swego bytu pracę rąk własnych. Skutkiem tego, pomimo że prawo surowo zabraniało wszelkich związków rzemieślniczych, robotnicy poczęli tworzyć między sobą stowarzyszenia wzajemnéj pomocy na wypadek niepomyślnych obrotów życiowych. O ile stowarzyszenia takie nie wykraczały po za obręb ściśle filantropijnych dążności, władze, uznając ich pożyteczność, nie stawiały przeszkód ich rozwojowi, przestrzegając tylko, by nie wspierały robotników strejkujących. Dzięki temu idea asocyacyi czyniła szybkie postępy i oddawała swym wyznawcom prawdziwe usługi w razie choroby i innych nieszczęśliwych wypadków. Zachęcone powodzeniem, niektóre zamożniejsze stowarzyszenia wprowadziły do swego programu ubezpieczenie członków na wypadek starości i trwałéj nieudolności do pracy. Sprawa ta jednak wymaga zbyt złożonego rachunku i wielkiéj przezorności w szafowaniu funduszami, by sami robotnicy mogli jéj podołać. To téż stowarzyszenia, które się tego trudnego zadania podjęły, najczęściéj wkrótce upadały pod jego ciężarem. Równolegle z temi usiłowaniami stowarzyszeń robotniczych poczęły się szerzyć wśród drobnego mieszczaństwa i urzędników t. zw. tontyny, a rozmaitego rodzaju szalbierze nie omieszkali skorzystać ze sposobności i, obiecując swym klientom złote góry, wyłudzali ostatni grosz od ubogich ludzi, pragnących sobie tą ofiarą zabezpieczyć spokojną starość.

Taki stan rzeczy wskazywał wyraźnie na konieczną potrzebę wdania się w tę sprawę państwa i przedsięwzięcia przez nie jakichś pozytywnych środków, któreby dały możność jednostkom pracowitym i oszczędnym pewnego zabezpieczenia sobie jakiego takiego bytu na czas starczéj nieudolności. Wskutek tego wśród uczonych i mężów stanu powstała myśl założenia przez państwo ogólnéj kasy emerytalnéj dla całéj Francyi. Plan takiéj kasy podjęty został pierwotnie jeszcze za Ludwika Filipa przez wolną komisyą, do któréj należało wielu najznakomitszych ówczesnych ekonomistów, jak Wołowski, Passy, Rodrigues, Gasparin i inni. Komisya ta w r. 1846 złożyła wypracowany przez siebie memoryał ministrowi finansów, a król przy otwarciu izb prawodawczych w roku następnym zapowiedział przedstawienie projektu do prawa o zastosowaniu kas oszczędności do wspierania robotników na starość. Rewolucya z r. 1848 przeszkodziła urzeczywistnieniu téj zapowiedzi, lecz już 10 maja t. r. Wołowski złożył w konstytuancie wniosek zarządzenia ankiety co do położenia robotników rolnych i przemysłowych, a wybrana w tym celu „komisya pracowników" podzieliła się na kilka podkomisyi, z których jednéj, złożonéj z 9 członków i nazwanéj *comité du travail*, powierzono opracowanie projektów zabezpieczenia robotników od chorób i starości. „Komitet pracy" złożył 19 lutego 1849 obszerny elaborat, w którym motywował dwa projekty do praw: o stowarzyszeniach wzajemnéj pomocy i o państwowéj kasie emerytalnéj. Zanim jednak projekty te przyszły pod obrady, konstytuanta rozwiązana została. W nowém ciele prawodawczém przedstawił deputowany Lestiboudois d. 28 maja wniosek o zaprowadzeniu obowiązkowego ubezpieczenia starości, a 2 czerwca podniósł znowu Dufournel projekty byłego „komitetu pracy". Oba te wnioski przekazane zostały osobnéj komisyi, która wkrótce otrzymała jeszcze wiele innych, często utopijnych, projektów i 6 października złożyła z nich sprawozdanie i swoje wnioski. W czasie obrad nad nimi oświadczył minister handlu i rolnictwa, Dumas, iż gabinet ma wkrótce ze swéj strony przedstawić odpowiedni projekt i pragnie tylko dowiedzieć się, jakie poglądy w ciele prawodawczém przeważają. Wskutek tego oświadczenia obrady zostały przerwane i projekt rządowy przekazany również tejże komisyi, a następnie przedstawiony wraz z jego dopełnieniami przez Benoist'a d'Azy, pozyskał moc prawa w d. 18 czerwca r. 1850.

Obrady nad wszystkimi tymi projektami były tak pouczające, że nie wahamy się ich tutaj przytoczyć w możliwie najkrótszém streszczeniu, poczém dopiero podamy treść prawa. Otóż przedewszystkiém podniesiono kwestyą, jaka droga zabezpieczenia staro-

ści byłaby właściwsza: oszczędność, czy ubezpieczenie. Zwolennicy kasy emerytalnéj przytaczali argument, iż ubezpieczenie pozwala osiągnąć zamierzany cel daleko taniéj i pewniéj, gdyż naprzód składki wszystkich uczestników kasy przypadają na korzyść jedynie tych, którzy rzeczywiście starości doczekają, a zatém mogą być niższe, powtóre—raz złożone sumy nie mogą już być cofnięte i użyte na przemijającą potrzebę chwili, jak się to często dzieje w kasach oszczędności. Obrońcy systemu oszczędzania, a nadewszystko główny ich przedstawiciel, Thiers, starali się zbić te wywody uwagą, iż byłoby rzeczą wysoce niemoralną, gdyby państwo przez założenie kasy emerytalnéj zachęcało robotników do troszczenia się jedynie o swoję własną przyszłość z zupełném zapomnieniem o przyszłości rodziny. Skutkiem téj uwagi zaproponowano ze strony przeciwnéj, ażeby złożony przez każdego uczestnika kapitał zwracany był po jego śmierci spadkobiercom i tylko procenta składane od poczynionych przez niego wniosków obracane były na zapewnienie mu emerytury. Ponieważ jednak spadek w ten sposób zapewniony rodzinie byłby nader mały, a wkładałby na nią obowiązek pomocy dla zbyt szczupło uposażonego emeryta, przeto postanowiono zostawić do woli każdego uczestnika kasy, czy zechce zarezerwować na rzecz swych spadkobierców złożony przez się kapitał, czy nie. Wobec takiego rozstrzygnięcia kwestyi zaprojektowano jeszcze, ażeby po śmierci emerytów żonatych wypłacano pewną część ich emerytury wdowom. Ze względu jednakże na niemożliwość prowadzenia ścisłéj rachunkowości przy takim systemie emerytur wdowich, wniosek ten upadł, a natomiast przyjęto inny, mianowicie, ażeby składki, wnoszone przez osoby żyjące w małżeństwie, stale dzielone były na dwie równe części, z których jedna zapisuje się na rachunek męża, druga na rzecz żony, i emerytura oblicza się dla każdego z małżonków oddzielnie, na podstawie przypadających na jego dobro wniosków

Pomimo tych zmian projektu zwolennicy kas oszczędności, a zwłaszcza Thiers, Buffet i Raudot, nie chcieli się zgodzić na zasadę ubezpieczenia, dowodząc, że nadewszystko dla robotników rolnych i rzemieślników (Thiers nawet nie chciał uznać wyjątku i dla robotników fabrycznych) daleko korzystniéjby było zaoszczędzić sobie pewien kapitalik na zakupienie kawałka ziemi, lub założenie warsztatu, aniżeli nabyć rentę dożywotnią. „Taki robotnik, któryby się własną siłą na przedsiębiorcę wyrobił, otrzymałby emeryturę, według słów Thiersa, nie od zimno obrachowującéj kasy, ale z wdzięcznéj ręki kochającego dziecka, któremuby warunki bytu polepszył". Kiedy jednak Benoist d'Azy odpowiedział na to, że

nikt nigdy nie utrzymywał, iż ubezpieczenie pensyi dożywotnich usunie wszelkie ludzkie cierpienia, lecz że jest to tylko jeden z wielu środków, jakimi społeczeństwo powinno się starać o podniesienie niższych warstw ludności—utworzenie państwowéj kasy emerytalnéj w zasadzie przyjęte zostało.

Następnie przyszła na stół sprawa przymusu, oraz dopłaty ze strony państwa i pracodawców. Tu zaraz Thiers przedstawił z wielką przesadą niesłychane trudności finansowo-techniczne administrowania kasą w razie, gdyby wszyscy obywatele Francyi przymuszeni byli do niéj należéć. W odpowiedzi na to jeden z mówców zaproponował ustanowienie specyalnego podatku, pobieranego od wszystkich obywateli, i wypłacanie z tego źródła pensyi dożywotnich wszystkim starcom, lecz wniosek ten upadł bez dyskusyi. Wtedy postawiono znowu projekt ograniczenia przymusu do pracowników przemysłowych, lecz i tu przeciwnicy uznali niepodobieństwo obliczenia wysokości zarobku i oznaczenia normy potrąceń przy płacy od sztuki, oraz przy pracy domowéj i zajęciach niestałych. Nadto dowodzono, że zmuszanie do oszczędności zniweczy całkowicie jéj moralne znaczenie, że robotnik, nawykłszy do tego, ażeby inni dbali o niego, przestanie sam dbać o siebie (!), że składkę do kasy będzie uważał za pewnego rodzaju podatek i na wszelkie sposoby będzie się starał od niego wymknąć, że wreszcie tym sposobem zostanie stworzona klasa ludzi, która nie będzie miała całkowitego prawa własności do swego zarobku. W końcu deputowany Barrault, powołując się na zdanie Napoleona, że niedorzecznością jest zachęcać do oszczędzania na przyszłość tego, kto w obecnéj chwili wyżyć ze swego zarobku nie może, dowodził, iż dochody robotników nie wystarczają na to, ażeby sobie sami zabezpieczali starość. Dla osiągnięcia dostatecznéj renty musiałby robotnik płacić składki, bez żadnéj przerwy i w stosunku dość wysokim do skromnych swych środków. Gdyby więc zajęcia nie znalazł i płacić nie miał z czego, to państwo, obiecujące mu rentę na starość, musiałoby mu dostarczyć roboty, oznaczyć minimum płacy itp., na co niktby się zgodzić nie chciał. Tu zwolennicy przymusu zwrócili uwagę, że zamiast tego wszystkiego możnaby poprzestać na dopłatach ze skarbu państwa, jak tego żądał w swym projekcie Waldeck-Rousseau, lecz myśl tę nazwano komunizmem i odrzucono ją bez wahania. Wkrótce jednak przekonamy się, że „komunizm“ ów został ostatecznie przyjęty tylko w formie mniéj jawnéj.

Projekt dopłaty przymusowéj ze strony pracodawców wywołał bardzo silną opozycyą. Dopłaty takiéj domagał się najprzód Rouveure we wniosku, złożonym w konstytuancie i to w ten sposób, żeby

przymus stosował się wyłącznie do pracodawców, następnie zaś Lestiboudois zmienił to żądanie tak, żeby obie strony podlegały przymusowi, lub żeby pracodawca był obowiązany do dopłaty w takim razie, jeżeli robotnik dobrowolnie przystąpi do liczby uczestników kasy. Na propozycye te odpowiedziano, że pracodawcy nie mają w tym względzie bynajmniéj większych obowiązków, niż inni obywatele państwa, gdyż często żadnego zysku z przedsiębiorstwa nie osięgają i przez taki ciężar mogliby być doprowadzeni do bankructwa (!). W takim razie już ogólny podatek byłby, zdaniem oponentów, sprawiedliwszy, zwłaszcza, że przedsiębiorcy i tak poniesiony wydatek zwaliliby na konsumentów za pomocą podrożenia produktów, co w rezultacie wyszłoby na jedno (a więc nie zbankrutowaliby chyba?). Pracodawcy będą dobrowolnie dopomagali robotnikom z poczucia chrześciańskiego obowiązku, gdyby zaś do nich zastosowano przymus, to usposobi on ich wrogo dla instytucyi. Jeden z mówców zauważył przytém, że są powinności, które tylko wobec Boga obowiązywały i obowiązują, gdybyśmy zaś na wszystkie obowiązki religijne (?) zechcieli nakładać przymus państwowy, to doszlibyśmy do nieznośnéj teokracyi. Gdyby państwo przez wprowadzenie przymusu w tym względzie do swego prawodawstwa wywołało (!) mniemanie (?), że jedna część społeczeństwa nie wypełnia swych obowiązków względem drugiéj, lecz jest usposobiona dla niéj wrogo, to byłoby to najgorszém złém, jakie tylko społeczeństwo spotkać może. Niektórzy wreszcie mówcy byli zdania, że pracodawcy zwaliliby z pewnością nałożony na nich ciężar na swych robotników, drogą zmniejszenia im płacy, że więc lepiéj będzie, gdy robotnicy będą go ponosili bezpośrednio. Ostatecznie zarówno projekt dopłaty obowiązkowéj ze strony pracodawców, jak i stosowania przymusu do samych tylko robotników został odrzucony.

Nasunęło się teraz pytanie, czy kasa zdoła osiągnąć cel zamierzany, jeżeli przystęp do niéj będzie dobrowolny? Nikt nie łudził się pod tym względem, że robotnicy, zostawieni samym sobie, za wyjątkiem bardzo nielicznych jednostek, korzystać z kasy nie będą. Nawet Thiers, który tak pięknie mówił o systemie dobrowolnéj oszczędności, nie taił zdania, że robotnicy nawykli żyć z dnia na dzień, „jak ptaki niebieskie“, i o przyszłości wcale nie myślą. Chciano więc zachęcić ich za pomocą premii, udzielanych przez państwo. Minister Dumas zaproponował, ażeby ze skarbu państwa wyasygnować fundusz na 100.000 premii 25 frankowych i udzielać je jako dopłaty tym, coby w ciągu 5 lat wnieśli do kasy przeciętnie co najmniéj po 15 franków rocznie. Gdyby zaś ten projekt nie znalazł uznania, postawił rząd jeszcze wniosek wydawania premii wyłącz-

nie robotnikom, mającym skończonych lat czterdzieści w chwili ogłoszenia prawa, ażeby i starszym ludziom umożliwić korzystanie z kasy. Jakkolwiek premie takie byłyby ostatecznie dopłatą ze strony państwa, którą poprzednio w zasadzie odrzucono, to jednakże wnioski rządu wogóle przychylnie przyjęte zostały. Komisya przemawiała za drugim z tych wniosków, żądając zarazem powiększenia proponowanéj liczby premii. Za to projektowany sposób ich podziału wywołał silne zarzuty. Uważano za rzecz niesprawiedliwą nagradzanie tych, co dzięki lepszym warunkom bytu mogli łatwiéj robić oszczędności i w opłatach do kasy nie zalegać. Kiedy zaś i żadna inna forma podziału nie znalazła uznania większości, projekt rozdawania premii upadł. Tym sposobem, chcąc dogodzić wszelkim moralnym względom, nie dogodzono żadnemu. *Qui embrasse trôp—mal étreint*, mądrze uczy francuskie przysłowie, lecz prawodawcy francuscy skorzystali z niego dopiéro w 6 lat późniéj i gdy błąd swój naprawili, reforma ta przyniosła bardzo dobre rezultaty.

Ostatecznie więc uchwalone tylko zostało założenie kasy emerytalnéj, administrowanéj i gwarantowanéj przez państwo, opartéj na dobrowolnych wnioskach uczestników. Przechodzimy obecnie do szczegółów jéj organizacyi.

Ponieważ robotnicy, nie posiadając żadnych stałych dochodów, często nie byliby w możności opłacać regularnie stałych składek rocznych, przeto obliczenie taryf zastosowano do ich potrzeby w ten sposób, że wysokość przypadającéj uczestnikowi pensyi emerytalnéj obrachowano w stosunku do każdego pojedynczego wniosku. Dla uniknienia zaś zbyt drobnych ułamków i udogodnienia rachunku, za jednostkę wniosku, a zarazem minimalny wniosek jednorazowy, przyjęto 5 franków. Wnioski większe musiały być wielokrotne do 5. Ponieważ połowa każdorazowego wkładu ludzi żonatych zapisywała się na rachunek żony, przeto obowiązani oni byli wnosić na jeden raz co najmniéj 10 franków, lub sumę wielokrotną do 10. Suma wszystkich tych drobnych rent, jakie uczestnik nabył za pomocą pojedynczych wniosków, stanowiła, po dojściu przezeń do oznaczonego z góry wieku, o wysokości przypadającéj mu pensyi dożywotniéj. Data początku pobierania renty mogła być oznaczana dowolnie przez ubezpieczonego, lecz tylko w granicach 50 do 60 lat jego wieku. Powodem oznaczenia drugiéj z tych granic była wielka zmienność śmiertelności w wieku późniejszym, co obliczenie wartości renty na dalszą metę czyniło bardzo niepewném. Późniéj wreszcie (w r. 1856) granicę tę posunięto do 65 lat

wieku. Za stopę procentową do obliczania taryf przyjęto 5%, lecz w przewidywaniu obniżenia się z czasem stopy rynkowéj zastrzeżono sobie prawo zmiany taryf i oznaczenia innéj stopy z d. 1 stycznia 1853 r. przez uchwałę ciała prawodawczego. Ponieważ jednak obniżka stopy mogła nastąpić wcześniéj, co nawet przewidywano, a daléj ponieważ kapitały kasy miały być ulokowane w rencie państwowéj, skutkiem czego, w razie jéj konwersyi na niższy procent, państwo, gwarantujące wypłacalność kasy, musiałoby ponieść stratę, przeto właściwie, jakkolwiek tylko warunkowo, zobowiązywało się ono do dopłat, które w zasadzie przez to samo ciało prawodawcze potępione zostały jako „komunizm.“

Wkłady, wniesione przed ślubem, pozostają na wyłącznym rachunku wnoszącego, choćby się następnie ożenił. Podobnież po prawném rozdzieleniu małżeństwa, lub majątku małżonków, wnioski każdego z nich zapisują się na wyłączne dobro wnoszącego; w czasie zaś trwania małżeństwa wnioski każdego z małżonków dzielą się po połowie na rzecz obojga. Ażeby z gwarancyi państwowéj nie skorzystali kapitaliści w celu wyższego oprocentowania sobie kapitałów w razie obniżki stopy rynkowéj i nie narazili przez to państwa na wielkie straty, postanowiono, ażeby *maximum* renty, jaką może sobie nabyć jedna osoba, nie przenosiło 600 franków. Pensyi dożywotniéj do wysokości 360 franków nie wolno było ani zastawiać, ani odstępować. W razie nastąpienia urzędownie stwierdzonéj zupełnéj nieudolności do pracy, pensya dożywotnia może być przyznana przed dojściem do lat 50 w wysokości zależnéj od sumy wniesionych wkładów i wieku uczestnika. Suma wkładów, wniesionych z zastrzeżeniem zwrotu kapitału, wypłaca się bez procentu po śmierci uczestnika jego spadkobiercom, lub legataryuszom, bez względu na to, czy śmierć nastąpiła przed rozpoczęciem, czy po rozpoczęciu pobierania renty. Każdy ubezpieczony otrzymuje książeczkę, do któréj zapisują się poczynione przez niego wkłady i odpowiadające im renty.

O ile ustawa powyższa odpowiadała zamierzonemu celowi i jakie w niéj popełniono błędy, najlepiéj wyjaśniły fakty, które nie kazały na siebie czekać zbyt długo. Do końca r. 1851 zapisało się do kasy 5,383 uczestników, którzy wpłacili ogółem 1,212,495 fr., czyli przeciętnie po 225 fr. na głowę. Tak znaczna wysokość przeciętnego wkładu wskazuje, że do liczby ubezpieczonych musieli należéć nie sami tylko robotnicy. I rzeczywiście stanowili oni mniéj, niż połowę ogólnéj liczby ubezpieczonych, a mianowicie 2532 osoby, pomiędzy któremi mężczyzn było zaledwie 1395, a większość przeważna kobiét korzystała tylko z ich składek w charakterze

żon. Rezultat więc nie był szczególny, zwłaszcza wobec usilnéj i zręcznéj reklamy ze strony wszystkich organów prasy rządowéj. W r. 1852 w powodzeniu kasy zaszła nagła zmiana, lecz w kierunku wcale niepożądanym. Dnia 14 marca t. r. ogłosił rząd konwersyą renty 5% na 4½%. Otóż kapitaliści, mający około lat 50 i więcéj, nie omieszkali skorzystać z przywileju kasy emerytalnéj dla zapewnienia sobie nadal procentu 5% od części przynajmniéj swych kapitałów i pozakupywali sobie najwyższą dozwoloną pensyą dożywotnią z zastrzeżeniem zwrotu wniesionéj sumy spadkobiercom. Skutkiem tego w ciągu r. 1852 wpłynęło do kasy przeszło 31 milionów franków. Wysokość przeciętnego wniosku na osobę podniosła się do 1605 franków, a skarb zmuszony był teraz grubo dopłacać dla uregulowania zobowiązań instytucyi. Dla zapobieżenia podobnym wypadkom na przyszłość prawo z 28 maja 1853 obniżyło stopę procentową, służącą za podstawę do obliczania taryf ubezpieczenia, do 4½%, oraz ograniczyło sumę wniosków rocznych, jakie może wpłacić do kasy jedna osoba, do 2,000 franków i postanowiło, że suma wniosków, wpłaconych przez uczestnika kasy w ciągu ostatnich 2 lat przed rozpoczęciem pobierania renty, nie może przewyższać ⅕ ogólnéj sumy jego wkładów. Ograniczenia te nie stosowały się jedynie do członków stowarzyszeń robotniczych wzajemnéj pomocy. To powstrzymało natychmiast nadmierny napływ kapitałów do kasy tak, że suma wniosków zmniejszyła się w roku 1854 do 1,593,801, a w 1855 do 1,443,548 franków. W 1856 dekretem z 26-go kwietnia przeznaczył cesarz Napoleon z procentu od 10,000,000 dotacyi, uczynionéj przez niego dla t. zw. aprobowanych stowarzyszeń wzajemnéj pomocy (*), 200,000 franków rocznie na dopłatę do sum wnoszonych przez te stowarzyszenia do kasy emerytalnéj na rzecz ich członków. Prawo zaś z 7 lipca t. r. podwyższyło dozwolone ***maximum*** pensyi dożywotniéj dla jednéj osoby do 750 fr., zniosło ustanowiony prawem z r. 1853 dwuletni czas karencyjny, a przywiléj wnoszenia sumy wyższéj nad 2,000 fr. w ciągu jednego roku dla jednéj osoby rozciągnęło i na towarzystwa bezimienne, zakupujące emerytury dla swych urzędników. Środki te oddziałały bardzo dobroczynnie na wzmożenie udziału robotników i urzędników

(*) Stowarzyszenia wzajemnéj pomocy dzielą się we Francyi na 2 główne rodzaje, których działalność, sposób administracyi, oraz prawa i obowiązki w ogólnym zarysie określa odpowiednia ustawa rządowa. Jedne z tych stowarzyszeń noszą nazwę „aprobowanych", drugie „dozwolonych." Te ostatnie cieszą się większą niezależnością, lecz za to nie korzystają z żadnych subwencyi rządowych.

prywatnych w kasie. Zachęcony tém rząd przeprowadził w r. 1861 prawo, podnoszące *maximum* dozwolonéj renty do 1000 fr., a wniosku rocznego do 3,000 fr. Prawo zaś z r. 1864 poszło jeszcze daléj, dozwalając na 1,500 fr. renty dla jednéj osoby i 4,000 fr. jednorazowego wniosku. Pomimo tych niebezpiecznych podwyżek działalność kasy rozwijała się powoli bez nagłych skoków, lecz stale i równomiernie. Cesarz Napoleon interesował się bardzo tym rozwojem i corocznie przeglądał osobiście sprawozdania z obrotów instytucyi. Niektóre zarządy robót publicznych, jak np. budowy dróg i mostów, oraz warsztaty państwowe zastosowały do swych robotników i urzędników przymus należenia do kasy. Dzięki tym środkom, oraz dekretowi dotacyjnemu z r. 1856, udział w kasie ludzi, żyjących jedynie z własnéj pracy, coraz bardziéj wzrastał i brał górę nad innemi kategoryami uczestników, jak to wykazują następujące cyfry. Do liczby deponentów z lat 1850—1860 należało robotników 62,400, urzędników 25,593, duchownych i ludzi wolnych zawodów 8,197, rzemieślników i kupców 1,940. W roku 1862 najliczniéj wśród składkujących reprezentowani byli dróżnicy szosowi w cyfrze 23,355, robotnicy—17,946, urzędnicy—2,830, strażnicy leśni—794 i dopiéro po nich kapitaliści *(rentiers)* w liczbie zaledwie 714. Podziału uczestników według zajęć dla lat dalszych nie posiadamy, lecz nizka cyfra przeciętnego wkładu rocznego, wynosząca zaledwie 25 do 40 franków aż do r. 1878, wskazuje, że przeważającą większość ubezpieczonych stanowili ludzie ubodzy, pomimo że ogólna suma wkładów rocznych podniosła się w r. 1876 do 16-stu milionów franków, a liczba składkujących do 400,000. Już jednakże od r. 1875 liczba wpłat znaczniejszych, wnoszonych przez ludzi zamożnych, poczęła dość widocznie wzrastać. Było to skutkiem obniżenia się rynkowéj stopy procentu. Po wojnie z Niemcami bowiem stopa procentowa podniosła się znacznie i rząd rzeczypospolitéj był zmuszony prawem z 20 grudnia 1872 przywrócić znów dla taryf kasy normę 5%. W miarę więc, jak późniéj stopa rynkowa spadała, lokacya kapitału w kasie emerytalnéj dla wszelkiego rodzaju rentyerów stawała się coraz bardziéj korzystną. Dla uchronienia skarbu od strat rząd występował w roku 1876 i 1878 z wnioskiem obniżenia stopy dla taryf kasy do 4%, lecz żądanie to nie uzyskało zatwierdzenia. Napływ zaś kapitałów do kasy od r. 1878 począł wzrastać z tak nadzwyczajną szybkością, że suma wniosków z niecałych 10 mil. fr. w r. 1873, podskoczyła w r. 1881 do 61 mil. z górą, przeciętna zaś wysokość wkładu rocznego jednéj osoby w tym samym czasie podniosła się z 25½ do przeszło 119 franków. Wobec niemożliwości oprocentowania, przy ciągłym spadku kursu

renty państwowéj, kapitałów kasy po 5%, straty skarbu powiększały się corocznie w stosunku przerażającym i po koniec r. 1882 wyniosły przeszło 40½ milionów franków. Wtedy dopiéro izby prawodawcze zdecydowały się obniżyć stopę procentową w taryfach kasy do 4½%, począwszy od 1 stycznia 1883 roku.

Powiedzieliśmy wyżéj, że od r. 1856, dzięki dotacyi dla stowarzyszeń wzajemnéj pomocy i rozszerzeniu przywileju znacznych wpłat rocznych na towarzystwa bezimienne, udział robotników i urzędników w kasie emerytalnéj wzrastał szybko i stale. Byli to jednakże głównie pracownicy tych przedsiębiorstw rządowych i prywatnych, które zaprowadziły u siebie przymus ubezpieczenia, oraz członkowie stowarzyszeń wzajemnéj pomocy, którym nabycie renty dożywotniéj ułatwiała dotacya. Co do odosobnionych robotników, nie należących do stowarzyszeń subwencyonowanych i nie podlegających przymusowi ze strony pracodawców, żadnych dokładnych danych dotąd nie opublikowano, lecz liczne głosy ogólnikowo stwierdzają, że do uczestnictwa w kasie przystępuje takich robotników stosunkowo nie wielu, oraz że emerytury, nabywane przez nich, są nadzwyczaj małe, często nie przenoszą bowiem kilku, lub kilkunastu franków rocznie. Najlepsze uposażenie zdobywają sobie pracownicy tych przedsiębiorstw, które zaprowadziły przymus. Warsztaty państwowe strącają na ten cel średnio 4% płacy. Otóż składka takiéj wysokości przy stopie taryf 5% zapewnia człowiekowi bezżennemu po latach 30 emeryturę mniéj więcéj równą połowie płacy, po 40 zaś—całéj płacy rocznéj, średnio przez emeryta w czasie pracy pobieranéj. Ludzie żonaci, którzy osobiście korzystają tylko z połowy składek, są, naturalnie, gorzéj na starość uposażeni. Z przedsiębiorstw prywatnych najpowszechniéj stosują do swych pracowników przymus ubezpieczenia starości koleje żelazne, przyczém ze swéj strony dopłacają zazwyczaj 2 do 5% płac. pobieranych przez ubezpieczonych. Wreszcie i inne większe przedsiębiorstwa, praktykujące przymus ubezpieczenia, dopłacają prawie wszystkie do strącanych przez się składek pewne, najczęściéj procentowo określone sumy. Z pomiędzy nich zasługuje na szczególną wzmiankę *Entreprise générale des omnibus*, strącająca robotnikom po 24 franki rocznie; ze swojéj strony dopłaca ona takąż sumę i gwarantuje każdemu, kto przesłużył lat 20, co najmniéj 365 fr. pensyi dożywotniéj. Jedne z takich przedsiębiorstw wpłacają corocznie do kasy emerytalnéj na imię ubezpieczonego i jego składki osobiste i swoję dopłatę, inne zaś dopłatę ową zatrzymują na procencie w swoich kasach i wnoszą ją do kasy emerytalnéj dopiéro w razie, jeżeli pracownik przesłużył pewną oznaczoną liczbę lat.

Takie jednak urządzenie daje możność oszustwa. To téż niejednokrotnie dawały się słyszéć skargi robotników, że, gdy zbliża się termin uiszczenia przyrzeczonéj dopłaty, przedsiębiorcy często wydalają pod jakimkolwiek pozorem długoletnich pracowników.

Sumy, wnoszone corocznie przez korzystające z dotacyi stowarzyszenia wzajemnéj pomocy na ubezpieczenie starości ich członków, wzrastają z biegiem czasu bardzo szybko. Stowarzyszenia te wpłacają swoje wnioski coroczne nie wprost do kasy emerytalnéj, lecz do kasy depozytów, gdzie wnioski te po dodaniu do nich odpowiedniéj dopłaty z procentu od funduszu dotacyjnego zapisują się na rachunek t. zw. „funduszu emerytalnego“ każdego danego stowarzyszenia, który oprocentowuje się według stopy 4%. Kiedy stowarzyszenie chce zakupić pensyą dożywotnią dla którego z zestarzałych swych członków, wtenczas dopiéro wydaje dyspozycyą przelania odpowiedniéj sumy na imię tego członka do kasy emerytalnéj. Część téj sumy, pochodząca z dopłaty dotacyjnéj, po śmierci emeryta musi wrócić napowrót do funduszu emerytalnego. Część zaś, pochodząca z wniosków stowarzyszenia, może być całkowicie zużyta; lecz wogóle z nader nielicznymi wyjątkami, stowarzyszenia zastrzegają sobie zwrot i téj części, co wpływa na zmniejszenie emerytur, lecz za to fundusz emerytalny dla przyszłych pokoleń dzięki tym zwrotom wzrasta szybko, tak, że od r. 1856 po koniec 1881 doszedł już do 41½ milionów fr., z których 19¼ mil. zostało wpłacone do kasy emerytalnéj na zakup pensyj dożywotnich. Świetny ten rezultat dał się osiągnąć jedynie dzięki zachęcie, danéj przez dopłaty dotacyjne, gdyż te stowarzyszenia, które z niéj nie korzystają, nie uciekają się prawie wcale do rządowéj kasy emerytalnéj, lecz wypłacają zapomogi swym zestarzałym członkom bezpośrednio z własnych kas, w wysokości zmiennéj, zależnéj od zasobności funduszów stowarzyszenia w każdym danym roku. Naturalnie, że jest to forma dla pobierających zapomogi mniéj dogodna, gdyż nie mogą oni nigdy wiedzićć, co ich w przyszłości czeka. Winniśmy dodać, że po r. 1856 rząd kilkakrotnie jeszcze powiększał tę część procentu od dotacyi 10 milionów, która przeznaczona została na dopłatę do funduszu emerytalnego, tak że w końcu cały prawie procent na ten cel obrócony został, a nadto ces. Napoleon na uczczenie urodzin syna ofiarował jednorazowo na tenże cel 500.000 franków. Prócz tego wpłynęło jeszcze po koniec 1881 r., 717 tysięcy z darów i zapisów prywatnych. Ostatecznie więc wpłynęły do kasy następujące sumy:

w roku	z wniosków stowarz.		z darów i zapisów		z dopłaty dotacyjnéj		z procentów od kapitału
1856	244.678	—	—	—	481.494	—	15.062 fr.
1865	649.687	—	10.126	—	440.251	—	376.033 „
1875	858.872	—	66.841	—	343.830	—	722.300 „
1881	1.681.183	—	133.388	—	565.970	—	964.409 „
do r. 82 ogółem . .	19.073.228	—	717.036	—	9.352.460	—	12.315.272 fr.

Cyfry te bardzo wymownie pouczają, jak zachęcająco podziałała dopłata rządowa. Kiedy w pierwszym roku suma wniosków ze strony stowarzyszonych wynosiła zaledwie połowę sumy subwencyjnéj, w 25 lat późniéj pierwsza przenosi już trzykrotnie drugą. Wzrost ten, co prawda, pochodził głównie z przyrostu liczby członków stowarzyszeń aprobowanych, która czyniła ogółem w r. 1860—359.332, w 1881 zaś 826.013. W téj ostatniéj liczbie było członków honorowych, płacących składki, lecz nie korzystających z zapomóg, 135.810. Z wniosków rocznych do funduszu emerytalnego przypadało w r. 1881 na 1 członka wgóle 2,03 fr., a na 1 członka rzeczywistego 2,53 fr. Cyfry te jednakże nie obejmują jeszcze całości wydatku na wspieranie starców, gdyż i stowarzyszenia aprobowane, podobnie jak „dozwolone“, wypłacają zapomogi dożywotnie pewnéj części zestarzałych członków wprost ze swych kas. Suma tych zapomóg w r. 1881 wynosiła 839.602, 74 fr. Razem więc wydatek na wspieranie starców w stowarzyszeniach aprobowanych w r. 1881 czynił w przecięciu na 1 członka 3,05 fr., a na 1 członka rzeczywistego 3,80 fr. Widzimy z tego, że składki stowarzyszonych na zabezpieczenie starości są nadzwyczaj skąpe, to téż i pozyskiwane przez nich emerytury muszą być odpowiednio maleńkie. W r. 1881 pobierało pensyą dożywotnią z kasy emerytalnéj 14.963 starców w kwocie przeciętnéj 71,10 fr. rocznie (*). Emeryturka taka nie może naturalnie wystarczyć na najnędzniejsze utrzymanie. Mogłaby jednakże być znacznie wyższa nawet przy tak drobnych ofiarach ze strony członków, gdyby rząd i stowarzyszenia nie zastrzegały zwrotu kapitału, wnoszonego do kasy emerytalnéj, lecz pozostawiały go na zużycie dla korzystających z niego. W takich bowiem warunkach, według taryf kasy, człowiek 65 letni (taki był wiek przeciętny kandydatów do emerytury, wybranych przez sto-

(*) Sumy, przelewane z „funduszu emerytalnego“ z kasy depozytów do kasy emerytalnéj na zakup emerytur dla członków stowarzyszeń aprobowanych wzajemnéj pomocy, wynosiły: w r. 1880—3.361.626 fr., w 1881—3.667.466 fr., w 1882—4.024.521 fr.- w 1883—4.713.737 fr. i w 1884—5.011.455 fr. Jak widzimy, rosną one z roku na rok dość pokaźnie, lecz, niestety, nie tyle skutkiem podwyższenia emerytur, ile skutkiem powiększenia się liczby członków wychodzących do emerytury.

warzyszenia w r. 1881) otrzymałby pensyi dożywotniéj, zamiast 71,10 fr., sumę 2½ raza większą, a mianowicie 178,90 fr. rocznie, lecz stowarzyszenie straciłoby na tém 1422 fr. kapitału. Możnaby wszakże wybrać tutaj drogę pośrednią i poprzestawać na zwrocie téj tylko części kapitału, która powstała z dopłat rządowych i któréj prawo całkowicie zużywać nie dozwala, a część powstałą ze składek członków ofiarowywać w całości korzystającym z niéj emerytom. Obok tego zaś potrzebaby koniecznie podnieść zbyt małe składki stowarzyszonych. Przeznaczać bowiem 2 franki rocznie dla zabezpieczenia sobie starości jest to żądać zbyt wiele od procentów składanych, czy też od dopłat rządowych. Przeciętna wysokość ogólnéj składki rocznéj na opędzenie wszelkich wydatków w stowarzyszeniach aprobowanych prowincyonalnych (czyli za wyłączeniem Paryża) wynosi dla mężczyzn 14 do 15 fr., dla kobiet 9 do 10 fr. Ponieważ robotnicy płci męskiéj zarabiają przeciętnie na prowincyi przeszło 3 fr. dziennie, robotnice zaś od 1,60 do 1,70 fr., przeto wymienione powyżéj ich składki mogłyby być z łatwością co najmniéj potrojone, a wtedy możnaby i chorych i starców, oraz wdowy i sieroty daleko skuteczniéj wspiérać. Jeżeli więc otrzymywane przez członków stowarzyszeń robotniczych emerytury są dotąd tak bardzo niewystarczające, to głównie winni są temu sami stowarzyszeni, nie czynią bowiem dla uchronienia się od nędzy nawet tego, co by w większości wypadków bez wielkiego wysiłku czynić mogli. Delegowani *trade-union*'ów angielskich na międzynarodowym kongresie robotniczym w październiku r. 1883 zalecali gorąco swym kolegom francuskim podniesienie zbyt niskich dotąd składek.

Z drugiéj strony wszakże winniśmy dodać, że o tyle o ile dostatecznéj emerytury sami robotnicy o własnych siłach zapewnić sobie najczęściéj nie są w możności. Ogólne jest zdanie ludzi rzecz znających, że, średnio biorąc, robotnik przemysłowy po 55 roku życia staje się niezdolnym do zadawalniającego wykonywania zwykłéj sobie pracy i traci zajęcie. Potrzebaby więc, żeby już do tego czasu mógł sobie zapewnić emeryturę, wystarczającą na konieczne potrzeby życia. Za przeciętne *minimum* w tym względzie możnaby uznać we Francyi 365 fr. na rok. Dla zapewnienia zaś sobie takiéj pensyi dożywotniéj trzeba według taryfy od 20-go do 55-go roku życia wnosić corocznie od 30 do 43½ fr., zależnie od stopy procentowéj (5 lub 4%) bez żadnéj przerwy. Ponieważ przytém połowa wniosków ludzi żonatych zabiéra się na emeryturę żony, przeto robotnicy obarczeni rodziną musieliby płacić od 60 do 87 franków rocznie. Że na to ogromnéj większości nie stać, dowodzić chyba byłoby

zbytecznėm. Poświęcać przyjemności, a niekiedy nawet istotne potrzeby chwili obecnéj dla uchronienia się od niedostatku w dalekiéj przyszłości, która przytém może dla nas nigdy nie nadejść, przychodzi każdemu dość trudno. Dla zdobycia się na to potrzeba niemałéj siły charakteru i wrodzonéj, lub wyrobionéj przez staranne wychowanie przezorności. Stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, jak tego dowodzi Anglia, są dzielną szkołą dla rozwoju tych przymiotów wśród warstw robotniczych, lecz warunki życia odosobnionych robotników stanowczo wyrobieniu się ich nie sprzyjają. Nadto, kiedy ktoś zawsze powątpiewać musi, czy przy najlepszych nawet chęciach i największych wysiłkach zdoła zapewnić sobie choćby najskromniejszy, byle wolny od przymierania z głodu, byt na starość, a z drugiéj strony wié, że zbyt mała emerytura, nie chroniąc go od nędzy, może mu jeszcze często stawać na przeszkodzie do korzystania z miłosierdzia publicznego, to naturalnie dochodzi do wniosku, że wygrana nie warta stawki. Z tego powodu, zdaniem mojém, kasy emerytalne dla robotników bez przymusu prawnego i dopłaty ze strony państwa, lub co słuszniejsza, jak się postaram dowieść,—ze strony pracodawców, nie mogą uczynić zadość swemu celowi. Przekonanie to zdobywa sobie obecnie coraz więcéj wyznawców tak wśród ekonomistów-teoretyków, jak wśród mężów stanu. Z takiego poglądu wypłynął w 1879 projekt reformy kasy emeryt. przedstawiony parlamentowi przez deputowanego M. Nadaud, gorącego rzecznika interesów klasy robotniczéj. Domagał się on strącania przymusowego wszystkim robotnikom 5% zarobku do kasy emerytalnéj, oraz dopłaty ze strony państwa i pracodawców w wysokości po 50% owych strąconych składek. Wszystkie te wkłady razem uczyniłyby przeciętnie, według trochę optymistycznego obliczenia projektodawcy, na rachunku średnio płatnego robotnika w ciągu lat 30 wraz z procentem składanym 7.200 fr., które po 5% dałyby 360 fr. renty. Wdowa otrzymywałaby pensyą dożywotnią w wysokości połowy emerytury przypadającéj mężowi. Pozostały po śmierci emerytów kapitał miał być używany na dodatki do uzbieranych funduszów emerytalnych dopóki minimalna wysokość wypłacanych emerytur nie wyniesie 400, a przeciętna 600 fr. Dla obmyślenia środków wykonania tego planu, żądał Nadaud wyznaczenia komisyi. Dnia 4 maja 1880 izba deputowanych uchwaliła oddanie tego projektu do rozpatrzenia komisyi, do składu któréj wszedł i projektodawca.

Każdy trzeźwy człowiek przyzna zapewne, że Nadaud w swych szlachetnych dążeniach zbyt wiele wymagał od państwa. Już sama 50-procentowa dopłata do składek osobistych wyniosłaby, według

jego obliczenia, 30 milionów fr. rocznie na każdy milion ubezpieczonych robotników. A ileżby to jeszcze milionów trzeba było dopłacać dla oprocentowania kapitałów kasy po 5%, zwłaszcza w razie, gdyby stopa rynkowa procentu spadła do jakich np. 2%, co przecież w kraju tak zasobnym w kapitały, jak Francya, jest możebne? Wybrana komisya po długich naradach i rozpatrzeniu kilku jeszcze innych projektów złożyła sprawozdanie ze swych prac 4 grudnia 1882 i oświadczyła się stanowczo przeciw wprowadzeniu przymusu, żądając tylko pewnych przywilejów dla członków stowarzyszeń wzajemnéj pomocy. Mianowicie wkłady ich miały być oprocentowywane po 5%, kiedy dla ogółu proponowano stopę niższą. Na pokrycie strat, wynikających z utrzymywania wysokiéj stopy procentu dla stowarzyszeń robotniczych żądała komisya 10 milionów fr. dotacyi, a nadto druga taka dotacya miała być dana na dopłaty do zbyt niskich emerytur, przyznawanych robotnikom przed oznaczonym terminem w wypadkach zajścia przedwczesnéj nieudolności do pracy. Wnioski te z powodu braku czasu nie przyszły wcale pod obrady, lecz owszem wbrew im, na żądanie ministra skarbu, Tirarda, obniżono ogólnie stopę procentową kasy do 4½%. Niektóre jednak z żądań komisyi w cztéry lata później w części, lub w całości uwzględnione zostały. Przedewszystkiém dla ułatwienia przystępu do kasy ludziom najbiedniejszym prawo z 20 lipca 1886 obniżyło *minimum* składki jednorazowéj na głowę z 5 franków do 1 fr. Daléj postanowiono, iż *maximum* pensyi dożywotniéj dla jednéj osoby nie może przenosić 1200 fr., a suma składek, wniesionych w ciągu roku, nie może przewyższać 1000 fr. na głowę, z zastrzeżeniem wyjątku co do tego ostatniego ograniczenia dla wniosków uskutecznianych z wyroku sądowego, oraz wpłacanych przez zarządy publiczne i stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, korzystające z funduszu dotacyjnego. Tym sposobem chciano znowu utrudnić ludziom zamożnym spekulacyą na korzystne oprocentowanie swych kapitałów i przywrócić kasie pierwotny charakter instytucyi, przeznaczonéj głównie dla ubogich pracowników. Dla uchronienia skarbu od znaczniejszych strat orzekło również prawo, że stopę procentu, służącego za podstawę do obliczenia taryf, określać ma corocznie w miesiącu grudniu na każdy rok następny specyalnym dekretem prezydent rzeczypospolitéj. Za normę do tego określenia służyć ma średnia stopa procentu, jaki dawały renty państwowe, zakupione przez kasę w ciągu roku ubiegłego. Nadto tablice śmiertelności Deparcieux'a, stosowane dotąd do obrachowywania taryf, mają być poprawione na podstawie doświadczeń, zebranych w czasie blisko czterdziestoletniego istnienia instytucyi.

Dwa ostatnie środki przyniosą skarbowi państwa korzyść niewątpliwą, lecz do uczestnictwa w kasie przez podniesienie taryf zachęcać nie będą. Szczególniéj zrażać musi do niego zmienna stopa procentowa, gdyż ubezpieczeni nie będą mogli nigdy przewidziéć, jaki ciężar wypadnie im ponosić w przyszłości dla zapewnienia sobie pewnéj określonéj renty, ani obliczyć, jaką pensyą otrzymają, wnosząc corocznie określoną składkę. Tę złą stronę reformy wynagrodziło jednakże prawo z r. 1886 jedną nową i ważną korzyścią, któréj prawa dawniejsze nie dawały. Stanowi ono mianowicie, w myśl projektu komisyi parlamentarnéj z r. 1882, iż w razie zajścia przedwczesnéj nieudolności do pracy, uczestnicy kasy mają prawo do zwiększonéj emerytury. Tym sposobem dotychczasowa kasa emerytalna staje się zarazem kasą ubezpieczenia inwalidów pracy, a czyni to b e z p o d w y ż s z e n i a s k ł a d e k ku temu celowi. Na pokrycie kosztów zwiększenia pensyi inwalidów ma minister spraw wewnętrznych wyjednywać corocznie odpowiedni kredyt. Ażeby zaś wydatek ten nie obciążył nadmiernie budżetu określa prawo *maximum* pensyi powiększonéj. Nie może ona mianowicie przenosić: 1) trzy razy wziętéj renty, jaka przypada danemu uczestnikowi z obliczenia, na podstawie wniesionych przez niego składek, oraz 2) najwyższéj bezwzględnie normy 360 franków rocznie. Pytanie, czy i w jakim rozmiarze pensya dożywotnia inwalida ma być podwyższona, rozstrzyga zwierzchnia komisya kasy emerytalnéj prostą większością, z zastrzeżeniem, ażeby w głosowaniu brała udział przynajmniéj połowa członków komisyi. Przeciętna emerytura inwalidów, przed wydaniem niniejszego prawa, wynosiła 62 fr. 80 ctm. W przyszłości więc dosięgnie zapewne jakichś 150 do 180 fr. Jest to jeszcze bardzo nie wiele, ale ta część przynajmniéj biédaków, którzy otrzymają emeryturę większą od przeciętnéj, wyżyć jako tako na prowincyi będzie mogła. Najdonioślejszą jednak korzyścią téj reformy będzie zachęta, jaką ona niewątpliwie wywrze na robotników, do zapisywania się ich do kasy. Wielu ludzi ubezpieczać starości nie uważa za potrzebne, nie wierząc w to, żeby jéj doczekali. Natomiast prawdopodobieństwo zajścia jednego z dwóch wypadków—starości, lub przedwczesnéj niezdolności do pracy z jakiegokolwiek powodu — jest daleko większe i dlatego daleko łatwiéj skłonić może każdego do ofiar na rzecz zabezpieczenia się na takich warunkach, zwłaszcza gdy można tu liczyć w pewnych razach na potrojenie funduszu, jaki sobie sam uczestnik zapewni.

W końcu winniśmy dodać, że prawo z r. 1886 zmieniło nazwę kasy na *Caisse nationale des retraites pour la vieillesse* i, co ważniejsza, zobowiązało zarząd téj instytucyi do opracowania w ciągu 6-ciu

miesięcy, odpowiedniéj instrukcyi praktycznéj, wyjaśniającéj popularnie korzyści, przywileje i sposób działania kasy, a zarazem nakazało instrukcyą tę wywiesić: we wszystkich merostwach, biurach urzędników skarbu *(des comptables directs du Trésor)*, biurach pocztowych i w szkołach publicznych. Rozpowszechnienie takie wiadomości o kasie było nieodzownie potrzebne wobec tego, że pomimo wszelkich dawniejszych usiłowań rządu, mających na celu spopularyzowanie téj instytucyi, zdarzały się wypadki, iż niektóre związki robotnicze podawały petycye do parlamentu o utworzenie podobnéj kasy emerytalnéj. Wszystkie te środki wpłyną niewątpliwie na wzrost dotychczasowéj liczby ubezpieczonych, ale nie zdołają skłonić do uczestnictwa najciemniejszych, najbiedniejszych i najmniéj przezornych warstw roboczych, czyli tych właśnie, które najwięcéj i najpilniéj potrzebują opieki i pomocy państwa.

Zanim przejdziemy do przedstawienia instytucyi i projektów angielskich, uważamy tu jeszcze za potrzebne poświęcić słów kilka kasie państwowéj ubezpieczeń życiowych dla robotników we Francyi. Kasy emerytalne tego typu, co opisana wyżéj przez nas instytucya rządowa, mają i poniekąd muszą miéć tę wadę, że wniesione do nich składki, raz nazawsze przeznaczają się na jeden tylko cel, a mianowicie na ubezpieczenie starości, i na nic innego już użyte być nie mogą. Tym sposobem, gdy składkodawca zejdzie ze świata przed oznaczonym terminem, oszczędności jego, albo w całości, albo co najmniéj w znacznéj części (jeżeli zastrzeżony został zwrot wniosków bez procentu), dla rodziny jego przepadają i przechodzą na korzyść tych współubezpieczonych, którzy dosięgną późnego wieku. Miał więc słuszność do pewnego stopnia Thiers, gdy instytucye te nazwał „wychowawczyniami egoizmu.“ Jednakże i zalecane przez obrońców zasady indywidualizmu kasy oszczędności nie czynią także zadość wszelkim wymaganiom. W razie bowiem przedwczesnéj śmierci ojca rodziny, kiedy jego wdowa i nieletnie sieroty potrzebują największéj pomocy, zebrany przez niego fundusz musi być zbyt mały. Od wszystkich tych wad byłyby wolne takie jedynie kasy ubezpieczenia, które wzamian za składki pewnéj określonéj wysokości zapewniałyby wypłatę odpowiedniego kapitału we wszystkich wypadkach przewidzianéj potrzeby, a mianowicie: 1) samemu składkodawcy w razie zajścia przedwczesnéj nieudolności do pracy z jakiegokolwiek powodu, lub dosięgnięcia z góry oznaczonego wieku, oraz 2) rodzinie, lub innym spadkobiercom, w razie przedterminowéj śmierci ubezpieczonego (*). Niestety, statystyka

---

(*) Założenie kas takich przy naszych kolejach zalecał przed kilku laty p. Bol. Danielewicz w „Ekonomiście.“

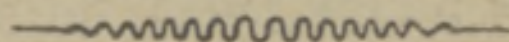
wypadków nieudolności do pracy jest jeszcze dotąd wogóle tak ubogą w stosunku do wymagań matematycznéj ścisłości w tym względzie, a przytém dokładne obliczenia są tu tak trudne i złożone, że możność wejścia w życie i trwałéj egzystencyi takich kas ubezpieczenia, o jakich wzmiankowaliśmy, pozostanie jeszcze na długie lata przyszłości jedynie pobożném życzeniem. Tymczasem zaś musimy poprzestawać na kasach oszczędności, lub emerytalnych, a braki ich, odnoszące się do potrzeb przedwcześnie osieroconéj rodziny łatać za pomocą t. zw. ubezpieczeń na życie. Takie właśnie uzupełnienie braków państwowéj kasy emerytalnéj miał na myśli Napoleon III, kiedy w 1866 polecił ministrom wypracowanie projektu rządowéj kasy ubezpieczenia na życie i od nieszczęśliwych wypadków, specyalnie dla robotników przeznaczonéj. Prawo z 11 lipca 1868 urzeczywistniło życzenie monarchy, stanowiąc dwie oddzielne instytucye dla wymienionych wyżéj celów. Ponieważ z powodu braku miejsca ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków wyłączyliśmy ze swego tematu, przeto urządzenia kasy, temu celowi zadośćczyniącéj, opisywać tu nie będziemy.

Główne zasady kasy państwowéj ubezpieczenia na życie są następujące: Każdy uczestnik za pomocą wniosku jednorazowego, lub składek rocznych, płaconych do oznaczonego terminu, albo do końca życia, może zapewnić po swéj śmierci spadkobiercom wypłatę odpowiedniego kapitału, nie przenoszącego 3000 franków. Połowa tego kapitału, a w każdym razie kwota nie mniejsza od 600 fr., nie może być sprzedana, ani zastawiona. Taryfy ubezpieczenia obliczają się na podstawie stopy 4½% i tablic śmiertelności Deparcieux'a, lecz dla uchronienia kasy od strat, do obrachowanych w ten sposób premii dodaje się 6%. Ubezpieczający się nie podlegają rewizyi lekarskiéj, ale zato w razie śmierci przed upływem 2 lat od daty ubezpieczenia spadkobiercy otrzymują tylko zwrot wzniesionych składek wraz z procentem prostym 4%. Podobnież tylko do takiego zwrotu składek mają prawo spadkobiercy samobójców, oraz poległych w pojedynku i straconych z wyroku sądowego. Wiek przystępującego do ubezpieczenia nie może być niższy od lat 16, ani wyższy od 60. W razie spóźnienia się z opłatą składki więcéj, niż 12 miesięcy, zawarta umowa zostaje rozwiązana, a suma wniesionych poprzednio składek, po potrąceniu z niéj wartości dotychczasowego ryzyka, zapisuje się na rachunek uczestnika jako nowy wniosek jednorazowy i daje prawo do pośmiertnéj wypłaty kapitału, odpowiadającego takiemu jedynie wnioskowi. Aprobowane stowarzyszenia wzajemnéj pomocy mogą ubezpieczać zbiorowo wszystkich swoich członków na rok jeden do wysokości co najwyżéj

1000 fr. na 1 członka. Wszelkie potrzebne do ubezpieczenia się świadectwa, papiery i akty notaryalne wydają się bezpłatnie i są wolne od opłat podatkowych.

Pomimo tych przywilejów, dzięki którym taryfy kasy rządowéj są znacznie niższe od pobieranych przez towarzystwa prywatne, kasa ta rozwija się nadzwyczaj powoli. Po koniec r. 1882, czyli w ciągu $14\frac{1}{2}$ lat istnienia instytucyi, ubezpieczyło się w niéj zaledwie 400 kilkudziesięciu pojedyńczych ludzi. Ubezpieczenia zbiorowe członków stowarzyszeń wzajemnéj pomocy wydały lepszy rezultat. W r. 1882 ubezpieczyło się 68 stowarzyszeń, liczących 19,898 członków; przeważna jednak większość z nich zapewniła sobie zaledwie po 100 do 200 fr. na głowę, a więc sumkę wystarczającą prawie tylko na koszta pogrzebu. Ogół składek, wpłaconych w r. 1882 wynosił 144.027 fr. Wobec tego, że wszystkie stowarzyszenia wzajemnéj pomocy razem wzięte liczyły w tymże roku przeszło milion członków, cyfra 20.000 ubezpieczonych była bardzo małą. Dowodzi to, że robotnicy francuscy nie są jeszcze na tyle rozwinięci umysłowo i moralnie, żeby umieli sami poważnie myśléć o przyszłości swych rodzin i poświęcali dla jéj zabezpieczenia cząstkę dochodów. Jak wiemy, ustawa kasy emerytalnéj nakazuje połowę składek, wnoszonych przez ludzi żonatych, przelewać na zapewnienie emerytury żonie. Otóż, zdaniem mojem byłoby daleko korzystniéj i słuszniéj przeznaczać tę połowę składek na ubezpieczenie życia składkodawcy dla jego rodziny. Kasa emerytalna w razie przedwczesnéj śmierci ojca nie wypłaca sierotom nic, a wdowie każe czekać na maleńką pensyjkę aż do czasu dojścia przez nią pewnego oznaczonego wieku. Tymczasem kasa ubezpieczenia na wypadek śmierci wypłacałaby zawsze bezzwłocznie, tak wdowie, jak sierotom, jaki taki kapitalik, któryby matce dał nieraz możność założenia sobie jakiegoś przedsiębiorstwa zarobkowego, a sierotom zupełnym byłby w każdym razie pewną pomocą przy wejściu ich w życie. Prawda, że przy takiém urządzeniu małżonkowie, żyjący długo, musieliby się utrzymywać z emerytury pojedyńczéj, a więc daleko szczuplejszéj; lecz na obronę swego poglądu przeciw temu zarzutowi mogę przytoczyć najprzód to, że wypadki bardzo długiego życia obojga małżonków są nieskończenie rzadsze od przedwczesnéj śmierci ojca, a następnie, że łatwiéj jest dać sobie radę starcom, którzy w większości wypadków mogą miéć pewną pomoc od dorosłych dzieci, lub wnuków, aniżeli wdowie obarczonéj drobiazgiem, lub nieletnim sierotom zupełnym.

(*Dok. nast.*) *W. Wścieklica.*





ŚREDNIOWIECZNA WIZYA.

Dzięki skrzętnym a zmudnym poszukiwaniom liczne zabytki średniowiecznéj literatury należycie wyjaśnione zostały. Jak zwykle bywa w historyi badań, z początku zajmowano się bardziéj efektownemi pisarzami i dziełami, dopiéro późniéj zwrócono uwagę i na mniéj wybitne, a jednak uwagi godne zjawiska. Zaczęto wygrzebywać szczegóły, — literatura „Przyczynków“ *(Beitrag)* obecnie na dobre rozwielmożniła się, a specyalizacya posunięta do niebezpiecznych kresów. Mimo to wszystko, istnieją w młodéj nauce luki, dotąd przez krytykę i analizę niezapełnione, istnieją takie fenomenalne postaci, których dotąd nie zrozumiano, pomimo całego szeregu niefortunnych usiłowań.

Wiara w cuda, wizye religijne cechuje obecnie wyjątkowe osobistości i nieznaczny bardzo wpływ wywiéra na umysły ogółu; inaczéj rzecz się miała w wiekach średnich: wierzono święcie w cuda, obcowano często ze światem nadziemskim, lubowano się w rozmaitych opowiadaniach, w których świat nadprzyrodzony był areną czynów bogobojnych. Przyszłość pozagrobowa wabiła ku sobie uwagę ówczesnego człowieka. Skwapliwie opowiadano i słuchano o rozmaitych śmiałkach, którzy potrafili podjąć zasłonę wieczności. Starożytność przekazała imiona bohaterów, co wybrzeża Lety i piekielnych rzek zwiédzili, dla czegoż by średniowieczni asceci i rycerze szczęścia sprobować nie mieli? I probowali. Rycerz i mnich, kilku ulubionych apostołów i świętych — to są goście trzech światów. Opowiadania tych wędrowców, którzy śpieszyli dla celów moralnych, a najczęściéj literackich, podzielić się z ogółem wrażeniami tych podróży, czytano skwapliwie, niekiedy nawet śpiewano. Dla celi klasztornéj, dla ludzi wykształconych, słowem dla arystokracyi

umysłowéj, istniały łacińskie, najczęściéj suchą prozą skreślone relacye; dla nie-łaciników, dla gminu: rymy lub assonansy w języku ludowym. Jeżeli zwrócimy uwagę na liczne łacińskie i „wulgarne" (ludowe) przeróbki — to jedno wystarczy, ażeby wyznaczyć średniowiecznym wizyom pokaźne miejsce w cywilizacyi i literaturze zachodu.

Na progu wieków średnich i odrodzenia stoi olbrzymia wizya, którą autor nazwał „komedyą", a potomność „Boską." Każdemu, kto genialny ten utwór brał kiedy do ręki, uwaga nastręczyć musi pytanie: jakie są wzory tego dzieła? Na pytanie to dotąd nauka dokładnie odpowiedziéć nie zdołała. Odpowiada na nie sam autor w znanym wierszu „*Jo non Enea, io non Paulo sono.*" Naturalnie nie tylko Eneida i apokryficzna wizya św. Pawła były źródłem i wzorem dla nieśmiertelnego utworu genialnego florentczyka, — wiele innych wędrówek średniowiecznych czytał Dante, lecz nie ulega wątpliwości, że te dwie wizye na pierwszém miejscu postawić należy.

Prawie powszechne zajęcie, jakie w ciągu dziewięciu stuleci wzbudzają w średniowiecznéni społeczeństwie wizye, zachęcają nas do zaznajomienia czytelnika z tą ciekawą i niewielkiemu kołu specyalistów znaną gałęzią literatury. Zacznijmy od wizyi św. Pawła, o któréj wspomina Dante, bo jest ona jedną z najstarszych i najpopularniejszych w średnich wiekach (1).

---

(1) Domyślać się należy, że pierwsze kroki na drodze mniéj więcéj naukowego badania wizyi i apokalips zrobili teologowie. Największą uwagę poświęcono apokalipsie św. Jana. Dla historyka literatury pierwszorzędnéj wartości są przyczynki do historyi tekstu, modyfikacye, którym one uległy i kwestye chronologiczne. Komentarze symboliczne mają znaczenie dla teologa. Lipsius, Fabricius a przedewszystkiem Tischendorf zrobili tyle, że w naszym czasie niektóre z pseudo-wizyi (te należąc specyalnie do historyi literatury, analizie uledz muszą) stoją na gruncie dla badacza dostępnym. Literatura tych pseudo-apokalips lub wizyi, zredukować się może do następujących dzieł (pomijam dzieła z treści i założenia teologiczne i nienaukowe).

D'Ancona: „I precursori di Dante" 1873. Dziełko niezbyt rozpowszechnione zawiera krótki, ale bardzo treściwy przegląd najważniejszych średniowiecznych wizyi, zwłaszcza zaś tych, które na twórczość Dantego wpłynąć mogły. Godną uwagi jest klasyfikacya wizyi.

Th. Whright: „The Purgatory of S. Patrick" 1847. W dziele tém uczony angielski zestawił średniowieczne podania o piekle i niebie; do pewnego stopnia jest już ono przestarzałe.

Ozanam: „Dante et la philosophie catholique" 1846. Pod wielu względami dzieło klasyczne; specyalnie wizyom poświęcił autor niewiele stronic; dla nas obecnie ma największą wartość rozdział o wizyi św. Pawła, którą autor zna z łacińskich wersyi i podaje rymowaną francuską przeróbkę.

W 1887 roku o napisanie zarysu historyi wizyi pokusił się uczony niemiecki Fritsche w „Romanische Studien". Autor zwięźle streszcza wszystkie wizye do XIII wieku;

Podanie o wędrówkach św. Pawła, oparte na wstępie listu do Koryntyan (2, 12, 2) (1). Ze świadectw historyków Kościoła, Epifaniusza Michała Glykasa i Augustyna wnosić można, że istniały dwie wersye téj wędrówki po niebie i piekle. Jedna z nich szczególniéj była rozpowszechniona pomiędzy heretycką sektą Karajanów. Św. Augustyn, który znał wizyą św. Pawła, nazywa ją *„fabula stultissima.“* Pomijając inne szczegóły, zaznaczymy, że, zdaniem naszém, opartém na zestawieniu tekstów, istniały rzeczywiście dwie redakcye oryginalne, lecz żadna z nich nie przechowała się dla potomności. Przypuszczać należy, że obie powstały w 380 r. za panowannia Teodozyusza, bo najprzód, według podania, był znaleziony rękopis w tym czasie w Tarsie, powtóre, była to epoka, bardzo sprzyjająca twórczości religijnéj w tym kierunku; w piekle znajdujemy heretyków, którzy, o ile sądzić można z grzechów przez nich popełnionych, należą do sekty Nestoryusza (2). Oprócz jednéj greckiéj redakcyi i dwóch syryjskich, mamy sześć typów łacińskich i kilkanaście przeróbek angielskich, francuskich i niemieckich,

---

sposób jednak użytkowania ze źródeł, pominięcie ważnych rozpraw i wydań (np. książki H. Brandesa i D'Ancona, wydań Schade'go etc. etc.) nie pozwalają uważać téj rozprawy za ściśle naukową i na niéj polegać. Autor nie mógł wyczerpać przedmiotu i zawcześnie się wziął do pisania historyi tej gałęzi psychologicznéj literatury, która wiele uprawy i przygotowawczéj pracy wymaga.

Przechodząc do wizyi św. Pawła, wymienimy wydania i rozprawy nam znane.

Znakomity teolog Tischendorf w swojéj książce „Evangelia Apocrypha“ wydał grecki tekst pod tytułem „Apocalypsis S. Pauli“ z angielskiém tłómaczeniem syryjskiéj redakcyi misyonarza Perrkiusa; dwa łacińskie teksty i jeden niemiecki wydał przedwcześnie zgasły pracownik.

H. Brandes w dodatku do swojéj rozprawy „Visio S. Pauli“. Ten sam uczony poświęcił dyssertacyą swoję (w *Englische Studien* 7 t.) angielskim i francuskim wersyom wizyi św. Pawła. Przekładu niemieckiego z syryjskiego oryginału dokonał uczony niemiecki Zingerle w kwartalniku Heidenheima (*Heidenheim's Vierteljahrschrift*, 4). Słowiańskie wersye wydał Tichonrawow (Pamiatniki otreczennoj litieratury. 1861. 2 tm.) i Pypin w wydawnictwie Kuszelewa.

Jeżeli zwrócimy uwagę na liczne redakcye, z przeglądu téj literatury możemy widzieć, że opracowanie materyału wiele pozostawia do życzenia. Niektóre z naszych wizyi były cokolwiek szczęśliwe: np. najciekawsza ze średniowiecznych pozagrobowych wędrówek rycerza Tugdala, dzięki pracom Schade'go, Wagnera, Mussafii i wielu innych, wyczerpująco została opracowana. Natomiast inne, np. Wizya Brandana, szczególniej zaś takie, jak wizya św. Pawła, które z greckiego wschodu przywędrowały, jeszcze wiele pracy wymagają.

(1) „Znam człowieka w Chrystusie przed czternastu lat (jeźli w ciele, nie wiem; jeźli prócz ciała, nie wiem: Bóg wié), iż takowy był zachwycony aż do trzeciego nieba.“ (przekład Wujka).

(2) Obie redakcye były napisane po grecku.

a także dwie ruskie: jedną z XIV, drugą z XVII w., ostatnia (drukowana u Kuszelewa) nie ma żadnéj wartości i jest ustępem z kazania. w którym mówca dla celów swoich wizyą św. Pawła, jako przykład przytacza, nie rozwijając opowiadania. Podajemy treść téj wędrówki po niebie i piekle według redakcyi greckiéj. Pominięte w greckim oryginale, a ważne ustępy, pomieszczamy w przypiskach.

Pewnemu znakomitego rodu archontowi w Tarsie za panowania Teodozyusza i Gracyana (380 r.) zjawił się anioł i rozkazał rozkopać fundamenta domu. Dwa razy uważał magnat to samo zjawisko za marę, za trzecim usłuchał i znalazł marmurową skrzynkę a w niéj apokalipsę św. Pawła. Archont posłał rękopism do Jerozolimy dla odcyfrowania. Przeczytano w nim następującéj treści wizyą.

I. Bóg na wstępie zapytuje grzészników: dla czego grzészą, nie pamiętając o przykazaniach jego? Słońce, księżyc, gwiazdy, morze chwalą (1) Stwórcę swego, sam tylko człowiek o nim zapomina.

II. Chwalić należy Boga zawsze, szczególnie zaś przy zachodzie słońca, wówczas aniołowie stróże dobrych i złych przed tronem Najwyższego składają swoje sprawozdanie. On chwali cnotliwych, ale nie pozwala opuszczać grzeszników.

III. Na żądanie Anioł (Gabryel lub Michał) prowadzi Pawła do Królestwa złych i dobrych. Na spotkanie ich leci ziejący ogniem duch piekielny; włosy się jeżą na jego głowie a zęby stérczą, jak u dzika. Następnie spotykają wędrowcy anioła w złocistych szatach, z pieczęcią w ręku. Ziemia z tych wyżyn firmamentu wydaje się malutką „jak nic“, a u stóp swoich widzi Paweł obłok ognisty, który, według słów anioła, jest „bezbożnością z modlitwą grzeszników zmieszaną“. Paweł pragnie widzieć zgon grzesznika i sprawiedliwego. Oczom jego przedstawia się na ziemi umierający sprawiedliwy, aniołowie biorą jego duszę, przemawiając w sposób następujący: duszo spójrz na swe ciało, bo wrócić tu będziesz musiała na sądzie ostatecznym. Na spotkanie orszakowi aniołów występują szeregi złych duchów, lecz widząc, że ofiara uszła rąk ich, z płaczem i jękiem wracają do piekła (2). W towarzystwie swego anioła stróża zjawia się dusza przed obliczem najwyższego Sędziego. Ten rozkazuje archaniołowi Michałowi prowadzić ją do raju. W ten sam prawie sposób umiéra grzesznik, ale tu rolę aniołów odgrywają złe duchy, a wychodzący na spotkanie dyabli łączą się z orszakiem

(1) W niektórych wersyach i ziemia.

(2) Szczegół ten zatracony w greckiéj redakcyi, ocalał prawie we wszystkich innych.

i prowadzą drżącą od strachu niebogę, jak wyżéj, przed tron Stwórcy. Nawet tu skrucha nie porusza jéj serca, i na pytania Sędziego potępiona skromnie odpowiada: „Stwórco, nie zgrzeszyłam“.

Głos z tronu każe przyjść aniołowi stróżowi téj potępionéj duszy. Z księgą, gdzie wyraźnie są nakreślone nie tylko czyny, ale myśli i uczucia potępionéj; zjawia się posłaniec Boży i czyta szereg ohydnych występków. Grzmiący głos sędziego każe strącić zatwardziałego grzesznika do czeluści piekielnych. Śpiew chóralny zastępów niebieskich stanowi w obu razach finał tych scen dramatycznych.

IV. Anioł unosi św. Pawła do nieba. Złota brama prowadzi do Jerozolimy niebieskiéj. Na słupach bramy widzi Paweł dwie dyamentowe tablice, ozdobione dziwnemi nadpisami, których przeczytać nie może. Anioł tłómaczy, że tu są wypisane imiona i uczynki sprawiedliwych. Za bramą spotykają nasi wędrowcy starca, który zbliża się do apostoła, ściska go i płacze. Na pytanie, jak się nazywa i czemu płacze, starzec odpowiada, że się nazywa Enoch a płacze nad grzesznikami („wielu wezwanych, a mało wybranych“). Postępując daléj, widzą podróżni szeroką rzekę, która, tworząc olbrzymie koło, nurty swoje toczy. Jest to ocean, „który otacza ziemię“. Za oceanem w oddaleniu, widzi Paweł ziemię nad złoto i srebro błyszczącą i olbrzymie wody, przez które na złotym okręcie anioł Boży przewozi wybranych do ich Królestwa. Na brzegach téj rzeki czy jeziora rosną drzewa owocowe, obarczone daktylami, figami etc. W wodzie téj oczyszczają się dusze przez zanurzenie, i zupełnie niewinne idą na miejsce przeznaczenia. Na złotym okręcie, sterowanym przez niebiańskiego sternika, płyną dwaj wędrowcy ku jaśniejącemu od złota i drogich kamieni grodowi. Dwanaście murów opasuje go dokoła, tyleż baszt piętrzy się nad nim. Cztéry rzeki okalają ten gród (1): mleczna, miodowa, oliwna, winna. Za bramą Jerozolimy widzą podróżni olbrzymie drzewo z szerokiemi konarami bez liści; u stóp jego leżą i płaczą ludzie płci obojéj, którzy, według komentarza przewodnika pokutują tu za próżność, jaką kiedyś grzeszyli, nie znając innych win. Wędrowcy zwracają się ku południowi; tu, na brzegu mlecznéj rzeki widzą dusze młodzianków, przez Heroda zabite. Na wschodzie oglądają i witają Abrahama, Izaaka i Jakóba, na północy słyszą śpiewy sprawiedliwych; na zachodzie—miejsce pobytu ubogich duchem. Ztąd nasi podróżni zbliżają się do kresu Jerozolimy niebieskiéj. Widzą tu oni olbrzymi ołtarz, od którego złota łuna bije. Przed ołtarzem śpiewa i gra na

(1) W niektórych wersyach podane są imiona.

harfie starzec z psałterzem w ręką; poznajemy w nim Dawida, a w śpiewie „Alleluja". Autor wizyi korzysta ze zdarzenia, żeby szeroko o znaczeniu „Alleluja" rozprawiać".

V. Z nieba apostoł zstępuje do piekła. Na wstępie widzi on ognisty potok, w którym, stosownie do popełnionych grzechów w rozmaitéj wysokości pogrążeni są grzesznicy. Są to złodzieje, zbójcy, oszuści, i ci, którzy zbytnią ufność w doczesnych dobrach pokładali. W inném miejscu potoku pokutują grzeszący próżnością, rozmową i obmową w kościele i nieczystością po sakramencie komunii. Potok ten ma 300,000 (lub 300 według innych redakcyi) łokci głębokości. Czteréj dyabli-oprawcy wloką jakiegoś starca, wyciągając mu powoli ostrzem żelaza wnętrzności przez usta; to— ksiądz, któremu były obce obowiązki jego stanu; obok niego w ogniowym potoku siedzi niedbały o dobro powierzonych mu dusz biskup. Za nim dyakon zanurzony do pasa, u nieszczęsnego z ust wypełzają robaki. Przy rozpalonéj ścianie miedzianéj siedzą grzesznicy, zjadający własne języki: mówili dużo o cnocie, ale zawsze z nią w rozbracie zostawali. Paweł opłakuje tych potępieńców, i za to surową naganę od anioła dostaje. Posuwając się daléj wśród ciemności, zbliżają się do okrwawionych dołów, gdzie siedzą truciciele krzywdą wdów i sierot zbogaceni i uwodziciele. Szeregami postępują w czarnych szatach niewiasty ognistemi kijami srodze bite: to matki, które dzieci swe pozabijały. W brudnych szatach grzęzną po błocie kobiéty, które przed zamęściem niewinność swą utraciły. Na samym środku piekła widzą podróżni zamkniętą i zapieczętowaną siedmiu pieczęciami studnię. Na żądanie Pawła i rozkaz anioła, stróż piekielny otwiera ją; apostoł, od cuchnących wyziewów, które z otworu się wydostają, prawie traci zmysły. Przewodnik tłómaczy ciekawemu apostołowi, że tu są karani najwięksi grzesznicy: nie wierzący w boskość i niepokalane poczęcie N. Panny i w to „że z niéj się Pan narodził"; również nie chcieli oni nic wiedzieć o zmartwychwstaniu ciał i sakramencie komunii.

VI. Żal ściska serce Pawła; z głębi serca wznosi litościwy apostoł gorące modły do Najwyższego, prosząc o ulgę i zmiłowanie dla tych nieszczęśliwych (1). Od Boga zesłany zjawia się archanioł Gabryel, całe piekło brzmi jękami i prośbami. Paweł wstawia się za niemi. Posłaniec niebieski ogłasza, że za przyczyną apostoła, grzesznicy w piekle w niedzielę od mąk będą swobodni.

VII. Teraz Paweł porzuca piekło i śpieszy do raju. Znać, że twórczość autora wizyi już się wyczerpała, bo opis raju we wszyst-

(1) W innych Michał lub Syn Boży z całym majestatem swéj chwały.

kich redakcyach zupełnie bezbarwny. Z kolei Paweł spotyka Adama i Ewę, widzi drzewo wiadomości dobrego i złego, z korzeni wypływają cztery rzeki w cztery strony świata: Fizon, Geon, Tygrys i Eufrates (1). Archanioł z ognistym mieczem stoi przy niém. Abraham, Izaak, Jakób, Józef, Mojżesz, Izajasz, Manases, Jezechiasz, Noe, Enoch, Eliasz i Elizeusz wychodzą na spotkanie Pawła, ściskają go, przypominając szczegóły swego życia, lub skarżąc się na Żydów.

Na tém urywa się wizya św. Pawła.

Z analizy i zestawienia tekstów musimy przyjść do następującego wniosku: początkowo wizya św. Pawła składała sie z dwu części: nieba i piekła; szczegóły o raju, jak i opowiadanie o znalezieniu rękopismu dodano późniéj; prawie we wszystkich łacińskich redakcyach (drukowanych w książce H. Brandesa), znanych mi rękopismach (*Cod. lat. Vind.* N. 1629 i 3881) i wielu przeróbkach francuskich, niemieckich i angielskich znajdujemy tylko te dwie części (niebo i piekło), o sądzie, śmierci grzesznika i sprawiedliwego, znalezieniu rękopismu etc. niéma ani słowa. Z oryginalnych greckich redakcyi mogła się przechować jedna (drukowana u Tischendorfa). Jedyną wskazówką chronologiczną jest szczegół o grzésznikach, siedzących w studni. Ze sformułowania grzechów, popełnionych przez nich, wnosić można, że tu mowa o sekcie Nestoryusza. Apokalipsa więc św. Pawła mogła być napisaną dopiéro w końcu czwartego wieku, a nawet na początku piątego, kiedy Nestoryanie stali się głośni na Wschodzie i religijna polemika rozpowszechniła się.

Pomimo dosyć słabéj formy, bezbarwnéj i monotonnéj treści, wielu komunałów, wizya ś. Pawła była bardzo popularną na Wschodzie i Zachodzie. Czytano ją po syryjsku, grecku, łacinie i w językach ludowych staréj Europy; z ciemnéj celi mnicha przeszła ta wędrówka apostoła i na usta żonglera, który lichemi rymami lub assonansami ją wyśpiewywał, przeszła w suchéj nędznéj prozie i do moralnych powieści ludowych (niemieckich) i do kazań. Kiedy straciła zupełnie urok—określić trudno; prawdopodobnie przed odrodzeniem. W szeregu wizyi średniowiecznych na Zachodzie jedna z pierwszych—wizya św. Pawła, ostatnia—Dantego; z Boską Komedyą myśl ludzka przechodzi na inne tory, tracąc powoli wrażliwość na groźby mar piekielnych.

L. Szepielewicz.

(1) Nazwy rzek tych w niektórych wersyach nie są podobne.



ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Wincenty Rapacki: 1) Bogusławski i jego scena, widowisko w 5-ciu aktach str. 142.— 2) Odbijanego, komedya w 5-ciu aktach, rzecz dzieje się w 1-széj połowie XVIII wieku, str. 78. — Warszawa. Gebethner i Wolff 1888.

Komedye historyczne w ostatnich kilkunastu latach dość często pojawiały się w naszém piśmiennictwie; za pojawieniem się każdéj lubiący literaturę i zastanawiający się nad kwestyami estetycznemi śledzili z ciekawością, czy się znajdzie coś w niéj takiego, coby głębiéj usprawiedliwiało zwrot talentów ku téj dziedzinie. Zadawano sobie pytanie, jakie też właściwie znaczenie estetyczne i psychologiczne miéć może poszukiwanie żywiołu komicznego w mniéj lub więcéj odległéj przeszłości, jeżeli się pominie chęć zbliżenia dla wyobraźni spółczesnych tła dziejowego, obrazu obyczajów i kostiumów minionych. Wyznać potrzeba, że żadna z prac dotychczasowych, począwszy od Korzeniowskiego a skończywszy na Komorowskim, nie uwydatniła odrębnéj jakiejś psychologicznéj cechy charakterów w epoce dawnéj tak, iżby komizm ich mógł być przeciwstawiony komizmowi charakterów dziś żyjących. Śmiészności, wady i błędy czasów odległych, odtworzone w tych komedyach, miały zawsze podobieństwa wielkie z dzisiejszemi nie tylko co do wewnętrznéj natury swojéj, ale i co do form objawiania się swojego, a jedyna w tym względzie różnica polegała na odrębności warunków zewnętrznych.

Czy p. Rapackiemu lepiéj się niż poprzednikom jego powiodło? Czy zdołał on odnaleźć złoto a raczéj poezyodajną żyłę, tryskającą właściwym znamiennym komizmem.

Na tak bezwzględnie postawione pytania musiałaby wypaść odpowiedź przecząca; ale jeżeli zważymy trudności, z któremi ko-

medyopisarz w téj sferze walczyć musi, jeżeli zwrócimy uwagę na szczegóły w przeprowadzeniu akcyi dramatycznéj; to słuszność nakaże nam przyznać, iż autor „Bogusławskiego“ i „Odbijanego“ zrobił pewien krok naprzód, bo już nie tylko strona powierzchowna odróżnia osoby jego komedyi od podobnych okazów w teraźniejszości, lecz także wybór takich sytuacyi, któreby się już obecnie powtórzyć nie mogły.

„Bogusławski i jego scena“, to komedya rozgrywająca się w czasach nader ważnych dla nas, w epoce sejmu czteroletniego, a przedstawia w sposób nader żywy i prawdziwie dramatyczny walkę o prawa języka narodowego w teatrze, walkę prowadzoną z przesądem, uprzedzeniem, nałogiem i złą wolą. Bogusławski, pozyskawszy sobie zwolenników dla swéj myśli artystyczno-narodowéj wśród najbliższéj rodziny królewskiéj, występuje przeciwko kamerdynerowi królewskiemu a zarazem staroście piaseczyńskiemu Ryxowi, by zdobyć możność dawania przedstawień w języku ojczystym, by wypchnąć teatr francuski z łask ogółu. Narazie doznaje niepowodzenia, bo nie wszyscy aktorowie tą samą co on myślą byli przejęci, musi udać się na Litwę, by tam rozbudzić zamiłowanie do widowisk scenicznych; ale niebawem wspomożony ogólną akcyą sejmu czteroletniego, korzysta ze zniesienia przywilejów i wraca do Warszawy, by tu uorganizować stałe reprezentacye.

Ta treść najogólniejsza wskazuje już sama przez się, iż sytuacye, w których została rozwinięta, jako najściśléj z przeszłością złączone, już się powtórzyć nie mogą, że zatém żywioł dramatyczno-komiczny musi miéć tu swą odrębną fizyonomią zewnętrzną i duchową. Naturalnie najsilniéj się to uwydatnia w scenach poważnych, w których stosunki społeczno-polityczne są odmalowane; ale coś z tego udziela się i scenom komicznym, których w téj sztuce jest sporo i to w dobrym smaku. Postać suflera Skrzypalskiego, przejętego zawodem teatralnym jakby najistotniejszą, a nawet jedyną treścią swego życia, jego zachowanie się wobec księżniczki Amelii przy poruczeniu się jéj łasce z powodu swego benefisu, jego deklamacye i udawanie różnego rodzaju chodów, jego humor przy zmoczeniu się w rzece gdy wracano z Litwy: są tak świetnie pomyślane i tak dobrze wykonane, iż do najlepszych w naszém komedyopisarstwie policzone być winny. Cały akt drugi, przedstawiający „scenę za sceną“ tj. zwyczaje, rozmowy, intrygi aktorów w czasie antraktów od początku niemal do końca celuje wyborną charakterystyką, iskrzącą się nieraz prawdziwym dowcipem a co ważniejsza prawdziwym komizmem. Oczywiście, autor brał tu rysy z obserwacyi stosunków spółczesnych w teatrze i dlatego wlał tyle praw-

dy w swój obraz; lecz dodać téż potrzeba, iż umiał bardzo zręcznie zużytkować wiadomości przekazane nam przez kronikę teatralną i ogólną stulecia ubiegłego. Tak np. epigramata na Ryxa pisane przez Skrzypalskiego, niesnaski między aktorami i aktorkami z powodu miłości lub nienawiści, rozczulenie się szlachcica, który wypadki na scenie traktował jako rzeczywiste; takie i tym podobne szczegóły przenoszą nas istotnie w czasy minione i są dobrze użytą ilustracyą akcyi w odtworzonéj sztuce.

Komedya „Odbijanego“ przenosi nas w inne czasy i inne stosunki. Autor nie określił bliżéj chwili, w któréj akcya się toczy; zdaje się nawet, że niezupełnie dokładnie sam przed sobą wyjaśnił tę kwestyą chronologiczną, bo na tytule mówi o pierwszéj połowie XVIII wieku, gdy w tekście jest mowa o „nowym królu“, który dyplomami szlachectwa hojnie szafował, co oczywiście wskazywałoby Stanisława Augusta, a więc drugą połowę tego stulecia. Ponieważ jednak sprawa ta nie ma żadnego wpływu na przebieg działania dramatycznego, możemy ją wzmiankować tylko, nie robiąc na ten punkt nacisku. Rzecz cała polega właściwie na zetknięciu się dwu bujnych, awanturniczych, ale, jak chce p. Rapacki, w gruncie szlachetnych natur, znanych dobrze z pamiętników i powieści, t. j. Stanisława Gozdzkiego i Mikołaja Potockiego, starosty Kaniowskiego. Gozdzki miał sławę nieustraszonego rycerza, niezwyciężonego Don Juana, a nawet potrosze czarodzieja, gdyż jak szlachta sobie uboższa przy kielichu opowiadała, nigdy się go żadna kula nie chwyciła a on mógł rozdzielać swą osobę jak zechciał i jednocześnie być w Krakowie, we Lwowie lub Glinianach. Potocki to rozbisurmaniony magnat, nieuznający żadnéj po nad sobą woli ni prawa, drwiący z ludzi, krzywdzący i nagradzający ich, opój i nabożniś zarazem, grubijanin i człowiek honorowy w jednéj postaci. Gdy się żyd skarżył, że został oszukany przez ekonoma, który sprzedawał pokryjomu dobro pańskie, kazał położyć ekonoma a na nim żyda i dać mu pięćdziesiąt, powiadając: „niech szlachcic żydowi za ławę służy.“ A gdy znów inny szlachetka poskupował weksle starosty i upominał się o należność, taką mu kazał wymierzyć sprawiedliwość: Wylać jednę beczkę ze smołą i dna wyjąć, niech jegomość przez beczkę przelezie w białym żupanie; jeżeli wyjdzie czystym bez czarnéj kropki, zapłacę, wszystko bez sądu, a jeżeli żupan umaluje dobrze w smole, niechże mnie procesuje. Ożenił się z panną Dąbrowską, córką swego ekonoma, obchodził się z nią pogrubijańsku, nieraz wypominał, że podniósł ją z niskiego stanu, więził, przerażał nagłemi strzałami, zawsze wymagając bezwarunkowego posłuszeństwa i miłości. W drodze ujrzał raz Gozdzki oboje, a że zo-

stał przez starostę znieważony, pokochał zaś żonę jego, rozpoczął walkę z magnatem, porwał mu żonę, wytrzymał oblężenie, raniony, musiał uledz woli swego ojca a raczéj macochy, oraz życzeniu starościny, musiał ją oddać mężowi. Ale nie zaniechał wyzdrowiawszy dalszych kroków i po raz drugi wziął starościnę. Dopędzony w ucieczce przez Potockiego, gotów był życie położyć; ale okazało się to niepotrzebném; starostę ruszyło sumienie, pożałował swego popędliwego postępowania, przekonał się, że żona jego nie może być z nim szczęśliwą, zrzekł się praw do niéj i sam przyrzekł wystarać się o rozwód, ażeby za Gozdzkiego wyjść mogła.

Komizmu w téj sztuce niewiele; bo same charaktery nie są potemu, ażeby je ze strony wesołéj malować; w podrzędnych téż jedynie postaciach karczmarza zazdrośnego i ładnéj karczmarki, ubogiéj szlachty i t. p. znajduje czytelnik trochę żywiołu do śmiechu. Akcya nie jest urozmaicona; już podwójne porwanie stanowi błąd artystyczny bardzo ważny, jakkolwiek złagodzony przez autora umiejętném wyzyskaniem sytuacyi. Rozwija się ona zwolna, gdyż komedyopisarz miał widocznie na celu głównie wielostronne odtworzenie dwu tak oryginalnych i istotnie do dramatyzowania nadających się postaci, jak Gozdzki i Potocki. Przyznać téż należy, iż one wychodzą plastycznie i upamiętniają się nadługo w umyśle czytelnika; gdyby tylko bogaciéj i żywiéj rozwinięto akcyę, mógłby ten utwór zająć poczesne miejsce w naszéj dramaturgii. Obecnie można mu przyznać zalety przeważnie dobréj charakterystyki naczelnych postaci, oraz rozmów charakterystycznie prowadzonych.

Wybór zatém znamiennych osobistości, tworzenie sytuacyi możliwych istotnie tylko w pewnych chwilach dziejowych, a poczęści werwa komiczna zastosowana dobrze do żywiołu tradycyjnego: oto cechy najnowszych produkcyi naszych w zakresie komedyi historycznéj. *P. Ch.*

= **Piękna żydówka**, *szkic psychologiczno-społeczny przez Wilhelma Feldmana (W. F. Zbaraskiego).* Warszawa, 1888, str. 213). — Choć w formie powieściowéj, nie jest to przecież powieść, w któréjby autor starannie, ze spokojem artystycznym malował pewną stronę stosunków ludzkich. Jest to utwór nawskroś tendencyjny, publicystyczny, mający na celu rozpowszechnienie pewnych poglądów na sprawę Żydów w Galicyi. P. Feldman jest gorącym i wymownym zwolennikiem zlania się ludności żydowskiéj z polską na podstawie wspólnéj pracy i przejęcia się spólnemi ideałami. „Ideałem naszym — powiada doktór Jakób, bohater dodatni, repre-

zentujący przekonania autora — jest ustrój społeczny, dozwalający i pomagający każdéj jednostce rozwijać się swobodnie pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym, — ustrój, będący wcieleniem prawdy i sprawiedliwości, a stan taki może zakwitnąć i istniéć bez jedności antropologicznéj [to jest rasowéj] i religijnéj członków danego społeczeństwa“ (str. 188, 189). Że jedność religijna Żydów z resztą ludności jest nie tylko nie konieczną, ale owszem okazać się może szkodliwą, starał się autor wykazać w historyi pięknéj Klary, córki karczmarza wiejskiego, która nastrojem duszy, wychowaniem i wpływami postronnemi w dojrzalszym wieku, zdecydowała się zostać katoliczką, przeprowadziła zamiar w czyn przy pomocy księdza grecko-unickiego i pani marszałkowéj, lubiącéj zwiększać trzódkę Chrystusową, ale nie dbającéj wcale o dalsze losy téj trzódki, i... została nauczycielką, by w szeregu niefortunnych prób dojść do rozczarowania względem idealności wyznawców téj nowéj wiary a znaleść wyrozumienie, osłodę cierpień, a wreszcie miłość w domu żydowsko-obywatelskim. W ugrupowaniu ludzi, z któremi stykała się Klara-Helena, najwięcéj daje się uczuwać tendencyjne założenie autora, co wybrane przez siebie domy obywatelskie nazywa przez usta bohatera „typowemi“, choć same ujemne strony przedstawiają. Niekoniecznie bohaterka musiała się spotkać z trywialnością, brutalstwem, cynizmem, zepsuciem, ograniczeniem poczciwego umysłu, szalbierstwem w sprawach ogólnych; mogła przecież natrafić i na domy zacne i rozumne. Tendencya sprawiła, że dodatnie przymioty znalazła dopiéro w domu żydowskim, gdzie i patryarchalny Salomon, żyjący w najlepszém porozumieniu z chłopami, i idealny doktór Jakób, i nawet liberał w duchu niemieckim Eliasz i dobra żona jego pociągają ku sobie serca i umysły. Wié o tém i sam autor; bohaterka jego w rozżaleniu, po kobiecemu uogólnia w pewnéj dobie życia swe wrażenia i goryczą się przejmuje, ale w końcu dochodzi do jaśniejszego na rzecz poglądu i dla kilku poznanych jednostek złych nie potępia całego społeczeństwa, jak dla kilku szlachetnych i rozumnych postaci żydowskich nie przejmuje się względem całéj masy entuzyastycznem uwielbieniem, któreby nie dopuszczało jéj widziéć ciemnych punktów w charakterze i sposobie postępowania swoich po krwi spółrodaków. Autor niedorzecznem marzeniem nazywa chęć utworzenia odrębnego państwa żydowskiego, a machinacye zaciekłych rabinów, nie chcących dopuścić zbliżenia się dwu ras od tak dawna razem żyjących, piętnuje mianem szkodliwości społecznéj. Ciekawe lubo dość ogólnikowe są zarysy budzenia się nowych prądów wśród Żydów galicyjskich (str. 154, 155). „Światło

się do nas przeciskało — opowiadał Eliasz. — Jak? czyż wiem? Nieznacznie jakoś dowiadywaliśmy się, że za górami i rzekami jest inny, większy, piękniejszy świat i zapragnęliśmy go poznać. Dostawaliśmy skądsiś Mendelsohna, tłumaczenie i komentarz biblii; to był nasz abecadlnik. Zaczęliśmy się uczyć — w skrytości, zaczęto myśléć samodzielnie, zaczęto krytykować i analizować, przekraczano granice zakreślone przez ograniczonych starców i fanatyków, czytywano rzeczy heretyckie, bezbożne — owoc zakazany przynęcał.... A wszystko to tajemnie, nieśmiało, pocichu, bez rewolucyjnych haseł i burzycielskich okrzyków. Na rozwartych foljałach talmudycznych trzymaliśmy drobne książeczki niemieckie. Zatapialiśmy się w nich chciwie i nabożnie, rozkoszowali się świeżemi myślami i całym tym nowym światem, jaki się ukazywał zdumionym naszym oczom. A ilekroć do stancyjki wchodził melamed lub starowierca, wnet znikały małe książeczki w kieszeni długiego chałata, a my, niewinne trusie, kuliśmy na głos daléj *gemarę*.... A co przytém było obaw i cierpień, heroizmów i zdrad! Ujęci bowiem na przemytnictwie nauki, ciężko musieliśmy nieraz pod rzemieniem melameda pokutować. A skarżyć się nie było przed kim, bo rodzice nieraz do melamedowskich swoje dodawali cięgi.... Skorupa, osklepiająca tę niegdyś zbitą masę, pękła; wprzód wyłoniła się garstka młodych, a chciwych światła ludzi, która zrzuciła z siebie pęta niewoli duchowéj i zaczęła pokarmu dla siebie szukać w źródle wiedzy europejskiéj.“ Takie i tym podobne ustępy mają cechy prawdy nie tylko obserwowanéj ale i odczutéj. Styl opowiadania wogóle bardzo żywy i jakkolwiek nie obfituje w piękne porównania, zająć może. Pogłębienia psychologicznego, subtelnéj analizy nie doszukamy się tu, ale zaznaczane przez autora przejścia duszy młodéj, ufnéj, idealistycznie nastrojonéj są bardzo prawdopodobne i zrozumiałe nawet bez szczegółowszych objaśnień. Autor śpieszył się w nagromadzeniu coraz to nowych sytuacyi i dlatego nie chciał się zatrzymywać dłużéj nad malowaniem osób i stosunków; to téż osobistości po przeczytaniu, z wyjątkiem trzech czy czterech, łatwo wychodzą z pamięci, ale zostaje ogólne wrażenie, korzystne dla autora jako obywatela i pisarza. Niektóre, acz nieliczne ustępy, malujące stan duszy miotanéj niepewnością lub grozą, zdają się wskazywać, że nie tylko publicystyczna, ale i artystyczna działalność leży w zakresie uzdolnień p. Feldmana. W języku potrzebne byłyby pewne poprawki.

= **Polacy w Bazylei w XVI wieku** *Z metryk uniwersytetu bazylejskiego wydał Dr. Józef Kallenbach.* (Kraków 1888, str. 11). — Posuwające się z każdym rokiem coraz więcéj naprzód studya nad lite-

raturą i ruchem umysłowym w Polsce w XVI wieku skierowały uwagę badaczy naszych na wielką ówczesną frekwencyą Polaków do zagranicznych uniwersytetów. Istotnie też z prowadzonych skrzętnie w tym kierunku poszukiwań okazuje się, że w życiu cywilizacyjném Polski frekwencya owa bardzo wybitną odegrała rolę. Współczesne metryki uniwersyteckie zagraniczne zdumiewające wykazują cyfry Polaków. Odbyta przed dwoma laty polska wyprawa naukowa do Rzymu, przyniosła nie mało materyałów do téj kwestyi się odnoszących, które po opracowaniu posuną znacznie wiedzę naszą w tym kierunku i przyczynią się do rozjaśnienia wielu szczegółów niemałéj doniosłości dla naszéj historyi i literatury. Owocem wzmiankowanéj wyprawy i krótkiego pobytu autora w Bazylei jest powyższa praca. Zestawił tu p. K. imienny wykaz Polaków zapisanych w uniw. Bazylejskim na podstawie tamtejszych metryk od r. 1551 do 1559, obejmujący 145 nazwisk. Spis ów, porównany z wydanym przez p. Karłowicza albumem uniw. Wittenberskiego, wykazuje wielką liczbę tych samych nazwisk, które autor oznaczył odnośnikiem i naprowadza na domysł, że Polacy ówcześni wyruszywszy na studya za granicę, nie zadowalali się jednym uniwersytetem ale zwiedzali po kilka. Przypuszczać należy, że liczna frekwencya owa na obu wzmiankowanych uniwersytetach miała swe źródło w gorączce współczesnych nowatorstw Lutra. Na końcu wykazu swego, w którym wypadkowo nie znajdujemy żadnego z główniejszych nazwisk historycznych, przytacza p. Kallenbach życiorys Marcina Chmielnickiego, profesora i rektora uniwersytetu bazylejskiego w latach 1589—1662, wzięty z dzieła Herzoga „Athenæ Rauricæ", wyd. w r. 1778, a obejmującego wykaz profesorów uniwersytetu bazylejskiego. *P.*

= **Histoire de la Philosophie.** *Les problèmes et les écoles par Paul Janet et Gabriel Séailles.* (Paris 1887, str. III + 1084, duża 8-ka).— Wspominamy o téj książce z dwóch powodów, mianowicie, dla jéj metody i dla treści. Metoda, któréj autorowie użyli, jest następująca. Roztrząsają po kolei problemata z zakresu psychologii, moralności, logiki, metafizyki i teodycei i to stanowi część pierwszą, obejmującą stronic 910; w drugiéj, daleko mniejszéj, mieszczą się wiadomości o szkołach filozoficznych. Książka przeznaczona jest tak dla ucznia jak i dla nauczyciela. Nowość metody polega na tém, że autorowie nie opisują oddzielnie każdego autora, łącząc wykład jego mniemań o rozmaitych kwestyach filozoficznych, jak to wogóle czyniono; lecz roztrząsają ich pojęcia o najważniejszych zagadnieniach w danym przedmiocie. Tak np. chodzi o znaczenie i zakres filozofii: autorowie przytaczają, często dosłownie, jak od

czasów najdawniejszych rozumiano i sam wyraz i zakres przedmiotów traktowanych przez filozofią; albo, jak się zapatrywano na problemat moralnéj woli i konieczności; albo, jak pojmowano idee ogólne i jakoby wrodzone. Tym sposobem czytelnik z pomocą historyi uczy się psychologii, logiki, etyki. Metoda taka ma swoję dobrą stronę, pozwala bowiem w ciągu krótkiego czasu zaznajomić się z najważniejszemi kwestyami danego zakresu i z mniemaniami wybitniejszych filozofów o tych zagadnieniach. Budzi się przez to żywszy interes, aniżeli, gdyby każdą część filozofii wykładano systematycznie, paragrafami, abstrakcyjnym językiem. Nadto, metoda taka pozwala obejść się poniekąd bez obszernéj biblioteki, gdyż autorowie często, jak powiedziano, nietylko parafrazują przytaczanego autora, lecz dosłownie całe wyjątki z pism jego podają. Zapoznaje się tedy czytelnik bez wielkiego trudu i z bibliografią przedmiotu i z celniejszemi pojęciami. Niedogodność metody takiéj leży w tém, że zmusza do powtarzania się, albowiem w drugiéj części książki spotykamy się znów z tymi samymi autorami. Ponieważ znów trudno było poprzestać na saméj ich biografii, więc powtórzenie już poprzednio wyłożonych kwestyi, stało się nieuniknioném. Pomimo tego książkę uważamy za pożyteczną i bardzo ułatwiającą oryentowanie się w labiryncie filozoficznych mniemań. Co do stanowiska autorów — to, możnaby nazwać spirytualizmem eklektycznym. Janet jest pisarzem znanym, autorem licznych dzieł z zakresu etyki, historyi polityki i innych gałęzi filozofi. Jako uczeń Cousin'a, reprezentuje spirytualizm francuski w dobrym guście; pisze jasno, jest świadom wszelkich kierunków myśli ludzkiéj, nie wyklina inaczéj na rzeczy patrzących, stara się być przedmiotowym sprawozdawcą z cudzéj pracy, nie zrzekając się jednak swojego stanowiska. Séailles, młody pomocnik i uczeń jego dopasował się do mistrza, tak, iż nie możnaby poznać, co który z nich do książki włożył, gdyby stary Janet przez galanteryą nie przyznawał współpracownikowi głównéj zasługi. Jakkolwiekbądź, encyklopedya, o któréj mówimy, przydać się może nawet tym, którzy na inném stanowisku filozoficzném stoją, głównie dla obfitości materyału w niéj zawartego i do szybkiego informowania się o wszelkich problematach filozoficznych.

═ **Geschichte Polens** *von Dr. Jacob Caro. Fünfter Teil, zweite Hälfte: 1481 — 1506.* (Gotha, 1888; str. XII spisu rzeczy i tekstu 531, t. j. od 501 do 1031). — Pierwsza połowa tego tomu, czyli jak autor nazywa części, wyszła 1886 r. Wiadomo, że profesor wrocławski jest kontynuatorem Roepella, który jeszcze w 1840 wydał I-szy tom „Historyi Polski." Podziwiamy tych Niemców: Roepell zajmuje się

naszemi dziejami za namową żony swojéj, warszawianki *(si fabula vera)*; Caro ciągnie jego pracę już przez ćwierć wieku (od r. 1863); Perthes, gotajski nakładca, nie żałuje pieniędzy na wydanie książki, któréj z pewnością mniéj się rozejdzie egzemplarzy niż „Potopu.“ A my? — Przechodząc od podziwu do zwykłéj roboty, notujemy dla wiadomości czytelnika, którego nie stać na kupno książki (10 marek = 40 zł.), że druga połowa piątego tomu „Historyi Polski“ obejmuje księgę trzynastą, a w niéj rządy Kazimierza Jagiellończyka (ostatnie lata), Jana Olbrachta i Aleksandra, wszystkiego ledwie ćwierć wieku. Czasy to nadzwyczaj interesujące ze względu na wyrabianie się konstytucyonalizmu, wzrost możnowładztwa, wiązanie rąk koronie, że już pominiemy zdarzenia wojenne, kombinacye dynastyczne Jagiellonów, spółzawodnictwo sąsiadów. Szczegółów moc wielka. P. Caro jest historykiem wogóle sumiennym, zna źródła, z których czerpać należy wiadomości do naszych dziejów, z przedmiotem się zrósł i nie żywi do nas germańskiéj nienawiści. Zawsze jednak serce go czasami ciągnie do krzyżackich rycerzy, z którymi przodkowie nasi, co prawda, nie umieli sobie radzić, tak, jak ich potomkowie z samymi sobą. Czytelnik będzie nas miał za wymówionych, jeżeli na téj krótkiéj wzmiance o pracy prof. Caro poprzestaniemy; jest przecież Czasopismo historyczne, które zapewne już pomieściło recenzyą książki, albo ją z obowiązku umieści.

= **Michał Bałucki.** *Szkic literacki przez Czesława Pieniążka.* (Poznań 1888, str. 38). — Obóz zachowawczy chmurném i niechętném okiem spogląda na autora „Młodych i Starych.“ To téż nie szczędzi starań, by oskubać z liści wieniec laurowy, wsadzony na jego skroń. Obowiązków tego rodzaju w ostatnich czasach podjął się p. Pieniążek. Napisał tedy „szkic“, w którym rzuca gromy potępienia na Bałuckiego za „włoski libertynizm“, ośmieszanie księży i duchownéj hierarchii i kastową nienawiść ku szlachcie. Owo ryczałtowe zasądzenie pozwala przypuszczać, iż autor „szkicu“ zalicza się do staréj szkoły krytycznéj, ferującéj bezwzględne wyroki. Dlatego też trudno przypisać broszurce p. Pieniążka jakąkolwiek wartość lub liczyć się z jego zdaniem. Miałoby ono bowiem dopiéro wtedy pewne znaczenie, gdyby krytyk wykazał, w jakiém otoczeniu i wśród jakich wpływów krystalizował się ongi jeszcze mięki jak wosk umysł pisarza, jakie pierwiastki wchodzą w skład jego twórczości, skąd czerpał dane do swych utworów, jakim przedstawia się mu świat i dlaczego takim, a nie innym. Tego można wymagać od literackiego studyum, inaczéj krytyka będzie wadliwą, zupełnie złą nawet. Wartościową częścią szkicu natomiast jest autobiografia,

którą Bałucki napisał na prośbę p. Pieniążka. W ustępie tym pełno wdzięku i prostoty zarazem, tak zwykłéj szczerze demokratycznemu twórcy „Białego murzyna.“

= **Catalogus codicum** *manu scriptorum Musei principum Czartoryski Cracoviensis edidit Dr. Josephus Korzeniowski. Fasciculus secundus.* (Kraków, 1888, 4-to, od str. 97 do 178). — O pierwszym zeszycie tego pożytecznego wydawnictwa wspomnieliśmy w swoim czasie. Zeszyt drugi, obecnie wyszły z druku podaje nam treść dalszych rękopisów w „Muzeum“ przechowywanych od N-ru 439—603. Rękopisy te zawierają materyały do dziejów naszych w XVII i XVIII wieku. Wydatne między niemi miejsce zajmuje zbiór szembekowski, zawierający niegdyś 7888 dokumentów, rozdzielonych na 75 tomów, z których obecnie brakuje ośmiu. Zebrał tę poważną kolekcyą Jan Szembek, kanclerz w. koronny, gromadząc w niéj już to w oryginałach, już w odpisach listy, akta i dokumenty od r. 1688 do 1760 (przeważnie od roku 1698 do 1732). Inne kodeksy rękopiśmienne, w niniejszéj części katalogu objęte, odnoszą się po większéj części do tejże saméj epoki. Ogłaszając ten katalog, wydawca podaje badaczom dziejów klucz niejako do nagromadzonych w „Muzeum“ materyałów.

= **„Modus inquirendi** *super statu ecclesiae generalis*“ z *pierwszéj połowy XV stulecia podał i objaśnił Bolesław Ulanowski.* (Kraków, 1888, str. 24). — W jednym z rękopisów biblioteki Jagiellońskiéj znajduje się pod powyższym tytułem zabytek ręką z pierwszéj połowy XV wieku skreślony, obejmujący instrukcyą postępowania, mającego na celu powstrzymanie i stłumienie szerzącego się husytyzmu. Dr. Ulanowski ogłaszając ciekawy ten pomnik, opatrzył go dłuższym wstępem, gdzie z całym należnym aparatem naukowym objaśnia charakter i znaczenie tego pomnika, a dochodząc daty jego powstania, wiąże ją z synodem zwołanym przez arcybiskupa Mikołaja Trąbę, na dzień 24 sierpnia 1422 roku do Łęczycy. Dlatego szanowny autor ogłosił tu i okólnik arcybiskupa, zwołujący duchowieństwo na synod, oraz transumowaną bullę papieską. Nie śmiejąc, jako niespecyalista, zabierać głosu w kwestyach dotyczących prawa kościelnego, zwrócę tylko uwagę na urywek, ogłoszony przez D-ra Caro w *Liber cancellariae Stanislai Ciołek*, część II, str. 248, oraz na wizytę Alberta archidyakona gnieźnieńskiego przed 10 lipca 1426 w Trzemesznie (ob. Mon. Pol. hist. V. *Varia*, IV. *E codicibus Trzemesensibus* pod r. 1426).

= Drugi tom **„Wisły“**, kwartalnika poświęconego etnografii, pod redakcyą d-ra Jana Karłowicza, zarówno co do treści jak formy przedstawia się zajmująco i powabnie. Na czele zdobi go koloro-

wany rysunek wieśniaczki z pow. Nowoaleksandrowskiego (w gub. Kowieńskiéj), wykonany przez p. W. Gersona, podług szkicu p. *Alfreda Römera*, który dał do rysunku stosowne objaśnienie.—Wśród prac tu ogłoszonych pierwsze zajmuje miejsce dokończenie „Podróży Niemnem“ p. *Z. Glogera*. Opis malowniczych brzegów rzeki od Merecza do Kowna, skreślony zajmująco, a objaśniony dziewięciu drzeworytami. Mimochodem zaznaczymy, że użyte przy wzmiance o zamczysku w Puniach wyrażenie „dębowe poziome ostrokoły“ nie jest dość ścisłe. Ostrokół był z konieczności pionowym, jako zastępujący mury forteczne; kłody, poziomo pod wałem założone, były rodzajem fundamentu dla nasypów ziemnych.—*Dr. A. Cinciała* ogłasza „Pierwszy dodatek do przysłów ludu w księstwie Cieszyńskiém.“ Mamy daléj „Teksty (pieśni) szlachty żmujdzkiéj“ zebrane przez *Mieczysława Dowojnę-Sylwestrowicza*, dwadzieścia nowych numerów. — *J. S. Ziemba* opisał „niektóre zwyczaje podczas Bożego Narodzenia w okolicy Dąbrowy Górniczéj“, a mianowicie przedstawienia scen w szopce ludowéj. — *Andrzej Ś.* wybrał ze źródeł urzędowych wiadomości („Nieco ze statystyki“) dotyczące gęstości zaludnienia w powiatach Królestwa Polskiego, oraz gubernii graju południowo- i północno-zachodniego, a także niektórych okolic w środkowych stronach cesarstwa. — „Pieśń dziadowską, o bitwie pod Wiedniem r. 1683“, słyszaną przed kilkunastu jeszcze laty, ogłosił p. *Bronisław Grabowski*. — W dziale pod tyt. „Poszukiwania“ znajdujemy obfity zbiór formuł „mętowania“; wiadomości do charakterystyki chat wieśniaczych. Dział krytyki i bibliografii wypełnili pp. W. Załęski, Br. Grabowski, J. Karłowicz, W. Lutosławski, I. Kopernicki, L. Krzywicki, A. J. Parczewski, A. Zakrzewski. Kończą ten tom „Wisły“ tak zwane „wycinki“, zawierające między innemi notatki o „Szczodrakach w Radomskiém“ i „licytacyi dziewcząt“ w Czerskiém.

= **Kalendarz „Wieku“** ilustrowany na rok zwyczajny 1889, zawiera, oprócz zwykłéj części kalendarskiéj, poezye i utwory powieściowe W. Gomulickiego, K. Junoszy, Z. Zmorskiéj, Bożydara i J. Łuby, życiorysy znakomitszych osób zmarłych w roku zeszłym i bieżącym, obszerny przegląd działalności prawodawczéj w państwie rosyjskiém; daléj idą przeglądy: rolniczy, ekonomiczny, bibliograficzny i teatralny, kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych i wiadomości statystyczne o państwach starego i nowego świata, dające sporą ilość ciekawych informacyi. W kradła się tu jednak omyłka w cyfrze ludności Królestwa, podanéj na stronie 13 w cyfrze 9,319,950, a na stronie 15 zniżonéj do 7,690,024 (suma ta nie zgadza się z liczbami poszczególnych gubernii i wyno-

sić winna tylko 7,599,248). W dniu 1 stycznia r. b. ludność Królestwa, według urzędowych obliczeń, które świeżo w gazetach pomieszczono, wzrosła do 8,104,380, ale i tu z dodania ludności wykazanéj guberniami inna liczba wypada. — Różne inne informacye i liczne ogłoszenia uzupełniają ten starannie ułożony kalendarz.

= „**Prawda**", pierwsze w języku rusińskim, pismo miesięczne, polityczno-naukowe, rozpoczyna swój żywot we Lwowie. Program, ogłoszony przez redaktora d-ra Eugeniusza Oleśnickiego, zasługuje na uwagę i budzi żywy interes dla tego wydawnictwa. Pierwszy zeszyt (5—6 arkuszy) ukazać się miał 27 września. Redakcya mieści się przy ulicy Akademickiéj N. 8.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dziwaczny sen kronikarza.—Fluktuacya wartości naszéj waluty.—Wpływ téj fluktuacyi na stosunki rolnicze, przemysłowe, handlowe i robotnicze.—Niestałość—najgorsza klęska.—Nasze iluzye co do przemysłu krajowego i eksportu na wschód.—Przewodnik przemysłowy i handlowy.—Port Libawski, inne porty Cesarstwa i porty w Gdańsku i w Królewcu ze względu na nasz handel zbożowy. — Praca Fiodorowa i jego uwagi o handlu zbożowym. — Otwierające się w Muzeum przemysłowem wystawy. — Książka Hubera o wystawach i handlu eksportowym.—Stała wystawa próbek.—Polemika z autorem artykułu p. t. „z tygodnia" w N. 36 „Kraju" i z p. Domaratem.

Miałem sen dziwaczny.

Płynąłem niby po oceanie, który dla tego nazywa się Spokojnym że.... straszne burze na nim się zdarzają. Wśród uwijającego się za okrętem stada rekinów, jedna rekinica, skonsumowawszy z apetytem ofiarowany jéj przezemnie okaz „naszego przemysłu polskiego", z liczby przeznaczonych „na zawojowanie wschodnich rynków", t. j. rozłażące się kamasze z papierowemi podeszwami, wyśpiewała mi przez wdzięczność głosem od syreniego piękniejszym tajemnicę stanu. Tajemnica ta zdradzona jéj przez jakiegoś pisarczyka z podwodnéj kancellaryi dyplomatycznéj głównego zarządu oceanami wytłómaczyła mi pozorną sprzeczność, między stanem faktycznym oceanu, a jego nazwą. Okazuje się, że burze na oceanie panują wyłącznie w tym celu, żeby.... po burzy był spokój. To też z wyjątkiem chwilowych cyklonów i krótkotrwałych „*sztillów*" t. j. chwil ciszy morskiéj, zwykle panuje na oceanie tym oryginalny stan, znany „spokojem burzliwym", albo „burzą spokojną".

Dla nabrania węgla i zapasów żywności zatrzymaliśmy się przy największéj wyspie archipelagu, zwanego „Kurantem Spokojno-Burzliwym". Ledwo okręt stanął na kotwicy, już otoczyło nas mnóstwo dziwnego kształtu piróg, z których wysypała się na pokład nasz cała rzesza wyspiarzy, ofiarowujących nam różne środki lokomocyi z przystani w głąb wyspy, do najbliższego miasta. Mnie specyalnie obległo trzech przewodników, z któ-

rych jeden proponował odbycie podróży na zebu, drugi na strusiu, a trzeci na wielbłądzie. Chwilę się wahałem, aż przypomniałem sobie naukę pewnego mądrego talmudzisty: „jeżeli potrzebujesz jechać z jednego miasta do drugiego, to zamów zawczasu trzy furmanki; jedna tobie zrobi zawód, drugiéj ty zrobisz zawód, a trzecią pojedziesz“. Zamówiłem więc wszystkie trzy dryndy wyspiarskie. Kiedyśmy jednak dopłynęli szalupą okrętową do brzegu wyspy, okazało się, że żaden z trzech moich automedonów nie chce się wyrzec zaszczytu przewiezienia mojéj osoby. Jużem zaczął wyrzekać nieopatrznie i na talmudzistę, którego usłuchałem i nawet na cały talmud, aliści wkrótce się przekonałem, że nie tylko słuszność miał ów mistrz, którego usłuchałem, ale i rabinista inny, który mi nieraz powtarzał: „idź zawsze za radą mędrca, a choćby ci się zdawało, że głupio poczynasz, — skończysz mądrze“. Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Na przystani oczekiwał podróżnych tłum publiczności wyspiarskiéj. Dziwaczna to była publiczność! Czerwone twarze, tatuowane w różne wzory, a głowy ubrane w pęki piór jaskrawych. Tylko jedni mieli więcéj deseni na twarzy i piór na głowie, inni mniéj. Zauważyłem, że moi przewodnicy należeli do dekorowanych obficie. Pośród tych nowych dla mnie postaci, spostrzegłem jednak grupę figur dobrze mi z typu znanych. Takie postaci spotykałem i w Berlinie i w Paryżu, i w Wiedniu i w Londynie, i w Rio-Janeiro i w New-Yorku.... A wszędzie w blizkości giełdy. Aż mi serce uderzyło radośniéj na widok znajomych typów. Jeden z grupy podszedł zaraz do mnie i ofiarował wymianę moich pieniędzy na krajowe. Moneta kurs na wyspie mająca składała się z trzech gatunków muszel: ogromnych czerwonych, średniéj wielkości białych i malutkich żółtych. Wartość ich była odwrotną do wielkości. A więc żółte, jako bardzo rzadkie, były najdroższe, białe tańsze, a czerwone najtańsze, bo tych właśnie najwięcéj fala na brzeg wyspy wyrzucała. Napakowane muszlami worki wielkie były i ciężkie, tak że nie tylko unieść ich z sobą człowiek nie byłby w stanie, ale wszystkich na jednego wielbłąda naładować było niepodobna. Tu się właśnie okazała mądrość rad moich rabbich. Cobym ja robił bez trojga zwierząt jucznych? Wpako aliśmy tedy największe worki z czerwonemi muszlami na wielbłąda, z białemi na zebu, sam zaś ja wsiadłem na strusia, trzymając worek z żółtemi muszlami w ręku. Tak mi doradził, odprowadziwszy mię na stronę, mój wekslarz, a za radę wziął odemnie tylko parę papierków, z tych jakie mi zostały, t. j. wziął tyle co nic, bo jak mi mówił: „przecież pieniądze te i tak się tu na nic nie przydadzą. Po drodze, chcąc zasięgnąć wiadomości o nieznanéj mi wyspie, rozpoczęłem rozmowę z moimi przewodnikami.

Jeden z nich był rolnikiem, gdyż zasiewał mais na dachu swéj lepianki; drugi, jako mający fabrykę kolczyków ku ozdobie nosów nadobnych wyspiarek, był oczywiście przemysłowcem, a trzeci najbogatszy, kupiec i właściciel kantoru transportowego posiadał aż 5 wielbłądów, którémi przewoził ze wsi do miast i portów i odwrotnie różne towary, handlując przytém przeważnie różnobarwnemi piórami, których wyspiarze i wyspiarki używali do ubrania. Zarekomendowawszy się ze swych zajęć i dawszy mi do poznania, iż mam do czynienia nie ze zwykłymi jakiemiś tam ordynarnymi kornakami (czułem w ich słowach alluzyę do większego *bakszyszu*), interlokutorowie moi zaczęli mię wtajemniczać w szczegóły życia społecznego na wyspie. Dość sobie wszystko chwalili. Tylko ta moneta, ta moneta! Wszyscy trzéj się zgadzali, że moneta ogromnie niedogodna z powodu objętości i ciężaru. Na innych wyspach jest lepiéj. Tam główni podskarbiowie chowają całe zbiory muszli (a rzecz dziwna, że na brzegach każdéj wyspy inne muszle się poławiają) do skarbca koronnego, między ludność zaś wypuszczają różnego gatunku i różnéj wielkości kawałki kory z drzew, rosnących wyłącznie w ogrodach koronnych. Ponieważ zaś za każdy opatrzony pieczęcią podskarbiego kawałek kory wyspiarz może ze skarbca otrzymać odpowiednią muszlę, więc kora tyle warta co muszla. A tymczasem jaka dogodność dla wyspiarzy! Każdy z nich może w woreczku unieść tyle kawałków kory, że reprezentują one wartość ładunku muszli, któryby ledwo dwanaście mogło dźwignąć wielbłądów. I na naszéj wyspie jest trochę takich kawałków kory. Ale za mało, tak że doprosić się o nie niepodobna. Gdyby nasz podskarbi chciał hodowlę drzew w ogrodzie koronnym powiększyć i gdyby więcéj kawałków kory wypuścił między wyspiarzy, to już nic nie mielibyśmy do życzenia. Wyspa nasza stałaby się rajem prawdziwym....

Przyjechaliśmy do miasta. Ładne mi miasto! Na kilkuset palmach szałasy z bambusu, niby gołębniki. Tylko w kilku miejscach spostrzegłem domy większe z trzech szałasów jeden na drugim, jak domki z kart ustawione. Moi czyczeronowie objaśnili, że jeden z tych domków potrójnych to giełda miejska. Patrzę—koło giełdy znowu tłum znanych mi postaci. Zdaje się jakby ci sami, których zostawiłem na przystani. Kiedy oni zdążyli? A jakże, ci sami z pewnością; spostrzegam mojego wekslarza, który kłania mi się uprzejmie. Podjechaliśmy pod jedną z palm. Z góry wyrzucono mi drabinkę ukręconą z łyka i wywindowano najprzód worki, a potem i mnie. Zmęczony podróżą i wrażeniami położyłem się na rozesłanéj mi macie i zasnąłem. (Szczególna to rzecz—taki sen we śnie, sen dubeltowy). Na drugi dzień rano obudził mię gwar głosów. Wychyliwszy się ze

swego *wigwamu* ujrzałem u stóp palmy wczorajszego mojego wekslarza i wszystkich trzech przewodników. Wekslarz się z nimi o coś targował, a obliczywszy otrzymaną od każdego zapłatę, pozwolił wejść im na drabinkę. Dopiéro wówczas zrozumiałem, że pobrał on od nich zapłatę za prawo widzenia się ze mną. Sprytny! Ale też i oni głupi! U nas przecież nie byłoby takich głupich, żeby płacili za nic. Gdy kornakowie drapali się jeden za drugim po drabinie wiszącéj, wekslarz tymczasem wszedł ostatni wprawdzie, lecz z odwrotnéj strony na tę samą drabinę i wdrapał się pierwéj od innych do mojego pałacu napowietrznego.... Za umiarkowane dosyć wynagrodzenie wymienił wszystkie moje muszle na korę, czém mi wielką zrobił dogodność, bo nie wiedziałem już jak sobie radzić z ciężkimi workami. Przewodnicy ofiarowali mi usługi w celu zwiedzenia wnętrza kraju. Ponieważ obecnie bez worków potrzebowałem już tylko jednego furmana, zaproponowałem im przeto, żeby pociągnęli losy. Ale wekslarz wyperswadował im, że skoro innéj roboty nie mają, niech lepiéj jadą wszyscy, a zapłatę podzielą na trzy części. Uznając, że lepsza ⅓ część pewna, niż niepewna całość, zgodzili się. W godzinę późniéj, na samém odjezdném zjawił się znowu mój wekslarz i uprosił próżno jadących dwóch przewodników, żeby zabrali i jego, a za to on im nieraz jeszcze pasażera nastręczy. Skoro się przewodnicy zgodzili, pobiegł, a za chwilę wrócił z żoną, z kilkorgiem dzieci, z koszami, tobołami. Pokazało się, że wiózł z sobą nietylko nowe pieniądze, ale i jakieś towary na zamianę po wsiach. Pojechaliśmy tedy w liczném gronie. W parę godzin moneta korowa zaczęła kursować po całéj wyspie w wielkiéj obfitości, z czego mieszkańcy ogólnie byli zadowoleni. Tak przynajmniéj twierdzili notable, którzy na każdym przystanku spotykali mię—jako znakomitego cudzoziemca (przyjemnie to być znakomitym choć we śnie!) z wielką uroczystością. Aliści koło południa zaczęto już wyrzekać, że kory téj jest za dużo, że chcąc ją zamienić na muszle, zbyt wiele doznaje się ambarasu, że nieraz do podskarbiego docisnąć się nie można i t. d. i t. d. Gdy zaś z wysp sąsiednich przybyły pirogi z towarem i gdy mieszkańcy tych wysp nie chcieli brać kory po jednéj cenie z muszlami, zaczęły się na całéj wielkiéj wyspie lamenty. Zmęczony tym rwetesem zawróciłem karawanę do mego hotelu. Kiedym wypowiedział obawę o wartość moich pieniędzy korowych, wekslarz zaproponował natychmiast, że mi je wymieni napowrót na muszle. Jakoż, gdyśmy wrócili do miasta, zamiany obiecanéj dokonał, ale znacznie mniéj dał mi już obecnie muszli, niż dawniéj wziął za korę. Byłem jednak kontent z téj zamiany, boć zawsze muszla wydawała mi się wartością pewniejszą niż kora....

Dojeżdżając do przystani, przypomniałem sobie dopiéro, żem wciąż rozmawiał z ludźmi, jak na archipelag zamożnymi. Śmiesznie to niby w przekładzie na nasze stosunki wygląda, ale tam na archipelagu wymiary zamożności są całkiem inne, więc mógłbym przez porównanie powiedziéć, że rozmawiałem z ziemianinem, z przemysłowcem i z zamożnym kupcem 1-széj gildyi, może nawet niby prezesem kolei, a że mój wekslarz to wielki bankier.

W każdym jednak razie i tam musi być jakiś plebs, jacyś wyrobnicy u plantatora, u fabrykanta, u kupca. Plebs to zapewne strasznie obskurny,—mizerniejszy od naszego o tyle, o ile mniéj świetne są i inne stany, szkoda jednak, żem nie zdołał dowiedziéć się, co ten plebs mówi. Przed samém więc wejściem do szalupy zapytałem wekslarza (który znów za umiarkowane wynagrodzenie wymienił mi pozostałe muszle na dawną moją europejską monetę) i moich przewodników, z którego systemu monetarnego na wyspie najbardziéj był zadowolony gmin prosty.....

Na pokładzie okrętu spostrzegłem, że mój wekslarz już tu jest i szwargocze z wielkiém ożywieniem z dwoma innymi podobnymi do niego facetami. Wydawało mi się, jakbym słyszał wyrazy: rubel, marka, gulden, geszeft, rubel..... Ale to być nie może!. Zkądby na oceanie Spokojnym....? To tylko we śnie takie niekonsekwencye się zdarzają.... Opodal od swych trzech, wesołych towarzyszy, stał czwarty, ale ten ponury był i—zapatrzony w wodę—milczał. Niewiele co odpłynęliśmy, gdy ponury pasażer, wywróciwszy wszystkie kieszenie swego ubrania, i nie znalazłszy nigdzie nic, skoczył do morza. Sternik zaalarmował maszynistę. Nim jednak statek stanął, już nieszczęśliwego w morzu rozszarpały rekiny. Trzéj na statku pozostali rozpoczęli lament żałobny.

Wkrótce jednak płacz swój przerwali i w kilka minut późniéj, prowadzili bardzo ożywiony spór, przyskakiwali do siebie jak koguty,—a potém coś obliczali, dzielili i spokojnie już mówili daléj: (teraz słyszałem już doskonale) hossa, bessa, ultimo, geszeft, plajta 214, 219, 222, $218_{,50}$, 216.....

A potém... potém... najokropniejsza chwila! Zamyślony o wszystkiém, com widział, doszedłem do brzegu pokładu... Noga mi się obsunęła..... I już leciałem do morza, już widziałem rozwarte paszcze rekinów, już poznawałem, że najbliższą mnie była owa pamiętna mi z dyplomatycznego *interview* rekinica.... Wtém na szczęście obudziłem się, zimnym potem z przestrachu zlany. Zaintrygowany tym snem dziwacznym pobiegłem zaraz po senniki. Okazuje się, że mamy ich aż 99 rozmaitych wydań. A powiadają, że literatura nasza upada! Niepoprawni pesymiści. Widocznie wszędzie znajdują się tacy, którym nawet pocałunek rekinicy by nie dogodził.

Ponieważ sen mój w dotychczasowych sennikach tłómaczenia nie znalazł, pozostaje mi więc czekać na mający wkrótce wyjść setny sennik, w którym zapewne znajdę tłómaczenie pożądane.

Przychodzi mi jednak zarazem myśl następująca. Gdyby takie spadki i podnoszenia się waluty miały miejsce nie na jednéj z wysp oddalonego archipelagu, ale tu u nas, to czy w badaniu pomyślnych i niepomyślnych skutków spadania i podnoszenia się naszéj waluty nie należałoby zastanowić się nad tą kwestyą nie tylko ze stanowiska większéj lub mniejszéj własności ziemskiéj, przemysłu i handlu, ale i ze stanowiska téj masy wyrobniczéj, która sama o sobie mało mówi, ale o któréj pomówić by warto. Jak na dobrobyt téj masy oddziaływają cła ochronne, podwyższenie lub obniżenie cen artykułów spożywczych cen najmu etc. etc.?

Prawda, że praca taka miałaby mniéj pokupu, niż senniki.!

A możeby towarzystwo popierania przemysłu i handlu chciało się zająć zebraniem szczegółów wpływu kursu waluty na podniesienie, lub obniżenie dobrobytu wyrobników miejskich i wiejskich,—fabrycznych i rolniczych.

* * *

Pragnąc zbadania wpływu fluktuacyi waluty na dobrobyt robotnika, nie chcemy przez to powiedziéć, że badanie takie nie powinno dotykać naszych ziemian, przemysłowców i kupców. Wprawdzie myślą oni o sobie i sami, ale nie zawsze coś skutecznego wymyśléć mogą, więc czekają pomocy z góry, tj. od sfer rządowych.

Zdawałoby się na pozór rzeczą dziwaczną, że nietylko spadek, ale i nagłe podnoszenie się naszego rubla wywołuje u nas pewną panikę i to nie wśród giełdowiczów jedynie, ale we wszelkich stanach miejskich i wiejskich, o ile te stany oczywiście coś o walucie wiedzą. Przypatrzywszy się jednak rzeczy bliżéj, widzimy, że panikę taką zrozumiéć można. Jużci normalnym stosunkiem ekonomicznym dla każdego państwa jest ten, przy którym papiery kredytowe stoją na równi z monetą brzęczącą. Im bliżéj przeto stoimy tego stosunku normalnego, tém stan nasz monetarny za zdrowszy uważać powinniśmy. Rzecz tylko w tém, że nagłe fluktuacye cen tutejszéj waluty obiegowéj wprowadzają w nasze życie ekonomiczne pewien pierwiastek ryzyka od nas niezależnego,—pierwiastek gry hazardownéj, w którą mimowoli grają nawet nie mający ochoty do gry. Giełda berlińska upodobała sobie dwa głównie papiery, jako przedmiot gry giełdowéj, a mianowicie akcye kredytowe austryackie i naszą monetę papierową. To też te dwa walory codziennie niemal znacznym ulegają w notowaniach zmianom. Akcye kredytowe

austryackie mają zresztą drobne tylko znaczenie dla jednéj instytucyi finansowéj. Ale ciągłe zmiany cen tutejszéj waluty nie pozwalają ani naszemu rolnikowi, ani przemysłowcowi na ułożenie z góry swego budżetu, nie pozwalają na wytknięcie planu postępowania, i tém samém narażają jednego i drugiego na znaczne straty, a przynajmniéj pozbawiają korzyści.

To samo się dzieje i w handlu.

I tak np. nasz rolnik, który ma zboże do sprzedania, informuje się o stanie urodzajów w Europie, w Ameryce, w Indyach, w Australii,—informuje się o ilości zapasów zboża na wielkich rynkach Europy, i dochodzi dajmy na to do wniosku—jak to właśnie ma miejsce w chwili obecnéj—że ceny powinny iść w górę. Więc trzyma swoje zboże. I rzeczywiście zboże idzie w górę, ale tylko za granicą. U nas nie podnosi się ono wcale, a może nawet okazuje tendencyę zniżkową, gdyż podniesienie naszéj waluty sprawia, że dość znaczna podwyżka cen zboża w markach, lub szylingach, będzie żadną w rublach. Jak tu obliczyć teraz, co w przyszłości przeważy—czy podnoszenie cen zboża na rynkach zagranicznych, czy podnoszenie się naszéj waluty? Od tego zaś zależy — czy trzymać dłużéj zboże na eksport przeznaczone, czy téż go nie trzymać.

Przemysłowiec znów niespodzianie spotyka się z obniżeniem cen artykułów konkurencyjnych, wyrabianych za granicą i, zamiast zysków, ponosi straty na swoich wyrobach. Przytém ani jeden, ani drugi nie jest pewny czy jutro spekulacya berlińska znów nie obniży ceny naszego rubla. Jeden więc i drugi waha się, czeka, zgaduje i koniec końców, zamiast zrobienia operacyi na pewnych konjunkturach opartéj, gra w dyabełka. W téj chwiejności, stosunków leży zło wielkie. I w téj chwiejności właśnie szukajmy źródła bojaźliwości, która w naszych kołach rolniczych, przemysłowych i handlowych panuje i sprawia, że wiele sił ekonomicznych i wiele kapitałów leży bezczynnie.

* * *

Skoro wspomniałem o naszym przemyśle i handlu i skoro — razem z jesienią—rozpoczyna się bardziéj ożywiona działalność towarzystwa popierania przemysłu i handlu, pozwolę sobie pomówić o kwestyi, dotyczącéj z jednéj strony wzmiankowanego towarzystwa, a z drugiéj—obecnego stanu naszego przemysłu i handlu.

Zdaje się, że w naszéj krwi polskiéj leży skłonność do przebywania w świecie złudzeń. Niegdyś—bardzo to już dawno—żyliśmy w złudzeniu, że jesteśmy najpotężniejszém i zarazem najswobodniejszém państwem. Potém przeszliśmy w fazę illuzyi, że cała Europa

nami się tylko interesuje, bo któżby się takim „wyjątkowym", „wybranym" narodem interesować nie miał. Od pewnego czasu znów toniemy w złudzeniu, że kraj nasz to olbrzymia firma przemysłowo-rękodzielniczo-handlowa, zalewająca swymi wyrobami wschodnie rynki.

Przypatrzmy się temu ostatniemu złudzeniu bliżéj. Proszę pp. czytelników ze mną do naszych składów hurtowych i detalicznych, na Nalewki i na ul. Senatorską, — proszę na spacer po magazynach warszawskich. Cóż widzimy? Płótna jarosławskie i finlandzkie, jedwabie, półjedwabie, aksamity, welwety, plusze, wstążki moskiewskie, perkale kolorowe a nawet i białe także rosyjskie, korty i sukna Thornthona, Ungern-Sternberga i Stiglitza także z głębi Rosyi, dywany rosyjskie, porcelanę rosyjską, fajanse finlandzkie, nawet zapałki z guberni Nowogrodzkiéj, lub z Rygi. Gdzież ten nasz przemysł? Ah!—powiadają—a Scheibler, a Hielle i Dittrich, a Rau.... ale co do Rau'a poprawiają się, bo ten się już wyniósł w strony morza Czarnego. Chociażby jednak został Żyrardów, choćby została Łódź ze swym egzotycznym, więcéj cudzoziemskim niż rodzimym przemysłem, choćbyśmy dodali do tego kilka jeszcze poważnych firm przemysłowych rzeczywiście polskich, toć to wszystko kropla w morzu.

Sądząc z wrażenia, jakie rodzaj towarów w naszych handlach z jednéj strony, a w handlach rosyjskich gubernij wewnętrznych z drugiéj—robi, trzeba przyjść do przypuszczenia, że my importujemy daleko więcéj wyrobów przemysłowych z gubernij wewnętrznych cesarstwa niż naodwrót wywozimy do tych gubernij. Mówię „do przypuszczenia", ponieważ obliczeń dokładnych w téj mierze nie mamy. Zapewne obliczenia takie wewnątrz jednego państwa są trudniejsze niż obliczenia między dwoma państwami. W ostatnim razie regestracya na granicy, na komorach celnych ułatwia obliczenie. Ale pozostają regestra kolejowe. Przecież ani wodą, ani kołami nie przychodzi i nie wychodzi od nas tak wiele towaru na dalszą metę, żeby ilość ich mogła sprawić decydującą w rachunku różnicę.

Otóż, czy obliczenie ruchu towarów od nas do gubernij wewnętrznych i na odwrót nie byłoby rzeczą pożądaną, chociażby dla tego, żeby wykazać bezzasadność żądań przemysłowców okręgu moskiewskiego, żądających środków represyjnych przeciw tutejszemu przemysłowi, nadmiernie niby wybujałemu... Wybujał on rzeczywiście nadmiernie, ale tylko w naszéj wyobraźni i w samochwalczych gadaninach!

I oto znaleźli się kupcy okręgu moskiewskiego, którzy gadaninom tym uwierzyli, lub może tylko udają że wierzą, boć zawsze dogodniéj usunąć konkurenta, choćby drobnego. I rezultat łudzenia się, samochwalstwa — perspektywa ograniczeń nawet tego mizernego przemysłu, jaki mamy w kraju. Otóż, czy zbadaniem sprawy powyższéj nie mogłoby się zająć nasze towarzystwo popierania przemysłu i handlu?

Francuzi powiadają, że aby się jakiéjś kwestyi nauczyć, trzeba o niéj książkę napisać. Proponujemy więc połączonym usiłowaniom oddziałów warszawskiego i łódzkiego wydanie przewodnika przemysłowego i handlowego,—przewodnika, z któregoby można się dowiedzićć: jakie mamy fabryki, gdzie są składy tych fabryk, jakie są magazyny i jakim magazyny te handlują towarem, krajowym, zagranicznym, pochodzącym z wewnętrznych gubernij cesarstwa i t. d.

Wydanie takiego przewodnika byłoby chyba daleko większą usługą, oddaną naszemu przemysłowi i handlowi, niż szereg petycyj o podniesienie cła na ten lub ów artykuł wyrabiany w naszym kraju. Że fabrykant chciałby podniesienia cła na fabrykaty zagraniczne, to rzecz zrozumiała. Usuwając konkurentów, powiększa on swoje zyski i zbiera kapitał. Ale zkąd się te wielkie zyski biorą. Oto z téj nadwyżki ceny, jaką płacą konsumenci. O ile więc fabrykantowi przybywa do kieszeni, o tyle ogółowi ubywa. Kraj chyba na tém nic nie zyskuje. Nie chciałbym, żeby moje słowa rozumiano jako wzywanie do krucyaty przeciw przemysłowcom. Owszem, niech przemysłowcom wiedzie się jak najlepiéj. Chodzi tylko o to, żeby zyski ich były wynagrodzeniem za ich rozum, za pracę, za pomysłowość, za rzutność i energię, ale nie brały źródła w sztucznych przywilejach, t. j. w wygórowanych cłach ochronnych.

Cła ochronne mogą być usprawiedliwione tylko jako środek prowizoryczny, podtrzymujący jakąś powstającą dopiéro gałęź przemysłu. Po za tém cła mogą być raczéj usprawiedliwione celami politycznymi, ale nie ekonomicznymi. Byłoby więc bardzo pożądaném, żebyśmy w rozpoczynającym się sezonie działalności towarzystwa popierania przemysłu i handlu mniéj doczekali przesyłanych do ministeryum prośb o podwyższenie ceł. A natomiast.... możeby.... ten przewodnik??

* * *

Jeszcze z powodu działalności towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Towarzystwo to brało pod rozwagę ubiegłéj zimy sprawę wyszukania nowych dróg transportowych dla wyprodukowanego w kraju naszym zboża. Powód do narad dał z jednéj strony

kwestyonaryusz hr. Ludwika Krasińskiego, a z drugiéj olbrzymie podwyższenie ceł zbożowych w Prusiech i pogłoska o projekcie podniesienia w tém państwie ceł nie tylko od zboża przywożonego na konsumpcyę miejscową, ale i od transportowanego *transito* do państw innych. Przy takich okolicznościach chodziło o przyjrzenie się, czy nie moglibyśmy skierować transportów zbożowych do portów Cesarstwa. Najbliższym z pomiędzy tych portów i najdogodniejszym ze względu na komunikacyę jest dla naszego kraju Libawa. Tym sposobem powstał złożony towarzystwu przez p. Stanisława Rotwanda referat o porcie Libawskim, drukowany obecnie t. j. w zeszycie z dnia 15 września w dwutygodniku „Niwa". Że referat ten pobieżny jest i powierzchowny, nie można mićć za złe p. Rotwandowi, boć trudno jednemu człowiekowi, drogą „prywatnych" starań zebrać materyał do wyczerpującego studyum o handlu zbożowym w porcie, który co do cyfry eksportu trzecie miejsce w Cesarstwie zajmuje. Chcemy tylko zwrócić uwagę towarzystwa, że takie wyczerpujące studyum istnieje i że obejmuje ono nie tylko port Libawski, ale i wszystkie porty Cesarstwa, w téj liczbie i obchodzące nas bliżéj ze względu na położenie, porty Ryzki i Odeski, a również dwa najważniejsze dla nas porty zagraniczne: Królewiecki i Gdański. Studyum to, będące owocem mozolnych i umiejętnych obserwacyj osobistych, dokonanych na miejscu we wszystkich portach przez całe gremium osób, opracowane i wydane zostało w roku bieżącym w Moskwie przez prezesa komissyi 2-giéj gruppy dróg żelaznych, p. Fiodorowa. Nosi ono tytuł: „Handel zbożowy w głównych portach Rosyi i w Królewcu." O Gdańsku wprawdzie nie ma wzmianki w tytule książki, w treści atoli znaczna część rozdziału o porcie Królewieckim Gdańskowi jest poświęcona. Tak sumiennie dokonanych, a tak rozumnie i z takim talentem przedstawionych obserwacyj ekonomicznych dawno już nam nie zdarzało się spotykać.

Handel zbożowy rozpatrywany jest w téj pracy nie tylko z punktu widzenia kolejowca, jakby to z urzędu, zajmowanego przez autora wnosić można, ale i z punktu widzenia handlowca i nareszcie najbardziéj z punktu widzenia producenta zboża, t. j. rolnika. Można nawet śmiało powiedzieć, że myśl o interesie rolnictwa stanowi nić przewodnią całego dzieła. Oprócz opisu szczegółowego portów, popartego mnóstwem cyfr z autentycznych źródeł zebranych i na miejscu sprawdzonych, oprócz umiejętnéj charakterystyki handlu w każdym porcie osobno wziętym, oprócz porównania tych portów między sobę pod względem zwyczajów handlowych, oprócz kwestyj taryfowych dróg do różnych portów prowadzących, podaje autor w zakończeniu dzieła szereg konkluzyj, dążących do uwolnienia rolnika

z ciążącéj dziś nad nim eksploatacyi handlowéj, — do zmniejszenia kosztów handlowych i transportowych, — do postawienia tutejszego rolnika na równi z rolnikiem amerykańskim. To też, jeżeli książka ta może być źródłem bardzo pożytecznych informacyj dla kolejowca i handlowca, to przedewszystkiém powinna być studyowaną przez naszych rolników.

Długi czas rolnictwo u nas było podobne do indywiduum, które sztucznie podtrzymuje siły za pomocą środków narkotycznych. Spadanie kursu waluty rosyjskiéj było właśnie dla naszego rolnictwa tém jakby szprycowaniem podskórném z morfiny. Koiło jego bóle, z nierządu ekonomicznego powstałe, i nadawało mu chwilowe siły i energię. Ale każde lekarstwo narkotyczne wyczerpuje i wyniszcza organizm. Tak się stało i z rolnictwem. Zmorfinizowane utraciło ono oporność, właściwą organizmom zdrowym i, kiedy ceny zboża spadły, kiedy obecnie kurs waluty się podnosi, patrzy z przestrachem na grożącą ruinę. Trzeba pożegnać się z narkotyzującą medycyną, a wziąść się do wzmacniającéj hygieny! Wiele rad hygienicznych znajdą pp . ziemianie w książce p. Fiodorowa.

* * *

Wkrótce będziemy mieli w gmachu muzeum przemysłowego dwie wystawy—jedna po drugiéj. Tyle już mieliśmy wystaw w ostatnich latach i mniejszych i większych i ogólniejszych i bardziéj specyalnych!... I w rezultacie.... W rezultacie nic, — wielkie zero,— gorzéj nawet niż zero, bo nieraz minus nieopłaconych kosztów dla zarządów a stale coraz większy minus w zniechęceniu publiczności do wystaw. Zkąd to pochodzi? Pozwolę sobie twierdzić, że jedném ze źródeł nieużyteczności naszych wystaw jest to, iż mają one przeważnie charakter z a b a w k i. Na wystawie rolniczéj spotykamy słonie, welocypedystów, wyścigi w workach, zabawę w lisa... Na wystawie tkackiéj—produkcye muzyczne i wokalne... I tak daléj i tak daléj. Czyż nie lepiéj już pójść od razu na hecę, do cyrku, do ogródka, do bawaryjki z arfistkami? Gdyby nawet takie sztuczne zabawki przyciągnęły więcéj publiczności (podobno to prawda), to jakąż korzyść wyniesie z wystawy publiczność zapatrzona na hecę? I jakąż korzyść z podobnéj publiczności osiągną wystawcy? Znają wprawdzie i wystawy zagraniczne różne środeczki przyciągania publiczności, ale nie wysuwają tak tych środeczków na pierwszy plan, z ujmą treści wystawy.

Drugą przyczyną bezpłodności naszych wystaw jest brak organizacyi handlowéj na saméj wystawie i brak śladów stałych, zostających na ciągłe, po ukończeniu wystawy, — brak łącznika między szeregiem wystaw jednorodnych.

Jestem dziś w trakcie rekomendowania książek. Może to nudne. Ale cóż zrobić, kiedy z niektórych książek, choć nudnych, można się dowiedzieć tego, czego najpowabniejsza, nagrodzona na wystawie w Spaa, szansonistka nie nauczy. Otóż chciałbym polecić pp. urządzającym wystawy i panom eksponentom wydaną w r. 1886 w Sztutgardzie książkę p. sekretarza izby handlowéj sztutgardckiéj, d-ra Hubera, p. t. „Wystawy i przemysł wywozowy.“ Może by się z téj książki dowiedzieli panowie wystawcy i panowie dyrektorowie wystaw, w jaki sposób wystawy powinny być urządzane, żeby przynosiły rzetelną przemysłowi usługę, a zwłaszcza, żeby zwiększyły handel eksportowy produkowanych przedmiotów.

Szczególniejszéj uwadze panów zarządzających muzeum przemysłowém polecam rozdział 3-ci p. t. „Exportmusterlager“, to jest skład próbek, towarów przeznaczonych na wywóz. W rozdziale tym czytamy, że taka stała wystawa próbek istnieje w Bradford — wyrobów bawełnianych do ubrań, w Manchester — przędzy bawełnianéj i tkanin, w Dundee—wyrobów jutowych, w Belfast—wyrobów lnianych, w Nottingham—koronek, w Verviers i w Lipsku—towarów sukiennych, w Chemnitz—towarów meblowych, w Zurychu, Bazylei i Lyonie—towarów jedwabnych, w Solingen i Birmingham — wyrobów żelaznych i stalowych i t. d. i t. d. I wszędzie podobne wystawy specyalne ogromne oddają korzyści przemysłowcom; co rok zwiększa się ilość zamówień, dokonywanych za ich pośrednictwem przez kupców zagranicznych.

Czy u nas w Warszawie nie dałaby się urządzić w muzeum podobna wystawa stała, np. wyrobów tkackich, fabryki których od Białegostoku do Łodzi obficie są w kraju naszym rozrzucone. Warszawa i co do położenia geograficznego i co do połączeń kolejowych jest punktem centralnym kraju. Nie jeden więc kupiec przyjezdny radby tu zasięgnąć języka, zoryentować się, czy ma jechać np. do Ozorkowa, czy do Zgierza. A jeżeli się nie dowié dokładnie, pojedzie za granicę, bo tam wié napewno, gdzie jaki towar znajdzie. Urządzając taką stałą wystawę próbek, muzeum przemysłowe pozostałoby we właściwéj sobie roli, a jednocześnie mogłoby przynieść i przemysłowi naszemu znaczną korzyść i sobie z opłat rocznych i z komisowego (oczywiście jak najumiarkowańszego) przysporzyć dochodu. Myśl takiéj wystawy próbek była poruszona w zeszłym, t. j. w 1887 r. w N. 229 „Dziennika Łódzkiego“ w artykule podznaczonym literami B. W. Do tego artykułu i do książki p. Hubera odsyłamy tych, którychby wzmianka moja zdołała zainteresować.

* * *

Mam szczęście do polemik. Jestto tak zwane „polskie szczęście“. Ale nie wiem, czy czytelnik wié, co to jest polskie szczęście? I ja nie wiedziałem, aż dowiedziałem się raz w.... polskiém mieście Łodzi. Było to tak. Poszedłem sobie do miejscowego jadło-i piwodajnego zakładu, żeby pokrzepić siły nadwątlone podziwianiem kilkogodzinnném „polskiego Manchestru“. Wprawdzie w tym polskim Manchestrze trudno mi było rozmówić się po polsku, ale ktoby na takie drobiazgi uważał. Powiedziano, że polski, to polski. Otóż siedzę sobie w kącie sali restauracyjnéj przy stoliku i czekam na jakiś kawałek mięsa z generalnym sosem i na kufel piwa. W tém jeden z gości (który oddawna już widocznie siły swe pokrzepiał a jednak nie mógł pozbyć się chwiejności w nogach), wstając od stołu, od którego inni jego towarzysze już odeszli, zawadził o nogę stołową (te nogi stołowe zawsze coś głupiego muszą zrobić), upadł i wywrócił stół na siebie, ale nie zmieszany tém intermezzo podniósł się dość szybko, zapłacił za stłuczone dwa kufle, uśmiechnął się na widok, że inne kufle zostały całe i wyszedł. Siedzący koło mnie jakiś poważny obywatel łódzki wyrzekł wślad za wychodzącym: „*Der hat ein polnisches Glück*“! Pozwoliłem sobie zapytać poważnego obywatela, co-to jest za specyalny polski gatunek szczęścia? Spojrzał na mnie z ukosa. Aie kiedy skinąłem na kelnerkę, żeby postawiła nam obu nowe kufle z piwem i zaraz za oba uiściłem należność, obywatel raczył przemówić. „Polak, jeżeli złamie nogę, powiada: szczęście, że nie obie. *Und das heisst ein polnisches Glück*“. Otóż i ja mam takie polskie szczęście do polemik. Przynajmniéj, że od razu z jednym tylko mam polemizować..... Ale gdzie tam.... w ostatniéj chwili spostrzegam, że z dwoma..... No to szczęście, że nie z czterema.....

Autor artykułu „z tygodnia“ w N. 36 „Kraju“ twierdzi, że moje tłómaczenie korespondencyi poznańskiéj Domarata jest „koślawe“ i że Domarat miał słuszność, przekładając jednolitość żywiołów, kierujących bankiem poznańskim, nad ich ich różnostronność, ze względu że żywioły jednolite, choćby koteryjne, poprowadzą sprawę lepiéj, niż grono przedstawicieli złożonych ze stanów różnych. Otóż co do dosadnego epitetu „koślawy“, mógłbym tylko wspomnieć, że forma wyrażenia p. autora artykułu „z tygodnia“ możeby wymagała..... ołówka redaktorskiego, a treść wyrazu nic nie rozstrzyga, boć przyczyna wrażenia koszlawości pewnego przedmiotu może leżyć nie tylko w przedmiocie samym, ale i w tém źwierciedle, które przedmiot odbija. Oko ludzkie i umysł ludzki są także źwierciadłami *sui generis*... Co zaś do treści sądu, wypowiedzianego przez dającego mi admonicyę, to zgodzić się na ten sąd nie mogę. W sprawie zupełnie

prywatnéj może być jednolitość warunkiem najważniejszym. Ale sprawa publiczna powinna być szkołą, w któréj wszystkie żywioły, biorąc udział wspólnie, pozbywają się kanciastości stanowéj i uczą stawiać dobro publiczne po nad interesa koteryi. Zresztą, kwestyą bardzo ważną jest nie tylko jednolitość, jako fakt sam w sobie, ale i jakość téj jednolitości. Zastrzegam się, że w przykładach następujących nie będę miał wcale na myśli kierowników banku poznańskiego, gdyż ci — choćby wyborem doświadczonego bankowca p. Pągowskiego i doświadczonego parcelatora, p. Kalksztejna na dyrektorów — dowodzą, że potrafią dobrze sobie poczynać. Ale tak... wogóle... wyobraźmy sobie armię złożoną z samych trębaczy, albo téż numer pisma, złożony z artykułów wyłącznie takich, jak polemiczny artykuł (N. 36 „Kraju“) „z tygodnia.“ Harmonia byłaby... „piramidalna“, ale skutek kampanii... no, chyba nie bardzo poważny??

Co do p. Domarata, to mogę mu odpowiedziéć tylko tyle, że chcąc z kimś polemizować, potrzebą przedewszystkiém... przeczytać, co ten ktoś pisze. Gdyby szanowny pan był przeczytał moję wzmiankę o pańskiéj korespondencyi, toby pan wiedział, że wzmianka ta nie wypowiada żadnych „niewczesnych“, lub wczesnych „obaw“ i nie zawiera w sobie żadnéj obrony „demokracyi“, lub arystokracyi, ani napaści na stańczyków, lecz głosi tylko to.... co w niéj wydrukowano.

(— X —)



NEKROLOGIA.

† **Emil Józef Wojciechowski**, urodzony w początkach wieku bieżącego na Wołyniu, odebrawszy wyższe wykształcenie prawdopodobnie w liceum krzemienieckiém, osiadł r. 1835 w Warszawie i tu lat 30 przebył w służbie rządowéj. W r. 1865 wrócił do stron rodzinnych, zostawiwszy w Warszawie syna, który już wtedy pod pseudonimem Józefa z Mazowsza dał się był poznać z utworów poetycznych. Gdy syn ten przedwcześnie r. 1879 umarł, ojciec zabrał się do spisywania wspomnień i podań zasłyszanych od ojca, który jako marszałek dworu ostatniego wojewody wołyńskiego, Ledóchowskiego, wielce ciekawych zdarzeń był świadkiem. Tak powstały szkice powieściowe: „Sąd polubowny“ i „Anna“, drukowane przed kilku laty w „Tygodniku ilustrowanym“, oraz studyum o Wolterze. W rękopiśmie pozostały, jak donoszą „Kłosy“, następujące

prace: „Perły wojewodziny", „Podkomorzyna", „Małgorzata de Bonzi" z czasów Jana Kazimierza. Umarł dnia 18 maja r. b. we wsi Rudni, w powiecie kowelskim.

† **Tadeusz Jerzy Stecki**, urodzony na Wołyniu około r. 1830, nauki pobierał w Żytomierzu a potém w uniwersytecie kijowskim. Kilka lat po 1863 mieszkał w Warszawie, następnie wrócił na Wołyń, ożenił się i osiadł na wsi. Dla wychowania syna w ostatnich czasach zamieszkał w Krakowie, gdzie przebywał stale z wyjątkiem czasu wakacyjnego. Umarł we wsi Wielkiéj Medwedówce 14 sierpnia r. b. Zamiłowany w badaniach przeszłości, gromadził znaczne zbiory wszelkiego rodzaju zabytków, mianowicie ze stron swych rodzinnych. Owocem pracy jego była naprzód książka p. n. „Wołyń pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym (tom I-szy we Lwowie, 1864, tom II-gi nakładem Budkiewicza księgarza żytomierskiego, drukowany również we Lwowie 1871); następnie monografie p. n. „Krzemieniec i jego okolice" (Lwów 1873), „Łuck starożytny i dzisiejszy" (Kraków 1876). Pisał nadto wiele artykułów treści topo- i biograficznéj w „Niwie", „Kłosach", „Tygodniku ilustrowanym", „Wieku." Próbował téż sił w powieści historycznéj: „Stary dwór" wydanéj r. 1869 przez redakcyą „Przeglądu Tygodniowego."

† **Juliusz Leon Au**, urodzony w Poznaniu 11-go kwietnia 1842, skończywszy studya uniwersyteckie w Niemczech i otrzymawszy stopień doktora filozofii, pisywał z początku rozprawy po niemiecku („Liebig's Lehre von der Bodenerschöpfung und die nationalökonomischen Bevölkerungstheorieen", Heidelberg, 1868; „Die Hilfsdüngemittel", tamże 1869; „Die Creditgenossenschaften in ihrer Bedeutung für Stadt und Land und in ihren Beziehungen zur socialen Frage", tamże 1869); był dyrektorem szkoły rolniczéj w Żabikowie pod Poznaniem przez cały czas jéj istnienia i wtedy wydał rzecz p. n. „Socyalizm jako objaw choroby społecznéj" (Poznań, 1878). Po rozwiązaniu szkoły powołany został na profesora do szkoły rolniczéj w Dublanach, gdzie redagował „Roczniki Szkoły Dublańskiéj"; „Kalendarz dla gospodarzy." Umarł tamże 7 września, zapisawszy Szkole bibliotekę swoję, wynoszącą 4000 tomów.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Lipcu, Sierpniu i Wrześniu 1888 r.

---

1. **Pandekta** czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego z krótkiem uwzględnieniem historycznego rozwoju jego instytucyj. Napisał *Fryderyk Zoll*, profesor c. k. Uniwers. Jagiellon.. Tom I. Część ogólna Prawo rzeczowe (Pierwsza połowa). Krak. 1888, 8-o, str. XXXI i 224.
2. **O Foricoeniach** Jana Kochanowskiego napisał *Kaźmirz Bronikowski*. Krak. 1888, 8-o, str. 44.
3. **Skarbczyk. Zwyczaje doroczne.** 110 pieśni zwyczajowych: sobótkowych, dożynkowych, kolend, przemów i t. p. z ust ludu i książek zebrał *Zygmunt Gloger*. Wyd. drugie. Wydawnictwo Księgarni Krajowej K. Prószyńskiego. Warsz. 1888 8-o. str. 61.
4. **Jeszcze jeden głos** w sprawie pomnika dla Mickiewicza. Przez *Józefa z Leszna*. Warsz. 1888, str. 26.
5. **Przygody Mateusza Jarząbka**. Powiastka nagrodzona na powtórnym konkursie Gazety Świątecznej, napisana pod nazwiskiem *Wandy z Dowgiałów Trzcińskiej*. (Wydawnictwo Księgarni Krajowej Konrada Prószyńskiego). Warsz. 1888. str. 32 (cena kop. 10).
6. **Nie w porę**. Nowela. Naszkicował *Dyzma Zimorowicz*. Krak. 1888, 8-o, str. 35.
7. **Andreae Cricii** carmina edidit, praefatione instruxit, adnotationibus illustravit *Casisirus Morawski*. Krak. 1888. 8-o, str. LXIII i 302.
8. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiąc Październik 1887 r. (wyd. Oddz. Warsz. popier. przem. i handlu. Sekcya II). Warsz. 1888, str. 16.
9. **Dwa dni w podróży**. Opowiadanie dla dzieci przez *Stefana Gębarskiego* (Odznaczone na konkursie „Przeglądu Pedagogicznego“ 1887 r.) Warsz. 1888, 8-o, str. 59
10. **Dwie powieści** *Michała Jezierskiego*: Stryj z Ameryki. Powieść. — Klemens Janicki opowiadanie historyczne. Warsz. skład gł. w księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1888, 8 o, str. 272.
11. *Julian Mohort*. **Listy do przyszłej narzeczonej**. Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, 1889. str. 96.
12. *Władysław Wścieklica*. **Czy się wyradzamy?** Stan sił fizycznych i zdrowia ludności Galicyi i Królestwa Polskiego w porównaniu z innymi krajami wschodnio i zachodnio-europejskiemi skreślony na podstawie cyfr poboru wojskowego. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki. 1888, 8-o, str. 30.
13. **Nauka pięknego pisania** (kaligrafii). Wskazówki dla nauczycieli i uczniów przez *Piotra Szrettera*. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. 32 i tablic 5.
14. *P. T. Barnum*. **Sztuka zdobywania pieniędzy** czyli rady i wskazówki dla chcących zrobić majątek. Wolny przekład z angielskiego. Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, 1889, małe 8-o, str. 106 i II.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyk est etyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Roczne Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Сентября 1888 г.